



*Linda Winstead Jones*

***WYŚCIG Z CZASEM***

---

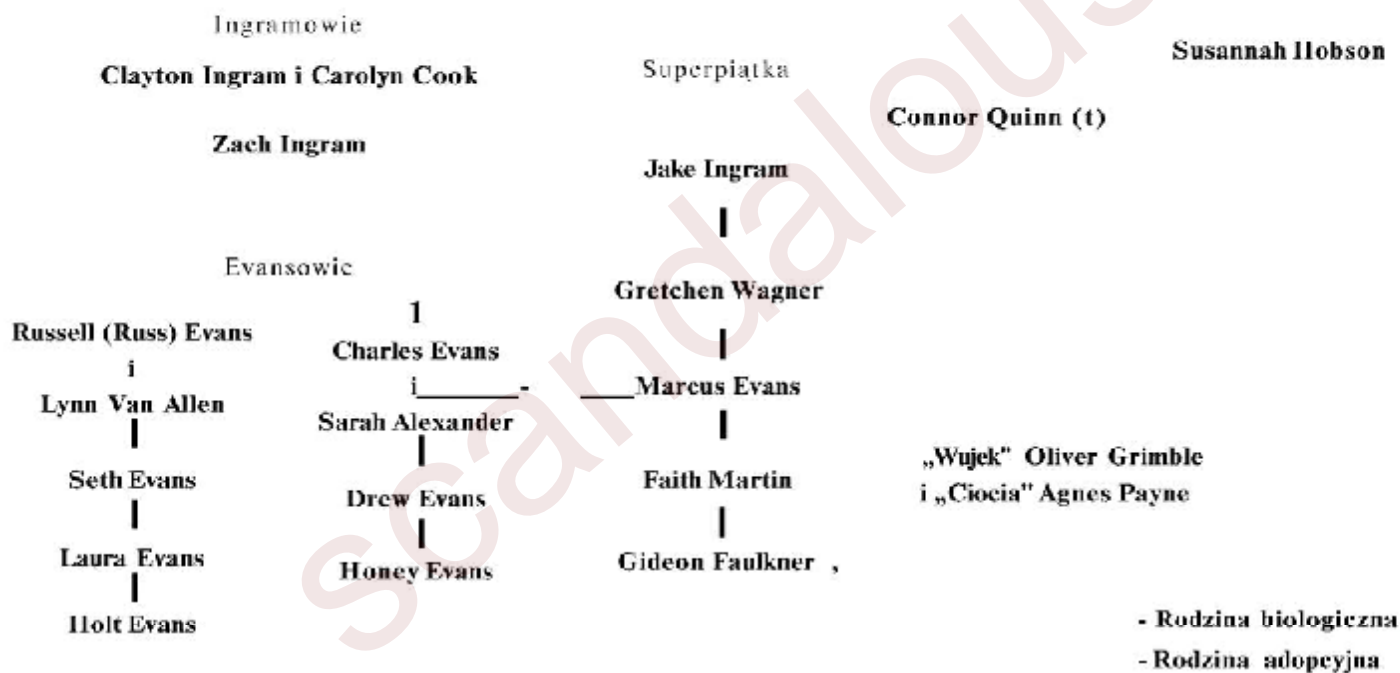
**Faith Martin** - wybitna epidemiolożka, która zostaje wezwana do małego miasteczka w Montanie, by powstrzymać wybuch tajemniczej epidemii

**Luke Winston** - miejscowy lekarz, który z otwartymi ramionami wita przyjazd ekipy Faith

**Jake Ingram** - przypomniał sobie przeszłość już ze szczegółami, lecz czy zdoła odnaleźć zaginioną siostrę?

## RODZINNE SEKRETY

Henry Bloomfield (t) i Violet Vaughn, poślubiła potem Dalea



## PROLOG

Jake Ingram przejrzał papiery na biurku, po czym ponownie wbił wzrok w ekran komputera. Cieszył się z powrotu do domu, ale nie potrafił przestać myśleć o tym, co go jeszcze czeka. Wiedział, że powinien odpocząć, że życie w ciągłym stresie źle się na nim odbija, mimo to nie był w stanie choć przez moment pogрузić się w lenistwie.

Spotkanie z Mattem Tynanem i Samuelem Hatchem nie przyniosło żadnych konkretnych rezultatów. Poszukiwania Agnes Payne i Olivera Grimble'a, naukowców należących do Koalicji, którzy przed łąty współpracowali z Henrym Bloomfieldem przy eksperymentach genetycznych, wciąż trwały. Gdyby udało się wpaść na ich trop, prędzej czy później odnalazłby się również były agent CIA Willard Croft oraz brat Jake'a, Gideon. Hatch polował na Crofta od dwudziestu łąt, kilka razy już prawie go miał, ale agent zawsze w porę zdołał umknąć.

Wiele łąt temu Croft podpalił dom Agnes Payne i Olivera Grimble'a, usiłując zatrzeć za nimi ślady. Dom spłonął doszczętnie; podejrzewano, że para naukowców wraz z małym Gideonem poniosła śmierć w płomieniach. Oni jednak żyli w ukryciu, przez cały czas programując umysł Gideona.

Jake zacisnął palce na skroniach i zamknął oczy. Nauczył się koncentrować na jednej rzeczy naraz. W tym momencie najważniejszą sprawą jest odnalezienie Faith. Jego siostra żyła w nieświadomości,

nie wiedząc, kim jest i jakie czyha na nią niebezpieczeństwo. Strach pomyśleć, co będzie, jeżeli członkowie Koalicji pierwsi ją odnajdą i za pomocą hipnozy zmuszą, by zaczęła wykonywać ich polecenia! W rękach szaleńców, w czasach rozwoju broni biologicznej, Faith, zaprogramowana tak, by odnosić sukcesy w dziedzinie medycyny, może stanowić olbrzymie zagrożenie dla ludzkości.

Mimo usilnych starań nie zlokalizowano Faith w żadnym z większych szpitali w Ameryce. Prawdę mówiąc, Jake'a to nie zdziwiło. Gdy Payne z Grimble'em poddali rodzeństwo hipnozie, Faith mogła otrzymać nowe imię, tak jak Grace została nazwana Gretchen, a Mark został przemianowany na Marcusa. Było to jednak mało prawdopodobne. Jake niewiele pamiętał z tego okresu, ale niektóre wspomnienia powoli nabierały ostrości.

Jak przez mgłę widział dziesięcioletnią Faith, która wpadła w histerię, kiedy rozdzielono ją z Markiem. Zanim ją uspokojono, przypuszczalnie minęło sporo czasu. Może naukowcy nie zdążyli zmienić jej imienia? W grę wchodziła również indywidualna odporność na sugestie hipnotyczne. Faith była drobna, cicha, ale piekielnie uparta.

Odsunąwszy papiery na bok biurka, Jake westchnął ciężko. Faith może być wszędzie, w Stanach, w Europie, w Afryce. Nawet nie mieli pewności, czy faktycznie została lekarzem. Z zadumy wyrwał go dźwięk telefonu.

- Ingram, słucham.
- Cześć, mówi Marcus.

- Przecież miałeś być w podróży poślubnej! - zawołał ze śmiechem Jake.

- Jesteśmy z powrotem w Delmonico. A ponieważ od paru dni się nie odzywałem, to postanowiłem sprawdzić, co się dzieje. - Na moment zamilkł. - I co? Udało się odnaleźć Faith? - Z zapartym tchem czekał na odpowiedź.

- Jeszcze nie.

- Psiakrew! - W głosie Marcusa pobrzmiwała frustracja i zdenerwowanie. - Nie możemy pozwolić, żeby wpadła w ręce Koalicji.

- Wiem. Robimy wszystko, co w naszej mocy.

- Może mógłbym jakoś pomóc, Jake? Poproszę o urlop...

Jake potarł dłonią brodę. Poszukiwaniami kierowała przebywająca na Brunhii Gretchen, która dosłownie stawała na głowie, żeby trafić na ślad młodszej siostry.

- Jak będziesz potrzebny, na pewno dam ci znać. Słyszysz?

- Czuję się taki beużyteczny - burknął Marcus. - Wiesz... - dodał po chwili - zaczynam sobie przypominać coraz więcej rzeczy.

- Ja też - przyznał Jake.

- Na razie to tylko luźne fragmenty wspomnień. Ale wracają z niesamowitą siłą. Jakby dotyczyły spraw, które wydarzyły się wczoraj. Faith... ona nie była silna, prawda? Mądra, odważna, ale dość drobna i... jak by to powiedzieć... krucha.

- Delikatna.

- Właśnie. Krucha i delikatna.

- W porównaniu z tobą ja też jestem kruchy i delikatny. - Jake uśmiechnął się pod nosem.

- Wiesz, o co mi chodzi, prawda? Ona zawsze potrzebowała opiekuna, kogoś, kto by ją chronił.

- To prawda.

W dzieciństwie Mark i Faith trzymali się razem. On był duży i silny, ona malutka i chudziutka. Ona miała analityczny umysł i wszystko chwyciła w mig, on zaś... cóż, czasem nie rozumiał pojęć, które innym nie sprawiały trudności. Faith służyła bratu za przewodnika, pokazywała mu, co i jak powinien robić, a on pilnował, aby nie stała się jej krzywda. Jake westchnął, przeklinając w duchu tych, którzy ich rozdzielili.

- Zadzwoń, jak tylko coś będę wiedział.

Do pokoju weszła Tara. Na widok słuchawki w ręku Jake'a natychmiast się skrzywiła. Od powrotu Jake'a do Teksasu zażegnali narastający między nimi konflikt, ale napięcie nie zniknęło.

Tara spodziewała się, że Jake poświęci jej cały swój wolny czas i uwagę. Była zawiedziona, że tak nie jest. On jednak nie potrafił zapomnieć o rodzeństwie. Zdawał sobie sprawę, że któregoś dnia będzie musiał opowiedzieć Tarze swą historię. Są zaręczeni, ma prawo poznać o nim prawdę: kim jest, skąd się wziął i co go czeka. Ale jakoś nie umiał zdobyć się na szczerą, może dlatego, że z góry wiedział, jaka będzie jej reakcja.

Tara wydawała się nieświadoma wzmożonej ochrony, mimo że dzień i noc strzegli ją wynajęci przez Jake'a ludzie. Bał się, że

Koalicja może chcieć ją porwać lub skrzywdzić. Przerazała go ta sytuacja, ale na razie miał związane ręce.

Gdy Jake odłożył słuchawkę, Tara uśmiechnęła się.

- Pomyślałam sobie, że moglibyśmy zjeść razem kolację...

- Tylko nie za późno, dobrze? Mam wieczorem spotkanie.

Uśmiech na twarzy kobiety zgasł.

- Wcześniej nie dam rady - rzekła. - Mama szykuje przyjęcie dla swojej przyjaciółki Edith. Pamiętasz? Mówiłam ci o tym. Po południu przychodzi człowiek z firmy cateringowej; musimy z nim pogadać.

Może mógłbyś odwołać to spotkanie? Albo przesunąć je na jutro?

Nie powinien się na nią złościć za to, że uważa swoje obowiązki za ważniejsze. Przecież nie wiedziała, co się dzieje w jego świecie.

Sam jest sobie winien. Mimo to warknął gniewnie:

- Nie mógłbym.

- W porządku. - Tara wzruszyła ramionami. - Zjemy kiedy indziej.

Wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami. Powinien za nią wybiec, przeprosić ją, tak jak zeszłym razem, gdy się pokłócili. Ale nie wykonał żadnego ruchu.



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy przez dłuższy czas przebywała za granicą, najbardziej jej brakowało hipermarketów. Lubiła krążyć z załadowanym wózkiem między uginającymi się od towaru półkami. W sklepach zawsze panowała jednakowa temperatura, nie za wysoka, nie za niska, z głośników płynęła kojąca muzyka.

Dorzuciła do wózka drugą paczkę ciasteczek.

- Kolejna paczka słodyczy? - spytała Janine. - To miło nie musieć dbać o wagę. - Obejrzała Faith od stóp do głów. - Boże, jakie to niesprawiedliwe.

Faith uśmiechnęła się do swojej współlokatorki. Odkąd sześć lat temu się poznały, Janine nieustannie liczyła kalorie. Wcale nie musiała się odchudzać. Wprawdzie nie miała patykowatej figury, ale gruba też nie była. Ładna zielonooka blondynka z uroczymi dołeczkami w policzkach żyła w mylnym przeświadczeniu, że los bardziej by jej sprzyjał, gdyby tylko zrzuciła dziesięć kilo. Nie miało znaczenia, ile waży - zawsze dziesięć kilo stało na jej drodze do szczęścia.

- Schowam je przed tobą - przyrzekła Faith.

- Dzięki.

Poza niegroźną obsesją na punkcie wagi Janine była idealną współlokatorką. W przeciwieństwie do Faith, która dużo podróżowała i często znikwała na kilka miesięcy z rzędu, Janine pracowała w dziale

administracyjnym Narodowego Instytutu Zdrowia i zawsze była na miejscu. Płaciła rachunki, karmiła kota.

Faith lubiła ją nie tylko za sumienność, ale również dlatego, że przyjaciółka nie usiłowała jej swatać, aranżować randek w ciemno ani dopytywać, dlaczego w wieku trzydziestu trzech lat jeszcze nie wyszła za mąż.

Oczywiście nie musiała wynajmować z nikim mieszkania na spółkę, stać ją było na opłacenie całego czynszu, ale odpowiadało jej, że ktoś ciągle w nim przebywa. Poza tym cieszyła się, że nie wraca po pracy do pustych czterech ścian.

Zastawiwszy wózek przejście, jakaś kobieta studiowała etykiety na kartonach z sokiem. W wózku siedziało mniej więcej roczne dziecko.

- Można...? - spytała wesoło Janine, ostrożnie przesuwając wózek kobiety na bok.

- Ojej, przepraszam. - Z oczu młodej matki wyzierało zmęczenie.

Faith popatrzyła na siedzącego w wózku brzdąca. Chłopiec uśmiechnął się do niej szeroko, po czym wytarł rączką mokry nos. Trzydzieści trzy lata skończyła podczas ostatniego pobytu w Indiach. Tego dnia od świtu do nocy zajmowała się pacjentami. Urodzin nie obchodziła, nie dostała żadnych kart, życzeń ani prezentów. Ale nie dlatego było jej smutno. Po prostu uświadomiła sobie, że się starzeje. Niby fizycznie była taka sama jak dwa miesiące wcześniej, miała jednak wrażenie, że coś jej umyka. Nie marzyła o mężu, o wielkiej

szalonej miłości. Była zbyt zwyczajna, aby przykuwać uwagę mężczyzn, i zbyt pochłonięta pracą, żeby zabiegać o ich względy.

Ale w skrytości ducha marzyła o dziecku. Jej zegar biologiczny tykał coraz głośniejsze, a czas płynął nieubłaganie; dni przechodziły w tygodnie, tygodnie w miesiące, miesiące w lata. Nie, męża jej nie brakowało, lecz na myśl o dziecku czuła bolesny ucisk w piersi.

Wyciągnęła rękę, by pogłodzić chłopczyka po buzi.

- Nie! - krzyknęła jego matka.

Faith szybko cofnęła dłoń. Kobieta uśmiechnęła się przepaszająco.

- Dylan jest przeziębiony - rzekła, chcąc wytłumaczyć swój sprzeciw. - Jeszcze się pani zarazi.

Faith przyłożyła rękę do czoła dziecka i delikatnie odgarnęła mu z oczu jasną grzywkę.

- Ja nie choruję - powiedziała cicho.

Miała kontakt z ludźmi naprawdę ciężko chorymi, lecz sama nigdy na nic nie zapadała. Kiedy koledzy dziwili się, skąd ma organizm tak odporny na wszelkie zarazki, odpowiadała, że to zasługa dobrze wyważonej diety i dużej ilości ruchu. Podejrzewała jednak, że silny układ immunologiczny zawdzięcza genom. Ale nikomu o tym nie mówiła, bo i po co, skoro nawet nie pamiętała swoich rodziców biologicznych.

Pogłodziła Dylana po włosach; ponieważ nie protestował, po chwili ujęła go pod brodę i odchyliła główkę do tyłu.

- Pani synek nie jest przeziębiony - rzekła, zaglądając małemu do noska. - Ma alergię.

- Słucham?

- To nie przeziębienie. To alergia. Kobieta wytrzeszczyła oczy.

- Na pewno?

- Może jej pani zaufać - wtrąciła Janine. - Ona nigdy się nie myli.

- Kim pani jest? - spytała z uśmiechem młoda matka. - Lekarzem czy jasnowidzem?

- Lekarzem - odparła Faith, po czym postukała palcem w jeden z kartonów. - Radzę ten kupić. Pomimo informacji na opakowaniu ten drugi to słodzona woda.

- Dziękuję. - Kobieta odstawiła karton na półkę. - Czyli uczulenie?

- Tak, ale proszę się nie denerwować - pocieszyła ją Faith. - Lekarz Dylana przepisze coś, co mu na pewno pomoże.

- Faith! - zawołała z lekkim zniecierpliwieniem Janine. - Lody czekają!

Uśmiechnąwszy się do matki i dziecka, Faith ruszyła za przyjaciółką. Zanim skręciła, obejrzała się za siebie. Chłopczyk pocierał nos. Dlaczego tak bardzo chciała mieć własne dziecko? Przecież taka mała istotka wywróciłaby jej życie do góry nogami.

W drodze do chłodni z lodami minęły regały zastawione prasą. Na moment przystanąły. Janine zaczęła oglądać miesięczniki poświęcone modzie, dietom i makijażowi, Faith natomiast sięgnęła po

pisma podróżnicze i ekonomiczne. Nie interesowały jej ubrania i kosmetyki; nie malowała się, włosy związywała w koński ogon, tak by nie wpadały jej do oczu, a przy wyborze stroju kierowała się względami praktycznymi oraz wygodą. Lubiła błękit i kiedyś ze zdumieniem spostrzegła, że większość rzeczy w jej szafie jest koloru niebieskiego.

Dziś miała na sobie bawełniany komplet - spodnie i bluzkę - w pięknym bławatkowym odcieniu. Janine twierdziła, że górę mogłaby nosić ze dwa numery mniejszą, ale Faith nie podzielała jej zdania.

Na ostatnich regałach znajdowały się brukowce pełne sensacyjnych artykułów, a to o pół psie, pół chłopcu, a to o kolejnym pojawieniu się Elvisa. Uwagę Faith przykuł tytuł: „Zaprogramowani w latach sześćdziesiątych genetyczni superludzie! Gdzie się dziś podziewają?”. Wybuchnęła śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło? - spytała Janine, wrzucając do wózka dwa pisma o modzie. -

- Spójrz. - Faith wskazała palcem na półkę. - Genetycznie zaprogramowani ludzie. Czego to dziennikarze nie wymyślą?

- Nie tylko brukowce o tym piszą. Również poważne gazety.

- Żartujesz?

- Nie. - Janine wzruszyła ramionami. - Genetycy są strasznie podnieceni. O ile jednak wiem, na razie nie ma żadnych dowodów.

W ostatnich latach inżynieria genetyczna rozwijała się w niesamowitym tempie, ale żeby w latach sześćdziesiątych robiono

eksperymenty genetyczne? Jest to raczej mało prawdopodobne, uznała Faith.

Przebiegł ją dreszcz. Niczego nie pamiętała z okresu dzieciństwa. Miała dziesięć lat, kiedy jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Zaopiekowali się nią Martinowie, którzy dwa lata wcześniej zaadoptowali Nasha. Do czasu swojej śmierci Alice i Elliot byli jedynymi rodzicami, jakich znała i jakich pragnęła mieć. Alice Martin zmarła na zawał przed czterema laty; Elliot dołączył do ukochanej żony niecały rok później. Mimo wykształcenia medycznego i racjonalnego podejścia do życia, Faith głęboko wierzyła, że ojcu z rozpaczy pękło serce.

Z całej rodziny została ona i jej adopcyjny brat Nash, odnoszący sukcesy rzeźbiarz, który w wieku trzydziestu pięciu lat wciąż był dużym dzieckiem. Zachowywał się tak, jakby nie miał żadnych trosk, ale i tak go kochała.

Łatwo jest snuć fantazje, kiedy nie pamięta się dzieciństwa. Jako kilkunastoletnia dziewczynka często w nocy zastanawiała się, kim byli jej biologiczni rodzice i jak wyglądali. Czasem wyobrażała sobie, że jest księżniczką, kiedy indziej że rodzice wcale nie zginęli - że przeżyli wypadek i usiłują ją odnaleźć.

Dlaczego straciła pamięć? Czy wydarzyło się coś tak strasznego, że zablokowała wszystkie wspomnienia? Może. Ale teraz w wieku trzydziestu trzech lat jest zbyt dorosła, by bawić się w tego typu domysły. Poza tym superludzie? Genetycznie zaprogramowani? Bzdura!

W wózku wylądowało półkilogramowe opakowanie lodów z kawałkami czekolady. Po chwili Janine otworzyła drzwi kolejnej chłodni i wyciągnęła zielony pojemnik.

- Zero tłuszczu, zero cukru - przeczytała napis na wieczku. -  
Myślisz, że są dobre?

Przyjaciółki popatrzyły sobie w oczy i jednocześnie się skrzywiły.

- No dobra, won! - Janine odstawiła pojemnik na półkę.

Dumały nad tym, na co by się jeszcze skusić, kiedy w torbie Faith zabrzączał telefon komórkowy.

- Nie odbieraj! - krzyknęła Janine.

Faith nie posłuchała. Chociaż z przyjemnością łąziła po sklepie, nie mogła zignorować telefonu.

- Faith Martin - powiedziała, przykładając słuchawkę do ucha.

- Dobrze, że cię złapałam - rzekła Teddy Lipman, asystentka dyrektora, która przekazywała wszystkie złe wiadomości. - Mamy bardzo niepokojące wieści.

- Boże, Teddy, wróciłam dopiero dwa dni temu - zaprotestowała Faith. - Jeszcze nawet z bratem nie rozmawiałam.

Nash nie odbierał telefonu. Diabli wiedzą, gdzie się podziewał.

- Pomyślałam, że to cię zainteresuje. Ale jeśli potrzebujesz więcej czasu, żeby odpocząć po Indiach, mogę zwrócić się do doktora Taylora.

Faith westchnęła; ciekawość wzięła górę.

- W porządku. O co chodzi?

- Pojawił się niezidentyfikowany wirus odporny na środki farmakologiczne.

- Wprowadzono kwarantannę?

- Jeszcze nie.

Właśnie takie drobnoustroje były jej specjalnością. Jeździła po świecie, badając je i starając się opracować nowe szczepionki na choroby lekoodporne.

- Gdzie?

- W Montanie.

- Tu? W Stanach? - Informacja dosłownie ją poraziła.

- Lekarz sądowy polecił wykonać sekcję zwłok dwóch pierwszych ofiar, po czym zdezorientowany zadzwonił do nas. Teraz doktor White bada przysłane próbki i czuje się tak samo zdezorientowany, jak jego kolega z Montany.

- Fascynujące - powiedziała cicho Faith. Wzdychając z rezygnacją, Janine zaczęła opróżniać wózek. Wyjęła maślane ciasteczka, lody z kawałkami czekolady, chipsy; zostawiła tylko zdrową żywność o małej zawartości tłuszczu, małej zawartości soli i prawie całkiem pozbawioną smaku.

Słuchając przekazywanych przez Teddy szczegółów, Faith wrzuciła ciastka z powrotem do wózka: zje je w samolocie.

Doktor Luke Winston stał w nogach łóżka i marszcząc czoło, spoglądał na śpiącego pacjenta. Nie znosił błędzenia po omacku, lecz o wirusie, który zaatakował wielu mieszkańców okręgu Carson, a



pięciu zabił, nie wiedział absolutnie nic. Lekarz sądowy, który przeprowadził sekcję zwłok, też niczego nie odkrył.

Z początku Luke myślał, że grypa pojawiła się w tym roku wcześniej niż zazwyczaj, ale okazało się, że się myli. To nie była grypa. Nieznany wirus szybko wywoływał nieprzyjemne objawy i co gorsza, był śmiertelny. Podobnie jak w wypadku grypy, najbardziej narażeni byli ludzie starsi i dzieci. Z pięciorga zmarłych pacjentów troje liczyło ponad sześćdziesiąt pięć lat. Czwartą ofiarą wirusa była trzydziestokilkuletnia miejscowa artystka Mary Milstein, która od urodzenia miała osłabiony układ odpornościowy i zapadała na wszystkie możliwe choroby. Żadne leki, które Luke podał jej i pozostałej czwórce, nie zadziałały. Ostatniej nocy zmarła piąta osoba - cieszący się doskonałym zdrowiem czterdziestoletni stolarz, którego Luke świetnie znał i którego śmierć ogromnie nim wstrząsnęła.

Teraz wyglądało na to, że szóstą ofiarą tajemniczego wirusa będzie Benjy Carter, którego poród Luke przyjmował pół roku temu. Matka dziecka, Angela Carter, straciła męża wkrótce po tym, jak dowiedziała się, że jest w ciąży. Przez cały czas trwania ciąży czuła się źle, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Chłopiec urodził się z niedowagą. Miał mnóstwo problemów zdrowotnych, ale dzięki odpowiedniej opiece medycznej mógłby je pokonać. Teraz ta szansa malała z minuty na minutę. Prawdę mówiąc, musiałby się zdarzyć cud, żeby chłopiec dożył do rana.

Luke'a ogarnęła wściekłość. Na gniew mógł sobie jednak pozwolić, na rozpacz nie za bardzo, zwłaszcza na oczach personelu i

pacjentów. Kiedy Angela się zbudzi, będzie musiał jej powiedzieć, że Benjy prawdopodobnie umrze. Ona również była chora, ale w przeciwieństwie do dziecka miała silny organizm. Najgorsze było to, że stan ani jednego pacjenta się nie poprawił, a niektórzy trafili do szpitala już ponad tydzień temu.

Luke kazał odizolować północne skrzydło na piętrze; zarówno on, jak i reszta personelu cały czas nosili odzież ochronną. Szpital był nieduży, populacja okręgu Carson też niezbyt liczna. Poza Lukiem w szpitalu pracowały trzy pielęgniarki, jedna na pełnym etacie, dwie na pół etatu. W miarę potrzeb, czasem raz w tygodniu, czasem raz w miesiącu, z pobliskiego Great Falls i Bozeman przyjeżdżali na konsultacje młodzi specjaliści.

Z głębi korytarza dobiegł go stanowczy sprzeciw Molly. Korpulentna, twardo stąpająca po ziemi pielęgniarka pracowała z nim od pięciu lat. Nawet sobie nie wyobrażał, co by bez niej zrobił w ciągu ostatniego tygodnia. Nie tylko namówiła Betsy, jedną z dwóch półetatowych pielęgniarek na to, żeby harowała od rana do nocy, ale również sprowadziła dwie dodatkowe z Bozeman.

- Nie wolno tu wchodzić! - zawołała.

Luke nie ruszył się z miejsca. Molly zatrzymałaby czołg, gdyby zaszła potrzeba. Ten, kto usiłował przekroczyć granicę jej królestwa, nie znał jej siły perswazji.

- Wstęp wyłącznie dla personelu!

Padła jakaś cicha odpowiedź i po chwili drzwi na oddział, na którym leżało siedemnaście ciężko chorych osób, otworzyły się. Luke

odwrócił głowę. Zobaczył Molly podążającą energicznym krokiem za młodą kobietą o ciemnych, naturalnie kręconych włosach zaczesanych do tyłu, bladej twarzy, niebieskich oczach, prostym nosie i pełnych wargach. Kobieta nie była klasyczną piękną, ale jej wdzięk i uroda mogły każdego powalić na kolana.

- Proszę wyjść - rzekł ostrym tonem Luke.

- Doktor Winston, jak się domyślam? - spytała niezrażona. -

Woli pan porozmawiać tutaj czy na korytarzu?

Nie czekając na odpowiedź, opuściła salę chorych. Luke zerwał z twarzy maseczkę i pośpiesznie wyszedł.

- Doktor Faith Martin - przedstawiła się kobieta. - Z NIAiCZ. Narodowego Instytutu Alergii i Chorób Zakaźnych.

- Wiem, co to takiego NIAiCZ - oznajmił krótko Luke. - Kto panią przysłał?

- Właśnie Instytut. Zwrócił się do nas lekarz sądowy z Montany. Podobno tutaj wybuchła jakaś dziwna epidemia...

- Owszem.

- Przyjechałam pomóc.

W pierwszym odruchu chciał jej powiedzieć, że na próżno się fatygowała, bo on nie potrzebuje żadnej pomocy. Ale ugryzł się w język, bo potrzebował, i to bardzo.

- Gdzie możemy się rozlokować?

- My?

- Ja i mój zespół. Jest nas czworo.

- W południowym skrzydle są dwa puste pokoje - rzekła Molly, której minęła złość na intruza. - Można wynieść łóżka... Jeśli ktoś mi pomoże, za kilka minut wszystko będzie gotowe.

- Wspaniale. Dziękuję.

Molly uśmiechnęła się znużona i ruszyła do swoich zajęć. Luke zaniepokoił się. Czyżby najlepsza pielęgniarka wystąpiła przeciwko niemu? Molly nie miała zwyczaju szczerzyć zębów do obcych ludzi, którzy wdzierali się do szpitala. Może jednak zorientowała się, że on nie radzi sobie z wirusem i dlatego przyda się pomoc z zewnątrz?

Doktor Martin wyjęła z kieszeni fartucha parę cienkich gumowych rękawiczek i wciągnęła je na ręce z wprawą człowieka, który robi to setki razy dziennie. Bez słowa minęła Luke'a i weszła do sali, którą przed chwilą opuścił, a w której leżało dwoje ciężko chorych pacjentów. Przeklinając pod nosem, Luke nałożył maseczkę, z kosza na korytarzu chwycił drugą i pośpieszył za kobietą.

- Doktor Martin! - zawołał, kiedy nie zważając na ryzyko zakażenia, pochyliła się nad śpiącą pacjentką.

- Przystudiowałam próbki i analizy, jakie przysłał do Instytutu lekarz z Montany - oświadczyła, ignorując maseczkę, którą Luke podsunął jej pod twarz. - Nie zdołałam jeszcze zidentyfikować wirusa, wiem jednak, że nie można się nim zarazić od chorego.

Przypuszczalnie wszyscy pańscy pacjenci mieli bezpośredni kontakt z głównym źródłem zakażenia.

W skupieniu zaczęła badać chorą. Na Luke'a nie zwracała uwagi, zupełnie jakby nie istniał. Pacjentka, pięćdziesięcioletnia

Melinda Harris, obudziła się; na widok pochylonej nad nią obcej kobiety ogarnął ją strach.

- Nie bój się, Melindo... - Pamiętając, co mu Faith przed chwilą powiedziała, Luke zsunął z twarzy maseczkę. - To jest doktor Martin. Będzie się tobą zajmowała.

Faith zerknęła na niego spod oka. Wiedział, że doktor Martin nie po to przyjechała, aby kogokolwiek leczyć, ale po to, by dotykać, oglądać, mierzyć, brać wymazy, słowem traktować pacjentów tak, jakby byli królikami doświadczalnymi. Nie zamierzał jednak mówić tego Melindzie i innym chorym.

Ku jego zdumieniu Faith delikatnie pogładziła pacjentkę po dłoni.

- Jak się pani czuje? - zapytała.

- Koszmarnie - zachrypiała w odpowiedzi chora.

- Boli panią gardło?

Melinda Harris pokiwała głową. Widać było, że ma trudności z oddychaniem.

- Mięśnie też? - kontynuowała Faith. - I głowa? O tu, w tym miejscu? - Wskazała tył własnej.

Po każdym pytaniu Melinda zaciskała powieki.

- No dobrze. - Faith naciągnęła z powrotem kołdrę, przykrywając chorą. - Za chwilę mój asystent przyjdzie pobrać pani krew. Zgoda?

Melinda ponownie zacisnęła powieki.

- Wkrótce znajdziemy coś, co panią wyleczy.

- Dziękuję - zaskrzeczała chora.

Luke zerknął w stronę drugiego łóżka. Angela spała kamiennym snem. Dzięki Bogu. Czuł straszliwy opór przed powiadomieniem jej, że stan malutkiego Benjy'ego uległ pogorszeniu.

Doktor Martin skierowała się ku drzwiom. Ruszył za nią. Oboje ściągnęli gumowe rękawiczki; Luke wrzucił swoje do stojącego nieopodal kosza.

- Co z pani za lekarz? - spytał ostro.

Faith popatrzyła na niego niebieskimi oczami, które wydawały się takie szczerze i niewinne.

- Jestem epidemiologiem - odparła z powagą, również wrzucając rękawiczki do kosza.

Dwie pielęgniarki przysłane z Bozeman szeptały coś do siebie na końcu korytarza. Obie miały po dwadzieścia kilka lat; jedna była chuda o blond włosach, druga ciemna i korpulentna. Luke nie potrafił zapamiętać ich imion; wiedział, że jedna to Jane, a druga Michelle, i że obie wykazały niezwykłą odwagę, przyjeżdżając tu z pomocą.

Większość pacjentów dostała jakieś środki przeciwbólowe, po których spała. Dziewczyny często zaglądały do chorych, ale na razie nie miały nic więcej do roboty. Właściwie całe północne skrzydło przypominało kostnicę.

- Ale nie o to panu chodziło, prawda? — Faith wbiła w Luke'a wzrok. - W pańskim pytaniu wyczułam zniewagę.

Zirytował go jej niemal konwersacyjny ton.

- Po prostu dziwię się, że ma pani czelność okłamywać pacjentów. Jakim prawem obiecuje pani choin, że wyzdrowieją, skoro na ich chorobę nie mamy lekarstwa? Na dobrą sprawę nawet nie wiemy, co im dolega!

- Ja wiem - oznajmiła spokojnie.

Zaskoczyły go jej słowa. Na moment zgłupiał. Od tygodnia sypiał najwyżej po trzy godziny na dobę, a od paru godzin myślał tylko o tym, jak ma powiedzieć Angeli, że Benjy nie dożyje ranka...

- W takim razie słucham...

- Możemy porozmawiać podczas kolacji? Od rana nie miałam nic w ustach.

- Nie mam czasu na jedzenie - warknął Luke.

- A kiedy pan jadł ostatni posiłek? - spytała rzeczowo, trzymając nerwy na wodzy.

Prawdziwy posiłek przy stole? Nie pamiętał. Od czasu do czasu Molly wpychała mu do ręki batona oraz butelkę wody mineralnej. Jadł i pił w biegu, między wizytą u jednego a drugiego pacjenta.

- Jak pani to sobie wyobraża? Że pójdziemy na kolację? A chorzy? Kto się nimi zaopiekuje? Pani współpracownicy?

- Doktorze, czy ma pan coś przeciwko mojej obecności tutaj?

- Nie. Przepraszam. Oczywiście, że nie - skłamał. Nie rozumiał tego. Zjawiała się w szpitalu zaledwie kilka minut temu, a już miał ochotę ją udusić. Ale zdawał sobie sprawę, że potrzebuje jej pomocy.

- Świetnie. W drodze do szpitala zauważyłam nieduży lokal na rogu. Dobrze tam karmią?

- Znośnie - odparł Luke. Faith ruszyła do wyjścia.

- Czeka nas długa noc. A ja, kiedy jestem głodna, chodzę wściekła i rozdrażniona.

Na razie doktor Faith Martin stanowiła uosobienie spokoju. To on chodził wściekły i rozdrażniony. Powtarzał sobie, że kiedy minie kryzys, wszystko wróci do normy. Ale w głębi duszy wiedział, że wcale tak nie musi być. Żył w stanie rozdrażnienia od dziesięciu miesięcy, czyli od śmierci Karen. Starał się o niej nie myśleć, zwłaszcza dzisiaj. Podążając za Faith w stronę drzwi, wydał dyżurnym pielęgniarkom instrukcje: żeby zadzwoniły na jego komórkę, gdyby cokolwiek się działo. Jane - lub Michelle, nie był pewien - skinęła głową.

Doktor Martin, która zjawiała się w Rockland nieproszona i próbowała przejąć jego szpital, nie ubierała się prowokacyjnie. Luźny sweter i ciemnozielone spodnie nadawały się na chłodny październikowy dzień w Montanie. Włosy miała gładko uczesane; nie upinała ich, nie tapirowała, nie układała na żel. Makijażu nie używała, ale też go nie potrzebowała.

Stosowała jedną typowo kobiecą sztuczkę: usiłowała zwabić mężczyzn na zapach, który rozsiewała wokół siebie. Ale źle trafiła. On się nie da skusić. Może w innym czasie i w innych okolicznościach, ale teraz ma poważniejsze sprawy na głowie i słodka woń po prostu go irytowała.



- Muszę panią uprzedzić - oznajmił urzędowym tonem, wsiadając za Faith do windy - że niektórzy pacjenci są uczuleni na perfumy.

Uniosła brwi.

- Chce pan przez to coś powiedzieć? Luke zazgrzytał zębami.

- Tak. Żeby podczas pracy w szpitalu nie używała pani perfum.

Wytrzeszczyła oczy.

- Nigdy się nie perfumuję.

Akurat! —pomyślał.

Scandalous

## ROZDZIAŁ DRUGI

Udali się do jednego z tych rodzinnych lokali, gdzie serwuje się wspaniałe, prawdziwie domowe posiłki. Takie, za jakimi Faith najbardziej tęskniła, kiedy podróżowała po świecie. W powietrzu unosił się nęcący aromatyczny zapach. Była pewna, że jedzenie będzie pyszne.

Często jeździła i po Stanach, i po świecie, lecz do Montany trafiła po raz pierwszy. Na razie oczarował ją przepiękny krajobraz i większość spotkanych tu ludzi. Rockland było uroczym miasteczkiem; od północy otaczały je góry, od południa rozciągała się ogromna dolina, a mieszkańcy okazali się niezwykle serdeczni i gościnni. Z jednym wyjątkiem.

Odkąd złożyli zamówienie, doktor Luke Winston właściwie nie miał chwili spokoju. Było to nawet dość ciekawe. Siedział, odpowiadając na pytania zatroskanych mieszkańców. Ludzie, którzy tłoczyli się wokół stolika, zwracali się do niego po imieniu, lecz z szacunkiem. Rozmawiał z nimi otwarcie, udzielał szczerých odpowiedzi, a jednocześnie starał się nikogo nie przestraszyć.

Obserwując go, widziała, że należy do lekarzy, którzy emocjonalnie podchodzą do każdego pacjenta. Którzy czują ich ból i mają wyrzuty sumienia, gdy nie mogą im pomóc. Chociaż znała go zaledwie od godziny, była pewna, że głęboko przeżywa każdą śmierć, której nie potrafi zapobiec. Ona na taką empatię z chorymi nie mogła sobie pozwolić.

Kiedy kelnerka postawiła na stoliku talerze z kawałkiem pieczeni, zielonym groszkiem, kukurydzą i pasztecikami, wszyscy, którzy dotąd zadawali pytania, odeszli pośpiesznie, aby Luke z Faith mogli zjeść w spokoju.

- No dobrze - powiedział cicho Luke, nabijając na widelec kawałek mięsa. - Może mi pani wytłumaczyć, z czym mamy tu do czynienia?

- Z wirusem podobnym do hantawirusa. Niestety, jeszcze nie zidentyfikowaliśmy szczepu. Być może jest to nowa, niespotykana dotąd odmiana. W tej chwili moi koledzy przygotowują laboratorium. Kiedy wrócimy do szpitala, będę mogła przeprowadzić kolejne badania. Muszę uzyskać szczegółową analizę genetyczną...

- Ale mówiła pani, że wie, co to jest - przerwał jej Luke.

- Na wirusa, o którym myślę, wskazuje żółte zabarwienie paznokci u chorych i zmiany w kolorze oczu. Podejrzewam, że ten wirus uległ pewnym mutacjom, ale jak powiedziałam, nie można się nim zarazić od osoby chorej.

- Jaką ma pani gwarancję?

Nie była przyzwyczajona do tego, by ktoś kwestionował jej wiedzę.

- Czy ktokolwiek z personelu zachorował?

- Nie. - Potrząsnął głową. - Jesteśmy bardzo ostrożni. I jak dotąd sprzyja nam szczęście.

- Szczęście nie ma nic do rzeczy - oznajmiła Faith. - Żeby się zarazić, trzeba mieć bezpośredni kontakt ze źródłem zakażenia.

- Bezpośredni, tak? Niech pani posłucha. Obecnie mam w szpitalu siedemnaście zakażonych osób! Jeśli dodamy do tego pięć, które zmarły, to nam daje w sumie dwadzieścia dwie osoby.

Dwadzieścia dwie na obszarze dość słabo zaludnionym. Wszystkie zachorowały w ciągu ostatnich czterech, sześciu dni. Niektórzy z chorych mieszkają bardzo daleko od siebie. Jak to wytłumaczyć?

- Tego jeszcze nie wiem - przyznała Faith. Wybuch każdej epidemii stanowił zagadkę, którą dopiero po długiej, żmudnej i wnikliwej analizie potrafiła rozwiązać. - Musimy poprosić o pomoc miejscową policję. Czy domy i miejsca pracy pańskich pacjentów zostały sprawdzone?

- Nasza miejscowa policja składa się z szeryfa, który mniej więcej pięć lat temu powinien był przejść na zasłużoną emeryturę, oraz jego dwóch młodych, niedoświadczonych, źle opłacanych zastępców - wyjaśnił z lekkim zniecierpliwieniem Luke. - Mają wystarczająco dużo pracy z dziennikarzami, którzy tłumnie zjechali do miasteczka.

- Ale chyba mogą zadzwonić po posiłki? - spytała Faith, przerażona myślą, że nie może Uczyć na wsparcie policji. - Wyjaśnię im, na co muszą zwracać uwagę i w jaki sposób powinni się sami zabezpieczyć.

Brak doświadczenia nie stanowił w jej oczach przeszkody. Po prostu należy bezzwłocznie przystąpić do pracy i znaleźć źródło zakażenia.

Luke Winston pokręcił przecząco głową.

- Obawiam się... - zaczął.

Faith jednak nie słuchała kontrargumentów.

- Jeśli zajdzie potrzeba, wezwiemy na pomoc wojsko. Albo Gwardię Narodową.

- Wojsko? - Luke wybałuszył oczy.

- Jeśli zajdzie potrzeba - powtórzyła Faith. Wzruszył ramionami.

- Na razie martwi mnie stan chorych. Nie mogę ich leczyć, nie wiedząc, co im dolega. Do tej pory starałem się zmniejszyć uciążliwe objawy choroby, ale teraz...

- Po przeprowadzeniu kilku wstępnych badań na pewno coś panu doradzę.

Odetchnął z ulgą. Widać było, że jest niewyspany i niehumanie zmęczony. Pojawienie się tajemniczego wirusa wywołało zamęt w mieście, ludzi ogarniał coraz większy strach. Luke nad wszystkim starał się zapanować. Przez chwilę Faith zrobiło się go autentycznie żal.

Przyjrzała mu się uważnie. Doktor Winston był wyjątkowo przystojny, ale jak na jej gust włosy miał odrobinę za długie; zasłaniały uszy, opadały na kołnierzyk koszuli. Podejrzewała, że potargana fryzura i ciemny zarost nie mają nic wspólnego z modą, raczej z brakiem czasu na wizytę u fryzjera. Podobały się jej niebieskie oczy Luke'a oraz regularne rysy twarzy. Ale o ileż atrakcyjniej by wyglądał z uśmiechem niż z tym cierpkim, niezadowolonym grymasem. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że

szalejąca w miasteczku epidemia nie sprzyja uśmiechom. Luke Winston żył w ogromnym napięciu i jego twarz to odzwierciedlała.

- Kiedy mogę spodziewać się pełniejszych informacji?

Naprawdę chciałbym wiedzieć, co to za cholera, ten wirus. Prasa pisze o „Gorączce z Rockland”...

Miała ochotę go spytać, co mu da nazwa, ale ugryzła się w język.

- Przypomina Muerto Canyon, który po raz pierwszy odkryto dziesięć lat temu, ale dopóki nie przeprowadzę dalszych badań, nic konkretnego nie mogę panu powiedzieć.

- Muerto Canyon?

- Kanion Śmierci. Luke zbladł.

- Proszę się nie martwić. Znajdziemy lek i zatrzymamy epidemię.

Pokiwał smętnie głową.

- Naprawdę - powiedziała łagodnie Faith. - Robiłam to już wielokrotnie. Wszystko będzie dobrze.

Zacisnął zęby. W jego niebieskich oczach płonął ogień.

- Nie musi mnie pani pocieszać, jakbym był jakimś półgłówkiem, który nie potrafi odróżnić dnia od nocy.

- W porządku - rzekła niezrażona. Nie zamierzała przejmować się doktorem Winstonem. Nie jest pierwszym kretyńcem, jakiego spotkała w życiu. I nie będzie ostatnim. - Woli pan, żeby nasze rozmowy dotyczyły spraw wyłącznie zawodowych.

- Właśnie.

- Rozumiem. Kiedy wrócimy do szpitala, chciałabym, żeby sporządził pan dla mnie listę pacjentów, umieszczając na niej datę zachorowania, adres domowy i miejsce pracy każdego z nich. Jeżeli chorych łączy jakieś pokrewieństwo, chciałabym to wiedzieć; także jeśli mieszkają koło siebie albo pracują razem. Trzeba ustalić, co ci wszyscy ludzie mogą mieć z sobą wspólnego.

- Pierwszego dnia trafiło do szpitala sześć osób, drugiego pięć kolejnych - przerwał jej Luke. - Trzeciego dnia doszło siedem osób, czwartego cztery. Od tej pory nie zanotowaliśmy nowych przypadków. Ale nie będę spał spokojnie, dopóki nie dowiem się, co to za wirus i skąd się wziął.

- Trzeba jak najszybciej zidentyfikować źródło. - Nawet nie próbowała sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby wirus zaczął się rozmnażać. A taki scenariusz jest całkiem możliwy, jeśli źródło pozostaje nieznane. - W tej części Stanów, zwłaszcza o tej porze roku, można wykluczyć choroby przenoszone przez komary. Powinniśmy raczej przyjrzeć się populacji myszy, ptaków i owiec. Znaleźć winowajcę i go wyeliminować, zapobiec rozprzestrzenieniu się epidemii.

- A jeśli się nie uda? - spytał. - Jeśli nie znajdziemy pierwotnego źródła wirusa?

Faith nigdy nie owijała w bawełnę.

- Wtedy cały kraj znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Oczywiście za nic w świecie by się do tego nie przyznał, ale czuł się znacznie lepiej. Na poprawę jego samopoczucia niewątpliwy wpływ miała zarówno kolacja, jak i odrobina świeżego powietrza.

Drogę powrotną do szpitala pokonali szybkim krokiem. Październikowe dni w Montanie bywały chłodne, zwłaszcza po zachodzie słońca.

Kilka długich kosmyków wysunęło się Faith z gumki, którą miała związane włosy. Opadały na ramiona, lecz zdawała się tego nie zauważać. Prawdę mówiąc, na niewiele rzeczy zwracała uwagę; sprawiała wrażenie, jakby żyła we własnym świecie, pochłonięta własnymi sprawami. Luke ponownie poczuł zapach perfum. Hm, nie maluje się, twierdzi, że się nie perfumuje, ale pachnie niezwykle zmysłowo. Może używa zapachowego szamponu albo mydła?

Poruszała się z gracją, lecz swobodnie, bez żadnej sztuczności. Nie miała figury przyprawiającej o zawrót głowy, talii osy, wydatnych piersi, krągłych bioder. Była szczupła, wiotka, o chłopięcej budowie ciała, którą skrywała pod obszernym swetrem. Krucha i delikatna, a zarazem silna, ponętna, i jednocześnie nieświadoma swej urody. Luke był zaskoczony, że przygląda się jej z takim zafascynowaniem. Podejrzywał, że zauroczenie jej osobą bierze się z niewyspania i ogólnego przemęczenia. Zbliżając się do szpitala, czym prędzej wziął się w garść.

Jak na tak małe miasto, Rockland miało doskonale wyposażony szpital. Większość sprzętu i aparatury medycznej kupiono za pieniądze podarowane przez mieszkańców w pobliżu ranczerów,



którzy wynajmowali turystom pokoje. Twierdzili, że goście przyjeżdżający na wakacje w siodle czują się pewniej, wiedząc, że w razie wypadku ktoś się nimi zajmie. Poza tym pięciu synów jednego z ranczerów trudniło się rodeo; ich ojcu bardzo zależało na tym, aby w pobliżu wybudowano szpital.

Z zewnątrz budynek wyglądał niezbyt ciekawie: niski, przysadzisty, wzniesiony z żółtej cegły. Na parterze znajdował się rozległy hol, kilka poczekalni, bufet z paroma stolikami, automaty z kawą i drobnymi przekąskami oraz gabinety, w których przyjmowano pacjentów, na piętrze zaś mieściła się dyżurka pielęgniarek, sale chorych, sale operacyjne i zabiegowe, gabinet Luke'a.

Zazwyczaj piętro świeciło pustką, dopiero w ostatnim tygodniu zaczęło pękać w szwach.

W holu na dole kręciła się trójka dziennikarzy. Luke'owi przemknęło przez myśl, że pewnie pozostałym, którzy koczowali tu od paru dni, znudziła się beczynność; zapewne uznali, że niczego więcej nie zdołają się dowiedzieć i rozjechali się do domów. Jeśli tak, oznacza to, że w tutejszym motelu znów panuje spokój; takiego najazdu gości mieszkańcy Rockland jeszcze nigdy nie widzieli, oczywiście nie licząc sezonu letniego.

Trójka, która wytrwale okupowała hol, sprawiała wrażenie zmęczonych i zniechęconych. Mężczyzna i rudowłosa kobieta tkwili tu od tygodnia. Zgrabna blondynka z Great Falls przybyła trzy, góra cztery dni temu. Gdy tylko rozeszła się wiadomość, że w okręgu

Carson wybuchła epidemia, małe Rockland stało się jednym z najbardziej znanych miast w Stanach.

Na widok lekarzy dziennikarze się ożywili.

- Hej, doktorze Winston! - zawołała ruda, posyłając im znużony uśmiech. - Kim jest pana znajoma?

Luke zignorował pytanie, podobnie jak ignorował wszystkie wcześniejsze: „Ma pan dla nas jakieś wieści? Co to za epidemia? Czy to prawda, że rząd sprawuje nad wszystkim pieczę? Czy zdołał pan już zidentyfikować chorobę?”

Od pięciu dni na parterze cały czas dyżurował zastępca szeryfa, który pilnował, aby żadna niepowołana osoba nie dostała się na piętro. Nie mieściło się Luke'owi w głowie, że trzeba stróża prawa, by chronić ludzi przed śmiertelną chorobą. Do przyjazdu doktor Martin nikt przecież nie wiedział, że wirus nie przenosi się z człowieka na człowieka, a dziennikarze gotowi byli zlekceważyć wszelkie względy bezpieczeństwa. Zastępca szeryfa przynajmniej raz przyłapał dziennikarza z Billings, tego, który wciąż kręcił się po holu, jak usiłował wśliznąć się na górę. To naprawdę niesamowite, pomyślał Luke, do jakich poświęceń ci ludzie są zdolni, gdy chcą uzyskać wiadomości.

Drzwi windy zasunęły się bezgłośnie. Nastąpiła cudowna cisza. W milczeniu wjechali na piętro. Luke nie miał ochoty na kurtuazyjną rozmowę, a doktor Martin sprawiała wrażenie nieobecnej myślami. Kiedy po chwili drzwi się otworzyły, ujrzeli łysiejącego mężczyznę w białym fartuchu.

- Musi to pani koniecznie zobaczyć - powiedział z przejęciem mężczyzna, kierując słowa do Faith.

Luke poczuł się niewidzialny.

Mężczyzna zaprowadził ich na koniec korytarza, do dwóch połączonych ze sobą pokoi, z których wyniesiono wszystkie łóżka, a na ich miejsce wstawiono stoły oraz skomplikowaną aparaturę badawczą. Kiedy Luke z Faith jedli w mieście kolację, Molly wraz ze współpracownikami Faith przygotowała całkiem nieźle wyposażone laboratorium.

- Dzień dobry. - Wysoki chudy blondyn w białym kitlu, spod którego wystawały ciemne spodnie, podszedł do Luke'a, uśmiechając się nieśmiało. - Doktor Willis Helm - przedstawił się. - Dziękuję, doktorze, że zechciał nas pan zaprosić.

Luke wstrzymał się z ripostą, że nikogo nie zapraszał.

- Doktor Larry Gant - kontynuował Helm, wskazując na przejętego mężczyznę, który powitał ich przy windzie. - A to... - skinął głową na ciemnowłosego lekarza w wieku Luke'a, który poprawiając okulary, nie mógł oderwać wzroku od jedynej kobiety w grupie - doktor John White. Ogromnie się cieszymy, że mogliśmy tu przyjechać.

Ogromnie się cieszą? On patrzy, jak pacjenci mu umierają, a oni cieszą się z przyjazdu do Rockland? Cholera!

Nic nie powiedział. Zdawał sobie sprawę, że Helm nie chciał nikogo urazić; po prostu był światowej klasy dupkiem w pokoju pełnym światowej klasy dupków.

Luke postanowił się wycofać; niech każdy zajmie się własną robotą, pomyślał. On musi zająć się Benjy'ego.

- Przepraszam, czeka na mnie pacjent... Doktor Martin uciszyła go, przykładając palec do ust.

Włożywszy fartuch, podeszła szybko do mikroskopu.

Luke, rozbawiony jej zachowaniem, a zarazem zirytowany, oparł się o drzwi. Do diabła, co ona sobie wyobraża? Ze kim on jest? Rozbawienie minęło, gdy po chwili uniosła głowę i napotkała jego wzrok.

- Coś nie tak? - spytał, prostując się. - Czy to ten wirus, którego się pani spodziewała?

- Nie całkiem - odparła, po czym zwróciła się do swoich kolegów: - Wykazuje duże podobieństwo do hantawirusa, ale na pewno nim nie jest. Chyba że mamy do czynienia z nową odmianą. Tak czy inaczej uważam, że można go pokonać megadawką odpowiedniego antybiotyku.

- Próbowałem - wtrącił Luke. - Antybiotyki nie pomagają.

- Chodzi mi o ściśle określony antybiotyk podany w ściśle określonej dawce, nad którym pracuję od paru miesięcy. Został stworzony z myślą o chorobach niewrażliwych na wszelkie inne leki. Niestety, mam przy sobie tylko niewielką ilość... Którzy z pacjentów są najbardziej zagrożeni?

- Półroczny chłopiec, który znajdował się w kiepskim stanie, zanim jeszcze dopadł go ten wirus - odparł bez wahania Luke. - Oraz dwie starsze dziewczynki.

- W takim razie ta trójka pójdzie na pierwszy ogień - zdecydowała Faith, ściągając gumowe rękawiczki. - Do rana sprowadzę więcej, żeby starczyło dla wszystkich.

- Chwileczkę! - Luke wybiegł za nią na korytarz; co za denerwująca istota, pomyślał. - Doceniam pani pomoc i dobre chęci, ale nie pozwolę, żeby leczyła pani moich pacjentów eksperymentalnym lekiem, nawet nie konsultując tego z...

Obróciła się na pięcie. Niewiele brakowało, aby się z nią zderzył.

- Pan nawet nie wie, z czym ma do czynienia - rzekła cicho. - To, co zobaczyłam pod mikroskopem, nie jest wprawdzie tym, czego się spodziewałam, jednakże lepiej od pana znam się na epidemiach...

- Ale to nie znaczy, że...

- Proszę przygotować listę, o której rozmawialiśmy podczas kolacji, a potem udać się do domu, doktorze. Gdyby pan był mi potrzebny, poproszę pielęgniarkę, żeby do pana zadzwoniła.

- Nie mam zamiaru jechać do domu - powiedział, zbliżając twarz do twarzy lekarki.

Znów uderzył go w nozdrza jej zapach. Jeżeli faktycznie się nie perfumuje, w takim razie musi używać silnie pachnącego szamponu. Od śmierci Karen nie stał w tak bliskiej odległości od żadnej kobiety, nie licząc oczywiście pacjentek. Może dlatego tak bardzo nęcił go jej zapach? I może dlatego po plecach przebiegał go dreszcz?

- To są moi pacjenci - oznajmił stanowczo - mój szpital i moja...

- Nie, doktorze - przerwała mu niezrażona jego tonem. - Teraz to są moi pacjenci i mój szpital. Niech pan wraca do domu.

Podejrzewam, że od tygodnia nie zmrużył pan oka.

- Doktor Martin... - z trudem tłumił wściekłość

- powtarzam raz jeszcze: nie mam zamiaru opuszczać szpitala.

- Doktorze Winston... - W głosie Faith nie było cienia irytacji. -

Kiedy pan padnie z wyczerpania, ani ja, ani moi współpracownicy nie będziemy mogli się panem zająć. Mamy ważniejsze rzeczy na głowie niż cucenie nieprzytomnych lekarzy.

- Nie oczekuję żadnego cucenia - warknął.

- W porządku, niech pan robi, co chce. - Odwróciła się. - Nie mam czasu na kłótnie. Dureń! - mruknęła, kiedy była już na końcu korytarza.

Słowo to tak bardzo nie pasowało do chłodnej, opanowanej Faith Martin, że po raz pierwszy, odkąd tajemnicza choroba zaczęła atakować jego przyjaciół i sąsiadów, Luke uśmiechnął się pod nosem. Ten uśmiech jednak szybko zgasł.

Było już sporo po północy, kiedy Faith weszła do pokoju, w którym leżał najmłodszy pacjent. Gdy ostatni raz sprawdzała, stan chłopca wyraźnie się poprawił. W sąsiedniej sali leżała jeszcze dwójka dzieci, ale Benjy, najciężej chory spośród wszystkich zakażonych, miał pokój wyłącznie dla siebie. Oczywiście stale dyżurowała przy nim pielęgniarka. Biorąc pod uwagę, że nie miały doświadczenia w opiece nad śmiertelnie chorymi niemowlętami, radziły sobie doskonale.

Teraz dyżur przy łóżku Benjy'ego pełnił doktor Winston. Siedział na fotelu bujanym, trzymając na rękach śpiące maleństwo. Chłopczyk był tak otulony niebieskim kocykiem, że widać było tylko jego twarz.

Na dźwięk otwieranych drzwi Luke uniósł wolno głowę. Faith nastawiła się psychicznie na kolejną awanturę. Facet jest niemożliwy! Wszystko mu się nie podoba, ciągle o wszystko ma do niej pretensje. Nie przejmowała się tym zbytnio. Potrafiła być równie stanowcza i uparta jak on.

Trudno się jednak złościć na mężczyznę, który tuli do piersi chore dziecko. Może, przemknęło jej przez myśl, to wcale nie jest złe, gdy lekarz tak bardzo troszczy się o pacjentów. Postanowiła, że jeśli będzie miał ochotę nakrzyczeć na nią za to, że się rządzi i próbuje przejąć sprawy w swoje ręce, przyjmie to ze spokojem. Może po prostu Luke Winston musi dać upust emocjom?

- Dziękuję - powiedział szeptem.

Do tego stopnia ją zaskoczył, że przez moment nie wiedziała, jak zareagować.

- Wygląda na to, że antybiotyk działa - rzekła po chwili. - Nie wiadomo, czy wyleczy Benjy'ego, ale przynajmniej złagodzi objawy, a my zyskamy trochę czasu. Dzięki liście, którą pan sporządził, powinniśmy w miarę szybko znaleźć i wyeliminować źródło zakażenia.

Popatrzyła na niemowlę; w przyćmionym świetle słabo widziała jego twarz.

- Kiedy zjawiała się pani dziś po południu - oznajmił cicho Luke - zastanawiałem się, w jaki sposób poinformować matkę Benjy'ego o tym, że jej syn umiera. Dzięki pani już nie muszę.

- Doktorze, ja po prostu wykonuję swoją pracę - rzekła speszona.

- Luke. Proszę mi mówić po imieniu. Wszyscy się do mnie tak zwracają.

Prawdę mówiąc, wołałaby, aby ich relacje pozostały na płaszczyźnie zawodowej. Przyjechała do Rockland, żeby zahamować epidemię i wyleczyć pacjentów. Oczywiście chciała również zbadać wirusa, może wynaleźć skuteczną szczepionkę, ale takie badania prowadzi się latami w dobrze wyposażonym laboratorium. W Rockland jej zadanie polega na powstrzymaniu epidemii. Kiedy osiągnie cel, ruszy w drogę do kolejnego miasteczka, w którym kolejny wirus będzie siał spustoszenie. Tak wygląda jej życie: praca i nieustanne przemieszczanie się z miejsca na miejsce.

Nie miała czasu na nawiązywanie przyjaźni z miejscową ludnością ani na podziwianie wiejskich lekarzy, którzy z sercem i zaangażowaniem leczą każdy indywidualny przypadek. Ale Luke Winston tak bardzo przejął się losem małego chłopczyka, że...

- Dobrze - rzekła. - A więc Luke, bądź rozsądny, błagam cię. Jedź do domu i wyśpij się. Wyglądasz strasznie.

Przyjrzał się jej spod oka.

- Skąd pani wie? Może taką mam urodę? - Wstał jednak z fotela i położył dziecko z powrotem do łóżeczka.



Ręce miał duże, zwłaszcza w porównaniu z wątłą kruszyną, którą starannie przykrył kołderką. Duże, silne, ale niezwykle delikatne i troskliwe. Dziecko poruszyło się i ziewnęło przez sen, ale nie obudziło się.

- Chyba skorzystam z pani rady i wpadnę na parę godzin do domu. Uściskam córkę, może chwilę się zdrzemnę...

Poczuła dziwne ukłucie w sercu. „Uściskam córkę”. No pewnie, jest żonaty. Tacy faceci jak Luke Winston nie mieszkają samotnie. Ich życie nie obraca się wyłącznie wokół pracy.

- Żona się ucieszy - rzekła przyjaznym tonem Faith. - Wreszcie, po tylu godzinach, ujrzy męża...

Nawet w przygaszonym świetle spostrzegła, że w twarzy Luke'a pojawia się napięcie.

- Moja żona nie żyje.

- Przepraszam, nie wiedziałam - szepnęła Faith. Nie wyjaśnił, kiedy zmarła, na co chorowała ani jak długo jest wdowcem. To musi być okropne, pomyślała, w tak młodym wieku stracić ukochaną osobę. Nie umiała sobie tego wyobrazić.

Domyśliła się, że Luke nie chce rozmawiać o swoich przeżyciach.

- Wrócę z samego rana - rzekł, kierując się ku drzwiom. - Świeży i wykąpany.

- Nie. musisz się spieszyć, po prostu się dobrze wyśpij. O świcie przyleci wojskowy helikopter z zamówioną porcją antybiotyków.

Podamy chorym lek, a następnie skupimy się na szukaniu źródła wirusa oraz jego dokładnej analizie.

- Innymi słowy będę tylko zawadzał?

- Tego nie powiedziałam.

Napięcie, które niedawno pojawiło się w jego twarzy, zniknęło, ale wciąż widać było, że jest nieludzko zmęczony. Ledwo trzymał się na nogach. Przydałoby się ogolić, ostrzyć, wejść pod prysznic, a potem wskoczyć do łóżka i pospać kilka dni. Faith zastanawiała się, skąd ten facet czerpie siłę. Przecież gdyby tu nie przyjechała, gdyby stan Benjy'ego się nie poprawił i gdyby uważał, że jego obecność w szpitalu może komukolwiek pomóc, spędziłby na oddziale kolejną noc.

Przystanąwszy w drzwiach, zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, po czym spojrzał jej prosto w oczy. Stali bez ruchu, patrząc sobie w oczy. Faith wstrzymała oddech. Po raz pierwszy w życiu jakiś mężczyzna patrzył na nią jak na atrakcyjną kobietę, która wzbudza jego zainteresowanie.

- W tym świetle wcale nie wygląda pani na oschłą, poważną panią doktor - powiedział i nie czekając na jej reakcję, kontynuował: - Ma pani piękne duże oczy, mały zadarty nosek, no i cudowne gęste włosy.

Chciała się oburzyć, zawołać, że wcale nie ma zadartego nosa, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

- Nie życzę sobie, doktorze...

- Wiem, wiem. Żebym prawil pani komplementy. Ale chyba nie wezwie pani ochrony i nie każe mnie aresztować za to, że podziwiam jej urodę?

- Niech pan nie będzie śmieszny. Oczywiście, że nie.

- To dobrze. Wie pani, od samego początku miała pani rację. O wirusie, o potrzebie ściągnięcia tego eksperymentalnego leku, o tym, że powinienem się wyspać. Pani jest chyba jedną z tych kobiet, które się nigdy nie mylą. To musi być strasznie męczące, nieprawdaż?

Otworzyła usta, by zaprotestować, ale nie zdążyła.

- Boże, padam na nos. Czuję się totalnie wypompowany. - Po jego wargach przemknął cień uśmiechu. - Wtedy zawsze gadam, co mi ślina na język przyniesie. Mówilem już, że ładnie pani pachnie?

- Doktorze Winston - przerwała mu ostro Faith - pańskie zachowanie jest całkiem nie na miejscu.

- Wiem - przyznał. - I może jutro będzie mi wstyd. - Nacisnął klamkę. - A może nie - dodał i nie odwracając się, wyszedł na korytarz. - Dobranoc, doktor Martin.

Dopiero gdy drzwi się zamknęły, a Luke oddalał się w stronę schodów, uzmysłowiła sobie, że powinna była go poprosić, aby on również zwracał się do niej po imieniu. No cóż, przy następnej okazji...

## ROZDZIAŁ TRZECI

Odkąd pięć lat temu przyjechał w te strony, mieszkał kilka minut na piechotę od szpitala - w pięknym drewnianym domu, nie za małym, nie za dużym, takim w sam raz. Zakochał się w nim od pierwszego wejrzenia.

Nagle naszło go wspomnienie, o którym wolałby zapomnieć. O Karen, która nienawidziła tego miejsca i tego domu. Czasem snuła marzenia, że zbudują sobie wspaniałą willę, która bardziej odpowiadałaby jego pozycji zawodowej. Częściej jednak wierciła mu dziurę w brzuchu, że powinni wrócić do miasta, że ona chce żyć w luksusie, jak przystało na żonę prawdziwego lekarza, i wydawać pieniądze, które on bez trudu zarobiłby w dużym szpitalu. Nie znosiła Rockland. Niestety, zrozumiał to zbyt późno.

Starał się wymazać z pamięci ostatnią rozmowę, jaką odbył z żoną w dniu jej śmierci, ale nie potrafił. Zadręczał się rozmyślaniami o tym, jak powinien był się zachować i co powinien był zrobić. Nie odczuwał już tak potwornych wyrzutów sumienia jak przez pierwsze trzy miesiące po śmierci Karen, ale nadal mu towarzyszyły. Każdego dnia, każdej nocy.

Wędrując bladym świtem do szpitala, wciągnął w płuca zimne październikowe powietrze. Podejrzał, że wkrótce krajobraz powlecze się bielą; na wietrze niemal unosił się zapach śniegu. W wielu miejscach, gdzie mieszkał jako dziecko, śnieg w ogóle nie padał, a już na pewno nie wczesną jesienią. Tak było w Teksasie, na

Florydzie, w Missisipi. Potem kilka lat spędził w Wirginii i w Michigan; tam oczywiście śnieg był zjawiskiem powszechnym. Tyle razy się przeprowadzał...

Jego ojciec elektryk jechał tam, gdzie proponowano mu pracę; rodzina nigdzie dłużej nie zagrzała miejsca. Może dlatego Luke tak bardzo kochał swój dom w Rockland. Było to pierwsze miejsce, w którym zapuścił korzenie. Miał dość zmian. Tu mu się podobało i nie chciał znów zaczynać gdzieś od nowa. Nawet dla Karen.

Ponownie zalała go fala wspomnień. Czy żona nadal by żyła, gdyby jednak uległ jej żądaniom i wyjechał z Carson?

Na widok wyłaniającego się zza rogu szpitala odsunął od siebie ponure myśli i skupił się na bieżących sprawach. Przypomniawszy sobie wczorajszą rozmowę z doktor Faith Martin i ogarnął go wstyd. Ale się popisał! Nie zdziwiłby się, gdyby zakazała mu wstępu na pierwsze piętro. Pewnie tak jak obiecywała, ściągnęła do pomocy wojsko i poprosiła dowódcę, aby cały czas miał go na oku.

Oczywiście, nie zamierzał nikogo słuchać. Bez względu na to, kim jest Faith Martin i jak wielką dzierży władzę, on nie pozwoli sobie dyrygować. To jest jego szpital, a w środku leżą jego pacjenci. Owszem, potrzebuje pomocy, ale nie potrzebuje jakiejś apodyktycznej ważniaczki, która by wszystkich rozstawiała po kątach.

Okazało się, że niepotrzebnie nastawił się bojowo. Dyżurujący przy windzie zastępca szeryfa przyłożył palce do kapelusza i skinął na powitanie głową. Na piętrze nie było żadnych uzbrojonych żołnierzy ani dowódcy z rozkazem, aby go zawrócić na dół.

Na widok Faith pogrążonej w dyskusji z szeryfem Talbotem Luke uśmiechnął się pod nosem. Wyglądali dość intrygująco. On - potężnie zbudowany, otyły, powolny w ruchach łysiejący facet mierzący ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ubrany w opiętą na brzuchu koszulę w kolorze khaki; ona - szczupła, atrakcyjna kobieta, niższa od niego o co najmniej dwadzieścia centymetrów, ubrana w luźny biały fartuch. Musieli toczyć zażarty spór, który wygrywała Faith. Luke poznał to po czerwonych plamach na twarzy szeryfa.

Kilka godzin snu nie umniejszyło jego fascynacji obcą lekarką; nadal go pociągała. W przeciwieństwie do niego, od wielu godzin nie zmrużyła oka. Pod fartuchem miała na sobie to samo ubranie co wczoraj: luźne, bezkształtne, szarobure. Ciekawe, czy całą noc spędziła w laboratorium? A może krążyła od pokoju do pokoju, sprawdzając stan pacjentów?

Może wczoraj zbyt zuchwale prawił jej komplementy, ale żadnego z nich by dzisiaj nie odwołał.

Nelda, jego gosposia, a zarazem opiekunka do dziecka, pewnie miała rację, gdy upierała się, że to nienormalne, aby zdrowy, trzydziestosiedmioletni facet żył samotnie. Ciągle mu tłumaczyła, że Abby potrzebuje matki, że on sam potrzebuje żony; że któregoś pięknego dnia wreszcie uwolni się od przeszłości i znów zacznie cieszyć życiem.

Nelda. Z miłą chęcią pozbyłby się tej wścibskiej baby, gdyby Abby tak bardzo jej nie kochała.

Z każdym krokiem coraz lepiej słyszał rozmowę pomiędzy Faith a szeryfem.

- Nie ma pan wyjścia, szeryfie - oznajmiła Faith.

- Ile razy trzeba pani powtarzać? Mam za mało ludzi, żeby kazać im chodzić po domach dwudziestu dwóch chorych i szukać zdechłych gryzoni.

- To mnie nie interesuje. Jeśli ma pan za mało ludzi, proszę wezwać posiłki z sąsiednich miejscowości. I proszę powiedzieć swym podwładnym, żeby zwracali uwagę głównie na martwe ptaki lub myszy. Koniecznie niech noszą odzież ochronną: fartuchy, rękawice, maski.

- Obawiam się - zaczął ponownie szeryf - że nie jestem w stanie...

- Oczywiście dwadzieścia dwie chore osoby nie oznaczają dwudziestu dwóch domów - przerwała mu Faith. - Część z zakażonych to osoby spokrewnione, które mieszkają razem. Mamy matkę z synem, dwie siostry, męża i żonę. Ale należy również sprawdzić miejsca pracy tych osób.

- Wykluczone! - ryknął Talbot.

- W porządku - stwierdziła spokojnie. - Zadzwonię do gubernatora i poinformuję go, że policja w Carson nie potrafi sobie poradzić z zaistniałym kryzysem. Pan gubernator na pewno znajdzie jakieś rozwiązanie.

Szeryf cofnął się o krok. Najwyraźniej wołał się obyć bez pomocy gubernatora.

- Zobaczą, co da się zrobić - mruknął.

- Ale dzisiaj. Nie jutro czy pojutrze.

- Jasne. Dzisiaj.

Luke nie zdziwił się, słysząc, kto wygrał spór.

- Dzień dobry - powiedział, przystając obok.

- Dzień dobry - odparł szeryf, po czym ruszył do windy.

Luke przyjrzał się uważnie Faith. Miała podkrążone oczy, nienaturalnie bladą twarz.

- Co się dzieje? - spytał.

- Nic.

Pokręcił głową.

- Wysyła mnie pani do domu, każe się przespać, a sama pracuje non stop.

Nagle dostrzegł w jej spojrzeniu coś, czego wcześniej nie zauważył. Frustrację.

- Po prostu nie mogę rozgryźć tego wirusa - przyznała cicho. - Coś mi umyka, coś się nie zgadza.

- Najwyższy czas, żeby pani odpoczęła. - Wziąwszy ją za łokieć, zaczął prowadzić w stronę windy. - Gdzie się pani zatrzymała? W motelu?

Tutejszy motel dysponował dwunastoma skromnie urządzonej pokojami, do których wchodziło się z niedużego parkingu. W każdym stało jedno szerokie łóżko, szafka i stolik. O żadnych luksusach nie można było marzyć, ale Faith nie potrzebowała luksusów, tylko wygodnego materaca, czystej pościeli i paru godzin snu.



- Tak, ale...

- Żadne ale. Proszę odpocząć. Jak się pani porządnie wyśpi, problemy same się rozwiążą. - Uśmiechnął się. - Wiem, co mówię.

- Powinnam być na miejscu, kiedy przyleci helikopter z antybiotykami. Spodziewam się go za trzy godziny. Muszę też jeszcze raz rzucić okiem na...

Co za uparty osioł!

- Do jasnej cholery, Fai... doktor Martin! - poprawił się szybko. - Niech sobie pani przypomni własne rady i się do nich zastosuje. Nikt się panią nie będzie zajmował, jeśli padnie pani z wyczerpania.

- Nie padnę. Potrafię nie spać kilka dni z rzędu i nie odczuwać żadnych negatywnych skutków. A cudzych rad nie lubię słuchać.

Cofnął rękę.

- W porządku. Niech pani haruje jak wół. Co mnie to obchodzi? Tylko proszę uważać, żeby z powodu niewyspania nie popełniła pani jakiegoś błędu podczas leczenia moich pacjentów.

Na jej twarzy odmalował się wyraz oburzenia.

- Ja nie popełniam błędów.

- Nie twierdzę, że pani popełnia.

- Jestem niezwykle ostrożna.

- Nie wątpię.

Spodziewał się, że Faith odwróci się zaraz na pięcie i odejdzie obrażona. Tak się nie stało.

- Jeżeli zmieni pani zdanie - powiedział po chwili - u mnie w gabinecie jest kozetka. Nikt pani nie będzie przeszkadzał...

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Może rzeczywiście z niej skorzystam? Czuję się dość zmęczona. - Zawahała się. - Obudzisz mnie za godzinę lub dwie, kiedy przyleci helikopter?

- Oczywiście.

Odgarnąwszy z policzka kosmyk ciemnych włosów, spuściła nieśmiało wzrok.

- Mam jeszcze jedną prośbę. Czy mógłbyś mówić do mnie po imieniu?

Miał dziwne uczucie, jakby spotkało go wielkie wyróżnienie. Może faktycznie tak było. Trzej współpracownicy, w których przyjechała do Rockland, zwracali się do niej per pani doktor. Ona zaś zdawała się tego nie dostrzegać.

- Z przyjemnością - odparł.

Po dwugodzinnej drzemce poczuła się świeża i wypoczęta. Powinna była przespać się wcześniej, ale tajemniczy wirus nie dawał jej spokoju. Miał wiele cech hantawirusa, ale nim nie był. Czyżby mutacja? Podejrzewała, że chorobę przenoszą zakażone ptaki lub myszy, lecz na razie była to hipoteza.

Jeżeli nie uda się go powstrzymać, wirus może rozprzestrzenić się po całym kraju. Liczyła jednak, że przy odrobinie szczęścia i wyteżonej pracy zdoła zahamować rozwój epidemii. Należy zniszczyć źródło zakażenia, zanim wirus pochłonie kolejne ofiary.

Gabinet Luke'a był nieduży, ale wygodny i funkcjonalny, głównie dzięki pokaźnych rozmiarów wnęce, w której stała kozetka,

lodówka i kuchenka mikrofalowa, oraz małej łazience z prysznicem. Wygląda na to, że doktor Winston traktuje gabinet jak drugi dom; czasem pewnie rzeczywiście nie wychodzi ze szpitala przez wiele dni.

Faith spojrzała na zegarek. Mniej więcej za pół godziny powinien wylądować helikopter z antybiotykami. Hm, zdążyłaby się wykąpać. Im dłużej myślała o strugach ciepłej wody, tym bardziej miała ochotę na prysznic. Pchnąwszy drzwi, zerknęła do łazienki; zobaczyła stos ręczników, mydło, szampon. W wielu miejscach, w których przebywała w ciągu ostatnich paru lat, możliwość kąpieli była prawdziwym luksusem. Szybko, żeby się przypadkiem nie rozmyślić, zaczęła ściągać ubranie. Dziesięć minut, więcej nie potrzebuje.

Nieprawda. W ciepłe czuła się tak wspaniale, że po dziesięciu minutach wcale nie zamierzała kończyć. Stała bez ruchu, z zamkniętymi oczami, rozkoszując się silnym strumieniem wody omywającym jej twarz, a jednocześnie usiłując przetrwać wszystkie zebrane wcześniej informacje. Na ogół szybko i sprawnie układała elementy w całość. Dziś szło jej to wyjątkowo opornie.

W swoim życiu zawodowym widywała znacznie groźniejsze choroby i pomagała pacjentom o wiele ciężiej doświadczonym niż ci w Rockland. Ale po raz pierwszy miała do czynienia z tak tajemniczym wirusem.

Zakręciwszy wodę, chwyciła duży biały ręcznik. Wycierając się, spojrzała na rzucone na podłogę ubranie i westchnęła głośno. Nie lubiła wciągać na umyte ciało brudnej, przepoczonej odzieży, ale nie było wyjścia.

Chyba że znajdzie w gabinecie Luke'a czyste białe spodnie i kurtkę. Powinien mieć jakieś na zmianę. Osuszywszy pośpiesznie włosy, Faith owinęła się miękkim puszystym ręcznikiem i wyszła z łazienki. Hm, od czego by tu zacząć? Rozejrzała się po gabinecie. Naprzeciwko biurka stała wysoka komoda. Jeżeli Luke trzyma zapasowy komplet ubrania, to tylko tu.

Sprawdziła górne półki; nie znalazłszy nic, pochyliła się i wyciągnęła dolną szufladę z prawej strony, kiedy nagle otworzyły się drzwi.

- Pobudka. Heli... - Luke urwał.

Faith poderwała się i odwróciła do niego twarzą.

- Helikopter wylądował - dokończył.

- Dziękuję.

Ścisnęła ręcznik, aby przypadkiem się nie zsunął. Była zasłonięta od piersi po uda. W wielu krajach Trzeciego Świata, w których przebywała całymi miesiącami, nagość była czymś naturalnym, a poczucie wstydu nie istniało. Więc dlaczego teraz oblała się rumieńcem?

- Szukałam czystego fartucha, a jeszcze lepiej spodni i bluzy... - Nie tłumaczyła Luke'owi, że nie bardzo ma ochotę wkładać coś, w czym chodziła przez cały dzień i noc.

- Są w lewej dolnej szufladzie. Nie krępuj się.

- Dziękuję.

Stał w drzwiach jak zahipnotyzowany, dopiero po chwili odwrócił się i wyszedł na korytarz.

Uff! Dopiero gdy została sama, zdała sobie sprawę, jak mocno wali jej serce. Oddech miała przyśpieszony, policzki wciąż rozpalone rumieńcem, a po plecach przebiegały ją dreszcze. Gdyby była młoda, naiwna i niedoświadczona, uznałaby, że to początki grypy.

Zastanawiał się, czy ktoś kiedykolwiek powiedział doktor Martin, że ma wyjątkowo zgrabny tyłeczek. Pewnie nie. Przypuszczalnie umawiała się na randki z facetami lepiej wychowanymi i mającymi większą klasę niż on. Z facetami, którzy w odpowiednim momencie prawili jej właściwe komplementy, którzy zabierali ją na kolację do eleganckich restauracji i może na trzeciej randce kradli jej całusa. Chociaż nie. Co jak co, ale Faith nie chodzi na randki z jakimiś tam facetami. Jeżeli się z kimś spotyka, to z mężczyznami równie sztywnymi jak ona sama.

Korciło go, by pochwalić jej tyłeczek. Rzadko się takie ładne widuje. Wiedział, co mówi, bo kiedy wszedł do gabinetu, by ją obudzić, akurat stała pochylona nad szufladą...

W pierwszej chwili Faith Martin sprawiała wrażenie kobiety oschłej, beznamietnej, której nic poza pracą nie bawi. Chociaż przyjechała do Rockland niecałe dwadzieścia cztery godziny temu i jeszcze nie zdążył jej poznać, wiedział, że w jej wypadku pozory bardzo mylą.

Zaskoczony swą reakcją na widok rozebranej kobiety, po chwili wziął się w garść. Biorąc przykład z Faith, która wyłoniła się z gabinetu i zaczęła podawać pacjentom nowy antybiotyk, usiłował skupić się na pracy. Karen zmarła dziesięć miesięcy temu; ostatni raz

kochał się z żoną nieco ponad rok temu. Faith budziła w nim pożądanie. To tylko o to chodzi. O pociąg fizyczny. Przecież się w niej nie zakochał.

Podjeżdżał, że Faith nie interesuje seks służący rozładowaniu napięcia. Pewnie w ogóle nie interesuje jej seks jako sport lub miły sposób spędzenia czasu. Pewnie, żeby pójść do łóżka z facetem, musi być zakochana. W wieku trzydziestu paru lat jest za stara na dziewicę. Ale coś z niej w sobie ma. Chłód, powściągliwość, rezerwę. Czy on, Luke, zdoła zburzyć mur, którym się otaczała, i poznać jej prawdziwą naturę? Wątpił. W sprawach męsko-damskich był nieudacznikiem. Żona coraz bardziej go nie lubiła; w ostatnich latach małżeństwa ziała do niego nienawiścią. Czy naprawdę sądzili, że dziecko uratuje, ich związek? Kompletny nonsens. Od śmierci Karen wiele kobiet z nim flirtowało, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że są chętne. Nie skorzystał. Chociaż większość była ładna, miła i wolna, jakoś z żadną nie miał ochoty nawiązać bliższego kontaktu.

Więc dlaczego Faith Martin wywarła na nim takie wrażenie? I to akurat teraz?

Odkąd wtargnął bez pukania do gabinetu i zastał ją w negliżu, unikała jego wzroku. Włosy miała ściągnięte w koński ogon, wciąż lekko wilgotne po myciu. Spodnie i bluza, które znalazła w gabinecie, były zdecydowanie za duże, ale po umiejętnym podwinięciu nogawek i rękawów wyglądała w nich całkiem nieźle.

Wszyscy chorzy otrzymali odpowiednią dawkę antybiotyku. Ci, którzy dostali lek wczoraj, wykazywali znaczną poprawę. Od czterech

dni na oddziale nie pojawił się żaden nowy pacjent. Luke trzymał kciuki, aby tak już pozostało. A przynajmniej aby kryzys został zażegnany. Wtedy chorzy wyzdrowieją, a Faith wróci do siebie - opuści szpital, miasto i jego myśli.

Cieszyła ją reakcja pacjentów na nowy lek. Najważniejsze było to, że antybiotyk skutkuje. Oczywiście nikt nie wyzdrowiał w ciągu paru godzin, ale już żadna z zakażonych wirusem osób nie znajdowała się w stanie krytycznym. Teraz należy się skupić na badaniu samego wirusa.

Szeryf twierdził, że jego ludzie nie natrafili na żadne ślady w postaci martwych ptaków czy myszy ani w domach, ani w miejscach pracy zakażonych osób. Faith jeszcze chwilę zamierzała się wstrzymać; jeżeli wkrótce czegoś nie znajdą, wtedy zwróci się do wyższych instancji, aby zarządziły dokładne przeszukanie terenu. Na razie chciała dać szansę szeryfowi, żeby nie miał do niej pretensji, ale potem... po prostu źródło zakażenia nie może pozostać nieodkryte.

Późnym popołudniem zaczęła opadać z sił. Wiedziała, że nie wystarczy poranna drzemka, aby mogła siedzieć przez całą noc, a najbardziej lubiła pracować w godzinach nocnych. W szpitalu panowała wówczas cisza, współpracownicy spali, miała laboratorium do własnej dyspozycji.

Zbiegła niepostrzeżenie po schodach, jednej Molly zostawiając wiadomość, dokąd się udaje. Chciała coś zjeść, przespać się w swoim łóżku, ponownie wykapać, włożyć czystą bieliznę i własne spodnie. I

mieć pewność, że tym razem nikt nie wtargnie, gdy będzie chodziła naga po pokoju.

W holu na dole, przy biurku rejestratorki, dyżurował jeden z młodych zastępców szeryfa. A właściwie nie dyżurował, tylko spał w najlepsze. Miała ochotę obudzić go i zrugać, bądź co bądź chłopak powinien strzec szpitala, z drugiej strony wiedziała, że policjanci od wielu godzin są na nogach. Tyle że gdy ochrona śpi, po szpitalu kręci się kto chce. Rudowłosa dziennikarka -jedyna, która pozostała na placu boju - z uśmiechem na twarzy zrównała krok z Faith. Ta wiedziała, że rozmowa z przedstawicielami prasy jej nie ominie.

- Odpowie mi pani na parę pytań? - spytała przyjaznym tonem dziennikarka. - Bardzo proszę...

- Dobrze. - Faith rozejrzała się po pustym holu. - A gdzie pani koledzy?

Podejrzewała, że wkrótce we wszystkich gazetach pojawią się artykuły o tajemniczym wirusie. Ludzie uwielbiają czytać o nieznanym chorobach zbierających śmiertelne żniwo.

- Wyszli coś zjeść.

- A pani nie jest głodna?

- Prosiłam, żeby mi przynieśli kanapkę - odparła dziennikarka. - I dopisało mi szczęście. Gdybym z nimi poszła, nie spotkałabym pani.

- Mam niewiele czasu i niewiele do powiedzenia

- rzekła Faith. - Ale chętnie odpowiem na kilka pytań. Jeśli oczywiście będę umiała...



- Może najpierw... kim pani jest i dlaczego tu przyjechała? -  
Dziennikarka patrzyła wyczekująco, z ołówkiem uniesionym nad notesem.

- Faith Martin z NIAiCZ. Przyjechałam z grupą moich współpracowników, żeby wesprzeć doktora Winstona.

Oczy dziennikarki zaśniły z podniecenia.

- Rozumiem. Czy już wiadomo, z czym mamy do czynienia? Co powoduje tę dziwną chorobę?

Oby tak dalej, pomyślała Faith. Proste pytania, proste odpowiedzi.

- Mogę panią zapewnić, że epidemia się nie rozprzestrzeni. Sytuacja jest pod kontrolą. Stan pacjentów jest stabilny. Jak tylko będę wiedziała coś więcej na temat wirusa wywołującego chorobę, złożę prasie oficjalne oświadczenie.

Faith zdziwiło, że kobieta niczego nie zapisuje. Sprawiała wrażenie szczerze zainteresowanej, ale nie powinna polegać wyłącznie na pamięci. Zbyt często dziennikarze niedokładnie cytują rozmówców lub wręcz przekręcają ich wypowiedzi.

Nagle kobieta przysunęła się bliżej i szepnęła:

- „Dziewczynko, dziewczynko, gdzieś schodziła trzewiczki? W ogrodzie; dla mej królowej zrywałam różyczki”.

Faith zakreśliło się w głowie. Kolana miała jak z waty; bała się, że zaraz osunie się na podłogę. Dziennikarka ujęła ją mocno pod ramię i zaczęła prowadzić w stronę stojących pod oknem plastikowych krzeseł, cały czas szepcząc jej coś do ucha. Okno

wychodziło na parking przed szpitalem. Obie kobiety usiadły; dziennikarka wciąż ścisnęła Faith za łokieć.

Ściany i podłoga falowały. Faith usiłowała wyteńczyć wzrok, ale wszystko tańczyło jej przed oczami. Słowa dziennikarki szumiały jej w uszach, coraz głośniejsze, coraz bardziej natarczywie. Pochyliwszy się, przyłożyła dłonie do skroni. Szum nie ustawał. Boże, ciszej! Zacisnęła powieki. Postanowiła wziąć głęboki oddech. Nie mogła.

Wiedziała, że za moment zemdleje. Przeraziła się. Nie chciała stracić przytomności. Resztką sił starała się nie pograżyć w ciemnej, otchłani. Miała wrażenie, że siedząca obok kobieta coś do niej krzyczy. Czy to możliwe? Nie, nie krzyczała. Szeptowała. Powtarzała szeptem jakieś słowa, zupełnie pozbawione sensu, które niczym echo dudniły jej w głowie.

Ni stąd, ni zowąd zdała sobie sprawę z obecności Luke'a, który odsunął na bok dziennikarkę, po czym kucnął przed nią i ujął ją za nadgarstki. Delikatnym, lecz stanowczym ruchem odciągnął jej rękę od twarzy. Patrząc w jego twarz i niebieskie oczy, czuła, jak powoli wraca do rzeczywistości.

- Co się dzieje? - spytał ochryple. Otworzyła usta, ale nie była w stanie wydobyć głosu.

- Zasłabła i zaczęła tracić przytomność - wyjaśniła stojąca obok młoda kobieta.

Luke uniósł na nią wzrok.

- Kim pani jest?

- Mitzi Chastain z „Bozeman News”

- Faith? - Luke puścił jej nadgarstki. W jego głosie brzmiała nuta zatroskania. - Jak się czujesz?

Położyła rękę na jego ramieniu. Było twarde, solidne, ciepłe. Kolory i kształty zaczęły nabierać ostrości. W głowie przestało jej szumieć, ból już nie rozsadzał czaszki.

- Nic mi nie będzie.

- Musisz odpocząć, nie można pracować bez przerwy. - Obejrzał się za siebie. - Michaelu Franklinie! - ryknął.

Zastępca szeryfa poderwał głowę.

- Co takiego? - spytał sennie.

- Cholera jasna! Jeżeli musisz spać na służbie, poproś kogoś, żeby cię zastąpił.

Policjant ziewnął.

- Nie da rady, Luke. Wszyscy pracujemy po osiemnaście godzin na dobę.

Mamrocząc coś pod nosem, Luke objął Faith w pasie i pomógł jej wstać. Zazwyczaj wzbraniała się przed pomocą; nigdy na nikim się nie wspierała, dosłownie i w przenośni. Ale teraz z wdzięcznością przyjęła pomoc Luke'a; potrzebowała jego siły. Był wysoki, przewyższał ją co najmniej o głowę. Czuła się przy nim bezpieczna.

Hm, jak miło, jak przyjemnie. Odprężyła się, oparła o ciało mężczyzny...

Nagle spięła się. Wcale nie jest miło ani przyjemnie. Przeciwnie, bardzo się jej to wszystko nie podoba.

- Zabieram cię do siebie do domu.

- Nie zabierasz! - sprzeciwiła się ostro.

- Zabieram. Przez jakiś czas chciałbym cię mieć na oku - wyjaśnił. - Poza tym Nelda zawsze szykuje kolację jak dla wojska. Odpoczniesz, zjesz coś i jeśli uznam, że nie grozi ci kolejne omdlenie, odwiozę cię na noc do motelu.

- No dobrze. - Nie zamierzała się kłócić. Wiedziała, że w dalszym ciągu coś jest z nią nie tak, i czuła się pewniej w towarzystwie drugiego lekarza.

Podtrzymując kobietę, Luke skierował się do drzwi. Podmuch zimnego powietrza z miejsca ją orzeźwił. Szła powoli, oddychając głęboko. Tak, październik w Mon-tanie jest zdecydowanie chłodniejszy niż w Waszyngtonie, gdzie spędziła kilka ostatnich dni.

- Co się tam stało? - spytał Luke, kiedy już oddalili się od szpitala.

- Nie jestem pewna - przyznała cicho. - Zgodziłam się odpowiedzieć dziennikarce na kilka pytań...

- Co jej powiedziałaś?

Nagle uświadomiła sobie, że ma pustkę w głowie. Pamiętała, jak ruda Mitzi do niej podchodzi, jak prosi o wywiad, jak ona sama zgadza się na krótką rozmowę, a potem...

- Nie pamiętam - szepnęła.

- Jak to, nie pamiętasz?

Zbliżali się do drewnianego domu otoczonego drzewami.

- Tu mieszkasz? - spytała, wchodząc na werandę.

- Tak.

Otworzył drzwi i wprowadził Faith do środka. Z jej ust wymknęło się błogie westchnienie. Ciepło, spokój, domowa atmosfera, aromatyczne zapachy dolatujące z kuchni, no i kolory! Barwne poduszki, narzuty, wzorzysty dywan, regały pełne książek i bibelotów - cóż za kontrast z bielą i szarością szpitala.

W kuchni rozległ się śmiech dziecka.

Faith znów zakręciło się w głowie. Na chwiejnych nogach, podtrzymywana przez Luke'a, podeszła do wielkiej zielonej kanapy.

- Usiądź - polecił. - I nie ruszaj się stąd.

Nie była przyzwyczajona, aby ktokolwiek jej rozkazywał; to ona zawsze wydawała polecenia. Ale ten jeden raz postanowiła nie protestować.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Neldzie wystarczył jeden rzut oka na Faith, by nabrała pewności, że to ta kobieta. Luke poznał to po nienaturalnym błysku w oczach staruszki. Wprawdzie od śmierci Karen ani razu nie przyprowadził do domu żadnej kobiety, ale... Psiakrew, czy musi w tak jawny sposób okazywać radość?

Nelda podzielała jego zdanie, że gościa należy porządnie nakarmić. Na szczęście Faith nie wzbraniała się przed jedzeniem. Większość kobiet, zwłaszcza szczupłych i dbających o linię, z oporami jadłaby pożywne posiłki, w jakich staruszka się specjalizowała. Pieczeń, ociekająca masłem kukurydza, domowej roboty pieczywo, ziemniaki. Faith jadła powoli, ale z apetytem; talerz opróżniła do czysta. Musiała mieć niesamowitą przemianę materii.

Siedzieli przy stole: Luke, Faith po jego lewej ręce, potem, najbliższej kuchenki, Nelda, aby w każdej chwili móc dołożyć coś z garnka lub patelni, a po prawej ręce ojca, w wysokim krzeselku, mała Abby, która pałaszowała tłuczone ziemniaki. Nieco wcześniej Nelda nakarmiła małą papką ze słoiczka, a raczej usiłowała nakarmić. W ostatnim czasie Abby coraz gwałtowniej się upierała, że chce jeść sama. Oczywiście strasznie przy tym brudziła, zarówno swoje ręce, buzię, jak i wszystko w promieniu pół metra od siebie.

Od czasu do czasu Faith przyglądała się uważnie dziewczynce, jakby spodziewała się, że lada moment wyrośnie jej druga główka. Wreszcie nie wytrzymała.

- W jakim ona jest wieku?
- Dwa tygodnie temu skończyła rok.
- Czyli potrafi już chodzić?
- Pierwsze kroki zrobiła, mając dziesięć i pół miesiąca - odparł

Luke, przypominając sobie widok swojego słodkiego maleństwa, które wędruje prosto w jego ramiona.

Faith pokiwała głową z uznaniem.

- Mówi? - spytała.

- Trochę. Głównie wydaje dźwięki, które tylko Nelda umie rozszyfrować.

- Gdybyś się choć odrobinę skupił, też byś umiał - oznajmiła Nelda, po czym dodała z nieskrywaną dumą: - Abby jest niezwykle mądrym dzieckiem, nad wiek rozwiniętym.

W głębi duszy Luke przyznał staruszce rację, ale czy każdy rodzic nie twierdzi, że jego pociecha jest najładniejsza i najzdolniejsza?

- A może jeszcze kawałek pieczeni? - zaproponowała z uśmiechem Nelda. - Zostało mnóstwo.

Faith przez moment się wahała, ale odmówiła. Musi przecież zostawić miejsce na szarlotkę, którą gospodyni upiekła na deser.

Po skończonym posiłku zaproponowała pomoc przy zmywaniu naczyń. Nelda oczywiście podziękowała.

Lukę też był zdania, że Faith powinna odpocząć: jeszcze nie doszła do siebie po zasłabnięciu w szpitalu. Później zamierzał odwiedzić ją do motelu. Wprawdzie pachniała zmysłowo i wyglądała

rozkosznie w obszernych spodniach z podwiniętymi nogawkami, ale właśnie dlatego bał się zaproponować jej nocleg u siebie.

Kiedy przeszli do salonu, Faith skierowała się prosto w stronę trzaskających płomieni. Tuż przed kolacją Luke rozpałił w kominku; zawsze tak robił w chłodne jesienne wieczory. Wyciągając ręce do ognia, jakby chciała wchłonąć nimi ciepło, Faith wpatrywała się w ogień. Stała bez ruchu, niczym zahipnotyzowana.

- Może powinnaś usiąść...

- Nie, nic mi nie jest.

Nie spuszczał z niej wzroku. Gdyby znów zakręciło się jej w głowie, zdążyłby ją złapać.

- Przestraszyłem się, widząc cię na dole w holu. Na pewno niczym się nie zaraziłaś? - spytał.

Niby twierdzi, że tajemniczym wirusem nie można zarazić się od chorych, ale może nie ma racji?

- Nigdy nie choruję - oznajmiła ze zdziwieniem.

- Nigdy?

- Nigdy.

Każdy się kiedyś czegoś nabawia, a epidemiolodzy, pomyślał Luke, stykają się przecież z najgroźniejszymi, najbardziej zakaźnymi chorobami. Faith wybrała sobie wyjątkowo niebezpieczną specjalizację. Choć zżerała go ciekawość, o nic więcej nie pytał.

Do pokoju przydreptała Abby i szczerząc w uśmiechu ząbki, ruszyła prosto ku rozpostartym ramionom ojca. Nelda zdołała wytrzeć z twarzy i rąk dziecka resztki ziemniaków, a dzięki wielkiemu



ślimakowi sukienka pozostała czysta. Dziewczynka, z promiennym uśmiechem na buzi i lśniąco wesołymi oczami, wyglądała jak aniołek. Luke zgarnął córkę w ramiona. W nagrodę dostał mokrego buziaka.

Mimo braku matki Abby była szczęśliwym dzieckiem. Rzecz jasna, nie zdawała sobie sprawy, że jej życie różni się od życia innych małych dziewczynek. Miała zaledwie dwa miesiące, kiedy Karen zmarła. Któregoś dnia zrozumie jednak, że wychowuje ją ojciec, i zacznie zadawać pytania. Luke bał się tego jak ognia.

- Jest śliczna - powiedziała Faith.

- Abby?

- Oczywiście, że Abby. - Oparła się niedbale o kominek. Mimo luźnych spodni i obszernej bluzy wyglądała niezwykle ponętnie. Z taką figurą śmiało mogłaby być modelką, ona jednak zdawała się całkiem nieświadoma swych fizycznych walorów. - Jest bardzo podobna do ciebie.

- Wszyscy to mówią.

- A ty tego nie widzisz? - zdumiała się.

Pokręcił przecząco głową. Owszem, oboje mieli niebieskie oczy i falujące włosy, a w dzieciństwie on też był blondaskiem. Ale więcej podobieństw nie dostrzegał. Dziwił się, gdy inni twierdzili, że córka odziedziczyła po nim kształt brody, nosa, ust.

- A ty, Faith? Masz dzieci? - Podejrzewał, że nie, zważywszy na rodzaj wykonywanej przez nią pracy i fakt, że ciągle bywała w rozjazdach, ale nigdy nic nie wiadomo.

Przeniosła powoli wzrok na buzujące w kominku płomienie.

- Nie. Czasem jednak... - Urwała i wzięła głęboki oddech, jakby chciała uspokoić emocje, po czym tonem znacznie chłodniejszym oznajmiła: - Dzieci i rodzaj pracy, jaką wykonuję, nie idą w parze.

- Pracę można zmienić - zauważył Luke.

- Ta mnie interesuje. - Faith zerknęła przez ramię. - Poza wszystkim innym - dodała cicho - urodzenie i wychowanie dziecka wymaga czegoś więcej niż samych chęci.

Przydałby się, na przykład, mąż. Nie powiedziała tego na głos, ale Luke wyczytał to z jej spojrzenia.

- Masz jeszcze czas na decyzję - rzekł, zamykając temat.

- Tak, mam jeszcze czas - powtórzyła szeptem. Korciło go, by do niej podejść, objąć ją, przytulić wraz z Abby do piersi. Zważywszy na to, co dziś przeszli i co ich jeszcze czeka, pomysł wydał mu się całkiem rozsądny. Nie wykonał jednak żadnego ruchu.

Wcześniej położyła się spać i długo spała. Więc dlaczego nadal czuje się zmęczona? Usiadła na łóżku, spuściła nogi na podłogę i przeciągnęła się, chcąc dobudzić ciało. Mięśnie protestowały; namawiały ją, by z powrotem wsunęła się pod kołdrę.

Nagle przypomniała sobie, że śniły jej się w nocy jakieś dziwne sny. Nie pamiętała, o co w nich chodziło, ale na pewno wytrąciły ją z równowagi. Może dlatego wciąż jest zmęczona i niewyspana? Przeszła do łazienki. Skupiwszy się, usiłowała odtworzyć chociażby fragment jednego z nich.

Łódź. Tak, śniła się jej łódź. I woda. Oraz ogień. Faith wzdrygnęła się, jakby nie chciała wracać myślami do ciemnej otchłani, w której nocą pogrążył się jej umysł.

Od lat nie miała urlopu. Najwyraźniej potrzebuje dłuższego odpoczynku. Obiecała sobie, że gdy zakończy pracę w Rockland, zrobi sobie miesiąc przerwy. Wyłączy komórkę albo wybierze się na drugi koniec świata, gdzie nikt jej nie odnajdzie i gdzie telefony komórkowe nie mają zasięgu. Nie będą jej kusiły żadne nowe propozycje pracy.

Tak, kiedy odkryje właściwości tajemniczego wirusa, wtedy zaszyje się na jakimś odludziu i... I co? Praca jest całym jej życiem. Bez pracy nie ma zupełnie niczego.

Krzążając się po pokoju, wyobraziła sobie, jak jedzie na wakacje z Lukiem. Przestań, głupia, skarciła się szybko w myślach. Zawsze uważała się za osobę rozsądną, twardo stającą po ziemi. Potrafiła więc w sposób jasny i logiczny wytłumaczyć sobie swoje zainteresowanie Lukiem. Po prostu tykał jej zegar biologiczny; zrozumiała to kilka dni temu, przed wyjazdem do Montany. Zaraz potem wezwano ją do Rockland, a tu poznała jego.

Luke Winston - inteligentny, troskliwy, przystojny, zdrowy... i wolny. Goś się w niej obudziło, jakiś pierwotny instynkt. W dodatku wewnętrzny głos domagał się uwagi: Na co czekasz? - pytał. Chcesz dziecko? Czujesz, jak zegar tyka? Jeszcze nie jest za późno. Nie trać okazji. Ten facet jest ideałem.

W rzeczywistości władczy, uparty, humorzasty Luke Winston nie był żadnym ideałem. Był zwykłym facetem, tyle że spotkała go w chwili, gdy zastanawiała się nad sensem życia i usiłowała podjąć decyzję, która miałaby wpływ na jej przyszłość. Oczywiście czuła się mile połączona tym, że od czasu do czasu Luke łypie, na nią pożądlwym wzrokiem. Teraz, gdy wiedziała, dlaczego na widok Luke'a reaguje przyspieszonym biciem serca, miała nadzieję, że łatwiej jej będzie nad sobą zapanować.

Wczoraj wieczorem odwiózł ją do motelu swoim nowym samochodem terenowym. Samochód zostawił na parkingu przed motelem, żeby mogła z niego nazajutrz skorzystać, a sam wrócił do domu na piechotę. Zgoda, daleko nie miał. Rockland jest niedużą miejsciną i wszędzie można dotrzeć pieszo. Ale nie o to chodzi. Liczył się gest. Zostawiając jej samochód, Luke postąpił bardzo ładnie. A takie ładne gesty w wykonaniu upartych władczych mężczyzn zawsze wydawały się jej podejrzane.

Zatroskany jej zasłabnięciem powiedział, że woli, aby sama nigdzie nie chodziła. Zaproponował, że przyjedzie po nią i podrzuci ją do szpitala, ale kiedy oznajmiła, iż chce być w laboratorium przed świtem, wręczył jej kluczyki. Spotkamy się na miejscu, rzekł, po czym pożegnał się i ruszył do domu.

Hm, może więc wcale nie jest nią tak zainteresowany, jak jej się zdawało? Na pewno jest od niej znacznie bardziej pociągający. Nie należała do osób próżnych i nigdy szczególnej wagi nie przykładła do swojego wyglądu, ale... To śmieszne, pomyślała, marzyć o

wakacjach z mężczyzną, który mógłby mieć każdą kobietę. Tacy mężczyźni nie interesują się szarymi myszkami.

Wzięła prysznic, włożyła własne ubranie - cienki, szary sweter i wygodne czarne spodnie, po czym terenówką Luke'a zajechała pod szpital. Droga zajęła jej maksimum pięć minut. Na parkingu stały trzy samochody: jeden wynajęty przez jej współpracowników i dwa, które przypuszczalnie należały do pielęgniarek. Zdziwił ją brak radiowozów. Ale zważywszy na to, jak ciężko pracowali policjanci, może szeryf uznał, że o czwartej nad ranem żaden nie musi pilnować szpitala.

Wysiadłszy z samochodu, poczuła zimne, ostre klucie w twarz. Śnieg? W październiku? Niewykluczone. W Montanie zima wcześniej nadciąga; czuć ją było w powietrzu.

W laboratorium na piętrze zastała doktora Ganta.

- Spodziewałem się pani godzinę temu. - Na jego zmęczonym obliczu pojawił się przyjazny uśmiech.

- Zasnęłam. Gdzie pozostali?

- Śpią. Uznaliśmy, że będziemy się zmieniać na posterunku.

Spytała o pacjentów. Larry Gant zdał jej pełne sprawozdanie, po czym biorąc przykład ze swoich kolegów, wyruszył na poszukiwanie wolnego łóżka. Tylko Faith zatrzymała pokój w motelu. Jej współpracownicy najwyraźniej chcieli być blisko laboratorium. Kiedy okazało się, że wirus, który zaatakował Rockland, to nieznana dotąd odmiana, przewieźli swoje torby do szpitala, żeby nie tracić czasu na dojazd.

Powinłam była postąpić identycznie, pomyślała, wkładając fartuch. Poszukać jakiegoś cichego kącika i póki nie zlikwidują epidemii, trwać na posterunku. Nagle przypomniała sobie, jak Luke wparował bez pukania do pokoju, kiedy była po prysznicu. Nie, uznała; nie chce się znów znaleźć w takiej sytuacji. Woli motel.

Kiedy wpół do ósmej Luke przybył do szpitala, w holu panował zgiełk. Troje natarczywych dziennikarzy, każdy z kubkiem kawy w dłoni, zasypywało pytaniami biednego Michaela. Na widok Luke'a rzucili się w jego stronę.

- I co pan sądzi o ostatnich wydarzeniach?

- Doktorze Winston, co pan ma w tej sprawie do powiedzenia?

- Czy miasto zostanie zamknięte? Zarządzi pan kwarantannę?

Zdenerwowany zastępca szeryfa wsunął się pomiędzy dziennikarzy a Luke'a, aby ten mógł spokojnie wsiąść do windy. Co się stało? Dlaczego Faith nie zadzwoniła?

Na piętrze również panował chaos. Spokojna zazwyczaj Molly płakała. Szeryf Talbot zażarcie kłócił się z doktorem White'em, współpracownikiem Faith; odnosiło się wrażenie, że ma ochotę udusić faceta.

Dojrawszy Luke'a, Molly rzuciła się biegiem w jego kierunku, pośpiesznie wycierając ręką łzy.

- Dzięki Bogu, że już jesteś!

Domyślił się, że tajemniczy wirus zaatakował kolejną osobę.

- Co się stało?

Zanim pielęgniarka zdążyła odpowiedzieć, naskoczył na niego wściekły szeryf Talbot.

- Draniu jeden! Ty mi powiedz, co się stało!

- Nie mam zielonego pojęcia - oznajmił Luke. -Molly?

- Oficer Tyler Morris! - ryknął Talbot, ponownie nie dopuszczając Molly do głosu.

Luke kojarzył Morrisa. Był to młody dwudziestojednoletni policjant, który wyglądał najwyżej na siedemnaście lat. Chudy blady rudzielec, syn ranczera. Nie chciał jednak iść w ślady ojca; wolał wstąpić do policji.

- Co z nim? - spytał Luke.

- Z samego rana zadzwoniła jego żona, że Tyler ma wysoką gorączkę. Pytała, co ma zrobić. Słysząc było, że jest potwornie wystraszona. - Szeryf przeczesał ręką rzednącą czuprynę. - Akurat gdy rozmawialiśmy przez telefon, Tyler dostał konwulsji. Natychmiast do nich pojechałem, zapakowałem go do samochodu i przywiozłem tutaj. Twoja lekareczka mówi, że może być za późno! Wczoraj kazałem Tylerowi szukać martwych ptaków i gryzoni. Żadnych nie znalazł, ale nabawił się tej cholernej choroby!

- Ściągnij tu wszystkich, którzy mieli wczoraj dyżur - rozkazał Luke.

- Twoja lekareczka powiedziała mi to samo. Już są w drodze.

- Moja lekareczka, jak ją określasz, nazywa się doktor Martin - rzekł ściszone głosem Luke. - I jeżeli Tyler przeżyje, to będzie wyłącznie jej zasługa. Jasne?

Szeryf skinął w milczeniu głową, po czym odwrócił się i odszedł, powłócząc nogami. Luke nie przepadał za facetem, ale w tym momencie było mu go autentycznie żal.

- Gdzie Tyler? - spytał, zwracając się do Molly.

Zaprowadziła go do pokoju, w którym Faith z pomocą jasnowłosej pielęgniarki z Bozeman troskliwie zajmowała się nieprzytomnym policjantem. Ich poczynania obserwowała stojąca pod ścianą blada, milcząca dziewczyna, stanowczo zbyt młoda jak na żonę.

Faith, w śnieżnobiałym wykrochmalonym fartuchu, z włosami ściągniętymi w koński ogon, wyglądała jak po szybkim biegu: jej twarz barwiły rumieńce, kilka luźnych kosmyków opadało na ramiona. Nie uniosła głowy, nie przywitała się. Była skupiona na pacjencie.

Podszedłszy do łóżka, Luke poprosił pielęgniarkę, by wyprowadziła żonę Tylera Morrisa do poczekalni i dała jej coś do picia. Ani jedna, ani druga nie chciały się ruszyć, ale w końcu posłuchały.

- Dziękuję, Michelle - szepnęła Faith, gdy pielęgniarka ujęła przerażoną panią Morris pod rękę i ruszyła do drzwi. - Czterdzieści stopni gorączki - poinformowała po chwili Luke'a. - W płucach obustronny śród-mięższowy naciek. Miał atak konwulsji, kiedy go szeryf tu przywiózł.

- Podałaś antybiotyk? Skinęła głową.



- Mam nadzieję, że zadziała. - Zaciśnęła gniewnie usta. -  
Mówiłam szeryfowi, żeby podczas przeszukiwania domów jego ludzie nosili rękawiczki ochronne i maski. Najwyraźniej moje instrukcje zostały zlekceważone. - Westchnęła ciężko. - Kontakt przez skórę z czynnikiem zakaźnym nie spowodowałby tak silnych objawów w tak krótkim czasie. Wirus musiał dostać się bezpośrednio do przewodu oddechowego lub pokarmowego... Czy inni pacjenci, gdy ich tu przywieziono, wykazywali podobne objawy?

Luke pokręcił głową. Nagle ogarnęła go złość. W rozmowie z Talbotem bronił Faith, ale sam miał do niej ogromny żal.

- Cholera jasna, dlaczego mnie nie zawiadomiłaś? To ja kieruję tym szpitalem i to są moi pacjenci. Powinienem być na bieżąco o wszystkim informowany. W przyszłości bądź łaskawa pamiętać, że jeżeli stan któregokolwiek z pacjentów ulegnie gwałtownej zmianie, zarówno na lepsze, jak i na gorsze, chciałbym natychmiast o tym wiedzieć.

- Skończył pan, doktorze Winston? - spytała Faith. Wział głęboki oddech. Zwrócił uwagę na formę „pan”, ale przecież miał rację...

- Tak, skończyłem.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Dobrze. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Molly zadzwoniła do ciebie zaraz po tym, jak przywieziono Morrisa. Nelda powiedziała, że wyszedłeś. Przymuszczałyby cię łapać na komórkę,

gdyby sądziła, że to cokolwiek przyspieszy. Ale podobnie jak ja, przez kilka pierwszych minut miała ręce pełne roboty.

Pięknie, zachowałem się jak kretyn, pomyślał.

- Przepraszam - burknął. - Powinienem być się domyślić...

- Tak, powinieneś być - rzekła, ruszając do drzwi.

- Faith...

Zatrzymała się i odwróciła do niego twarzą. Wczoraj w jej oczach widział ciepło, dziś jedynie chłód.

- Słucham?

- Co teraz będzie?

- Doktorzy White i Gant nadal będą badać pobrane próbki krwi, a doktor Helm pomoże pielęgniarce w opiece nad chorymi.

Szczegółowa dokumentacja opisująca reakcję pacjentów na antybiotyk jest niezwykle ważna do lepszego poznania tej nowej choroby.

- A ty co będziesz robiła? Wyprostowała ramiona.

- Wczoraj wysłałam w teren niedoświadczonych ludzi. To był błąd. Chciałabym profilaktycznie podać antybiotyk wszystkim policjantom uczestniczącym w akcji, a potem sama dokładnie przeszukać domy i miejsca pracy, które odwiedził Morris.

- Zabraniam ci! - sprzeciwił się Luke, zanim nawet zdołał pomyśleć, co mówi.

Faith uniosła w zdziwieniu brwi.

- Co takiego?

- To niebezpieczne - oznajmił spokojniejszym tonem.

- Czuję się odpowiedzialna, Luke. Poza tym znam się na tej robocie znacznie lepiej niż ten biedny chłopiec. Sama powinnam była przeprowadzić inspekcję potencjalnie zakażonych miejsc zamiast wysyłać cywili, którzy nie wiedzą, czego mają szukać.

- Jak to czego? Martwych myszy i ptaków! Jasno im to powiedziałaś. - Obejrzawszy się przez ramię, zerknął na szpitalne łóżko. Faith miała rację, używając określenia „chłopiec”. Morris wyglądał jak nastolatek. - Wyzdrowieje?

- Jeszcze nie wiem - odparła rzeczowo, po czym szybko odwróciła wzrok od nieprzytomnego mężczyzny.

Luke wyszedł za nią z pokoju.

- Poczekaj. - Dogonił ją w paru susach. - Naprawdę zamierzasz sama jedna udać się na poszukiwanie źródła?

- Naprawdę.

Wiedział, że nie ma sensu się z nią kłócić.

- W porządku. Idę z tobą.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie rozumiała, dlaczego Luke uparł się, by jej towarzyszyć, ale nie próbowała wybić mu z głowy tego pomysłu. Był bardzo opiekuńczy wobec swoich pacjentów; miał do nich niemal zaborczy stosunek. Nie lubił dzielić się odpowiedzialnością. Koniecznie chciał uczestniczyć we wszystkim, co ich dotyczyło, zwłaszcza odkąd ona, Faith, przybyła do szpitala.

Zresztą podejrzewała, że gdyby wdała się z nim w dyskusję, i tak by niczego nie osiągnęła.

Na początek zawiózł ją do domu, w którym mieszkała Angela Carter z małym Benjym. Było to jedno z miejsc, które odwiedził wczoraj Tyler Morris. Faith zawzięła się; postanowiła tak długo szukać, sprawdzać każdy dom, do którego zaglądał młody policjant, aż znajdzie źródło zakażenia. Nawet gdyby miało to trwać cały dzień i całą noc. Ba, gotowa była szukać i przez tydzień.

Od czasu do czasu w szybę wozu uderzały wirujące płatki śniegu. Było ich za mało, by móc powiedzieć, że pada śnieg, ale niewątpliwie stanowiły oznakę zbliżającej się zimy. Faith zadumała się. Nie miała pojęcia, jak długo pozostanie w Rockland, przypuszczalnie kilka tygodni. Kiedy już wyodrębnią antygen i przekonają się, czy istnieje jakieś skuteczne lekarstwo, wówczas chciała na spokojnie jeszcze raz przebadac wszystkich chorych. A potem śledzić ich powolny powrót do zdrowia. W końcu

niecodziennie pojawia się na świecie nowy, w dodatku śmiertelny wirus.

Szeryf Talbot jechał za nimi swoim radiowozem. W kwestii towarzyszenia jej podczas poszukiwania źródła zakażenia był równie stanowczy jak Luke. Oczywiście mogła im powiedzieć, że nie potrzebuje pomocy, ale miała świadomość, że i tak by jej nie posłuchali.

Do domu Angeli Carter Faith weszła z Lukiem, oboje od stóp do głów ubrani w odzież ochronną. Szeryf Talbot został na zewnątrz; nie nalegał, że on też musi zbadać teren. Może jest bardziej inteligentny, niż podejrzewała.

Angela Carter była wdową; mieszkała z synem w małym ładnym domku. Faith od progu rozpoczęła poszukiwania. Od czasu do czasu zerknęła na Luke'a, który krążył za nią i uważnie ją obserwował. Jeżeli tylko po to przyjechał, to tracił czas. Nie potrzebuje stróża czy obrońcy. Odkąd pamięta, zawsze ze wszystkim dawała sobie radę.

Odkąd pamięta...

Po chwili przestała zwracać uwagę na Luke'a i skupiła się na pracy. W domu panował idealny porządek; wszystko stało na swoim miejscu poza paroma zabawkami, które leżały a to pod stołem, a to pod krzesłem. Nie było śladów żadnych ptaków i gryzoni.

Faith krążyła po domu Angeli zamyślona, zaglądając w różne kąty. Złościło ją, że nie potrafi rozgryźć dziwnej, irytującej zagadki. Wiedziała, że czegoś ważnego nie dostrzega. Ale czego? Żadna sprawa, którą się zajmowała, tak bardzo nie działała jej na nerwy. W

nauce nie ma miejsca na chaos i bałagan; wszystko jest logiczne, sensowne. Tajemnice zawsze dają się rozwiązać, trzeba tylko znaleźć do nich klucz. Więc dlaczego ta zagadka sprawia jej tyle trudności?

Dwukrotnie obeszła parter i piętro, po czym wróciła do kuchni i usiadła na przy stole. Zamknęła oczy i wsłuchując się w ciszę wypełniającą dom, wyteżyła umysł.

Rozum. Zawsze mogła na nim polegać. Uważała, że każde zdarzenie, każde zjawisko można racjonalnie wytłumaczyć. Jest bliska znalezienia odpowiedzi. Czowała to. Zaczęła kolejno odtwarzać w myślach wszystkie szczegóły. Prowizoryczne laboratorium, próbki krwi, próbki wydzielin. Reakcję każdego pacjenta na podany antybiotyk. Wiedziała, że gdzieś w tym domu tkwi odpowiedź; że jeśli się postara, to ją znajdzie...

Luke cały czas dotrzymywał jej towarzystwa, ale nie wchodził jej w drogę i nie odzywał się. Teraz stał na drugim końcu kuchni, jakby przeczuwał, że jego bliskość może ją zdekoncentrować. I faktycznie, na kilka sekund zapomniała o wirusie i zaczęła rozmyślać o Luke'u. Coś ją do niego ciągnęło. Sympatia? Nie, raczej pożądanie. Ostatnio coraz częściej dumiała o dzieciach. Przypuszczalnie emocje, jakie Luke w niej wzbudza, wynikają z potrzeby macierzyństwa. Nie mają związku z prawdziwym światem.

Nagle otworzyła oczy. Prawdziwy świat...

- To jest nieorganiczne - szepnęła.

- Słucham? - Luke postąpił krok bliżej. Serce waliło jej młotem.

- Źródło zakażenia - szepnęła - nie jest czymś naturalnym, organicznym. Wirus, który zaatakował mieszkańców Rockland, został sztucznie wyprodukowany. Dlatego policjanci nie znaleźli żadnych dowodów w postaci zdechłych ptaków lub myszy. Wirus powstał w laboratorium.

- Jesteś pewna? - spytał, zaciskając dłonie w pięść. Jego spojrzenie stało się gniewne, przenikliwe.

Faith wcale się nie dziwiła wściekłości Luke'a. Z epidemią niełatwo sobie poradzić, ale przynajmniej jest to katastrofa przez nikogo niezaplanowana i niezawiniona. Co innego bioterroryzm.

- W próbkach, które oglądałam, coś mi nie dawało spokoju - odparła, z trudem kryjąc podniecenie. - Trochę podejrzanę wydawało mi się, że tyle osób zachorowało naraz; że wszystkie mieszkały dość daleko od siebie; że u wszystkich objawy były identyczne.

Rozejrzała się ponownie po kuchni. Będzie musiała jeszcze raz sprawdzić dom, tym razem szukając... Nie bardzo wiedziała czego. W jaki sposób można podrzucić komuś wirusa? Mniej więcej w tym samym czasie trafił do oddalonych od siebie domów. Zazwyczaj proces zakażenia ciągnie się tygodniami, czasem miesiącami. Do Luke'a w ciągu czterech dni zgłosiły się dwadzieścia dwie osoby.

Raptem zatrzymała wzrok na stosie korespondencji.

Listy leżały rozrzucone, co zapewne tłumaczy przyczynę zachorowania Tylera Morrisa.

Jedna koperta była otwarta; w środku znajdowała się reklama ośrodka wypoczynkowego na Florydzie. Kiedy Faith ostrożnie

wysunęła lśniąca kartkę papieru ze zdjęciem turkusowej wody oraz białego piasku, z koperty wysypała się niewielka ilość zielonkawożółtego proszku.

Odwróciwszy się, napotkała spojrzenie Luke'a. Po raz pierwszy, odkąd opuścili szpital, cieszyła się, że nie jest sama.

- Trzeba natychmiast przeprowadzić ewakuację domów i miejsc pracy zakażonych osób - rzekła cicho, starając się nie okazywać zdenerwowania. - Budynki należy ogrodzić, zabronić do nich dostępu. Każdego, kto przebywał na zakażonym terenie, trzeba wezwać do szpitala i poddać leczeniu. - Miała wrażenie, że za moment serce wyskoczy jej z piersi. - Luke, to jest jak bomba z opóźnionym zapłonem. Nie wiemy, ile ich podrzucono...

Wyobraziła sobie nietknięte koperty czekające w domach na otwarcie albo wyrzucone na śmietnik, gdzie każdy kot, pies czy szczur może się na nie nadziać...

- Porozmawiam z szeryfem - rzekł Luke.

- Będzie potrzebował pomocy. - Skierowali się do drzwi. - Zadzwoń w parę miejsc.

Szeryf Talbot, który krążył niespokojnie przed domem, ruszył im naprzeciw. Faith ściągnęła z twarzy maskę.

- Szeryfie, miasto natychmiast trzeba zamknąć. Nikomu nie wolno go opuszczać i nikomu nie wolno tu wjeżdżać.

Dotąd Luke uważał się zawsze za zapracowanego człowieka, przekonał się jednak, że można pracować znacznie ciężiej i wydajniej.



Bioterroryzm. Nigdy nie spodziewał się, że z czymś takim mogą zetknąć się mieszkańcy spokojnego okręgu Carson. Kilka godzin po telefonie Faith w Rockland pojawiła się Gwardia Narodowa oraz dwóch przedstawicieli rządu, którzy urządzili sobie biuro w pustym budynku kilometr od szpitala i stamtąd dowodzili akcją. Policja stanowa zablokowała drogi wyjazdowe z miasta, od czasu do czasu na niebie pojawiały się wojskowe helikoptery. Chodziło o to, aby nikt obcy nie dostał się do miasta i żeby wirus nie wydostał się na zewnątrz.

Wkrótce miała przybyć do Rockland specjalistyczna ekipa sanitarna, której zadaniem było dokładne oczyszczenie terenu z niebezpiecznych substancji; należało znaleźć każdą drobinę zakażonego proszku i zneutralizować go.

Sprawa stała się głośnym medialnym wydarzeniem. Ponieważ miasto było zamknięte, trójka dziennikarzy, którzy zostali w Rockland, gdy pierwotna fala zainteresowania opadła, mieli informacje z pierwszej ręki. Przekazywali je do swoich redakcji za pomocą telefonów, faksów i laptopów. Po paru godzinach wszystkie stacje telewizyjne nadawały relacje z oblężonego miasteczka w Montanie.

Tak jak się Faith domyślała, reklamowany ośrodek wypoczynkowy nie istniał. Odciski palców pozostawione na kopercie należały do osób, które albo zmarły, albo ciężko chorowały. Ze stempla pocztowego wynikało, że wszystkie przesyłki nadano w przeciągu czterech dni z urzędu pocztowego w Tampie na Florydzie.

Mniej więcej w tym czasie pierwsi chorzy zaczęli się zgłaszać do szpitala. Agenci FBI zaczęli prowadzić dochodzenie, ale Luke podejrzewał, że niczego nie wykryją.

Trzy zamknięte koperty trafiły do szczęśliwców, którzy albo byli wcześniej na urlopie, albo mieli brzydki zwyczaj nieotwierania listów przez wiele dni po ich nadejściu.

Zachorował jeszcze jeden policjant, ale nie tak groźnie jak Taylor Morris. Nieduży szpital pękał w szwach. Żołnierze, policjanci, chorzy, lekarze, pielęgniarki... Ciągłe się na kogoś wpadało, często dosłownie.

Benjy'ego przeniesiono do pokoju, w którym leżała jego matka. Obojgu to wyszło na korzyść.

Faith harowała bez wytchnienia. Luke jeszcze nigdy nie widział człowieka tak oddanego pracy. Była świetnie zorganizowana; nie traciła czasu na zbędne czynności. To ona kierowała szpitalem i, o dziwo, wcale mu to nie przeszkadzało. Przyglądał się jej z podziwem i zafascynowaniem.

Nie żeby miał zbyt wiele czasu na przyglądanie się. Sam również tyrał jak wół.

Życie toczyło się dalej. Mieszkańcom Carson przytrafiały się choroby, wypadki, Wszyscy potrzebowali pomocy. Niektórym Luke udzielał porad przez telefon, do części wysyłał Molly, ale wieloma osobami musiał zająć się osobiście. Danny Mann złamał palec, kaszel Lydii Porter stawał się coraz bardziej niepokojący.

Nikt nie chciał przyjeżdżać do szpitala pełnego ciężko chorych i pilnowanego przez uzbrojonych żołnierzy. W pustym budynku dwie przecznice od szpitala Luke zorganizował tymczasowe ambulatorium. Zabrał z sobą Molly, Betsy zaś oraz dwie pielęgniarki z Bozeman miały pomagać lekarzom w szpitalu. W ciągu jednego popołudnia Luke przyjął około dwudziestu pacjentów. Danny'emu nastawił złamany palec, Lydii przepisał antybiotyk oraz syrop na kaszel, a Joemu Petersenowi maść na wysypkę. Przykładał słuchawki i wsłuchiwał się w bicie serca, badał tętno i ciśnienie, oglądał gardła. Każdego pocieszał; tłumaczył, że sytuacja jest pod kontrolą, że wszystko będzie dobrze, ale widział, iż ludzie są przerażeni. Chociaż nie miał wolnej chwili, to jednak dzień minął mu spokojnie. Nie tak jak Faith.

Nie zazdrościł jej, no ale na tym polega jej praca: na badaniu drobnoustrojów i zapobieganiu epidemiom.

Kiedy ostatni pacjent pożegnał się i wyszedł, Luke zamknął drzwi na klucz i razem z Molly skierował się do szpitala. Przez chwilę szli w milczeniu, ale oboje myśleli o tym samym.

- Jak sądzisz? Uda się? - spytała wreszcie Molly.

- Oczywiście, że się uda.

Pokręciła głową, jakby pod jego maską opanowania i pewności siebie ujrziała skrywany strach oraz mnóstwo wątpliwości.

- Widziałam kiedyś taki film. Ludzie zapadają na dziwną chorobę, nikt nie wie, co ją powoduje ani jak ją leczyć. Okazało się, że tak jak w naszym przypadku, wirusa wyprodukowano w laboratorium.

Wszyscy umarli. No, prawie wszyscy. Główny bohater przeżył. Potem nakręcono kontynuację; druga część była równie kiepska jak pierwsza, ale... chodzi o to, że wszyscy zginęli.

- To był film, Molly. Fikcja.

- Niektórzy mówią, że czasem życie bywa dziwniejsze od fikcji.

Powoli zaczynam w to wierzyć.

Miała rację. Po co ktoś chciałby uśmiercić wszystkich mieszkańców okręgu Carson? W pobliżu nie było obiektów wojskowych... Wszystko to nie ma najmniejszego sensu.

Kiedy doszli do budynku szpitala, Molly skrzyła w stronę drzwi. Luke przytrzymał ją za łokieć.

- Idź do domu - powiedział. - Nie wychodzisz stąd od paru dni.

- Wczoraj wyszłam na kilka godzin. - Odgarnęła włosy z czoła. -

Nic mi nie będzie.

- Molly, bądź rozsądna. Wyśpij się we własnym łóżku, uściskaj Harry'ego, zjedz coś przy stole, a nie w biegu...

- Później - obiecała.

Pilnujący wejścia młody policjant rozpoznał ich i wpuścił bez przeszkód do środka.

- To rozkaz, Molly. Dzisiejszą noc spędzasz w domu.

- Jasne, szefie. - Weszli do windy. - Jasne.

Faith spędziła popołudnie na badaniu zielonkawego proszku, który znaleźli najpierw u Angeli Garter, a potem w wielu innych domach. Na szczęście nowy antybiotyk okazał się skuteczny; powstrzymał rozwój choroby, pod warunkiem jednak, że

zaaplikowało się go odpowiednio wcześniej. Stan policjanta Morrisa nieco się poprawił, ale reszta pacjentów czuła się wyraźnie lepiej.

Oby tylko nie zdarzyły się kolejne przypadki! Oczywiście specjaliści od neutralizowania niebezpiecznych substancji zamierzali sprawdzić każdy budynek w tym okręgu, upewnić się, czy nigdzie nie ma kopert ze śmiertcionośnym proszkiem, który ktoś mógłby gołymi rękami dotknąć.

Faith trzymała próbkę w szczelnie zamkniętym szklanym pojemniku, a sama pracowała w gumowych rękawiczkach. W laboratorium nikogo poza nią nie było. Mogła się skoncentrować; rozgardiasz panujący na zewnątrz nie docierał do niej. Miała nadzieję, że wkrótce zdoła poznać skład proszku.

Starła się oczyścić umysł ze wszystkich myśli, ale nie było to łatwe. Martwiła się o mieszkańców Rockland. To, co się stało, na pewno w jakiś sposób na nich wpłynie.

Nagle drzwi się otworzyły. Faith poderwała głowę.

- Jest do pani telefon... - rzekła Molly.

- Od kogo?

- Jakiś mężczyzna... - Molly zawahała się, usiłując przypomnieć sobie nazwisko. - Jake Ingram.

- Nie znam - burknęła. - Niech zostawi wiadomość.

- Tak mu sugerowałam. Ale on twierdzi, że to bardzo ważna i pilna sprawa.

- Proszę zapisać jego numer i obiecać, że oddzwonię.

- Próbowałam. On mówi, że to sprawa życia i śmierci.

Wszystko jest sprawą życia i śmierci! Każdego dnia z takimi się styka.

- No dobrze. - Faith ściągnęła rękawiczki i podeszła do umywalki w kącie, by umyć ręce.

- Niech pani odbierze w gabinecie Luke'a. Nikt tam nie będzie przeszkadzał. A ja zaraz przyniosę pani coś do jedzenia i picia.

- Nie trzeba - sprzeciwiła się Faith. - Zresztą rozmowa na pewno nie potrwa długo.

Uzbrojony strażnik przy drzwiach, ubrany - nie wiadomo po co - w kamuflujący mundur i hełm, skinął jej głową na powitanie. Faith skinęła w odpowiedzi. Przynajmniej nie musi się martwić, że w czasie jej nieobecności jakiś intruz wejdzie do laboratorium.

Usiadła w miękkim fotelu obrotowym i westchnęła z ulgą. Miło jest dać nogom odpocząć, choćby przez kilka minut.

- Faith Martin, słucham - powiedziała, przyłożywszy słuchawkę do ucha.

Przez moment na drugim końcu linii panowała cisza. Faith, zniecierpliwiona, już zamierzała się rozłączyć, kiedy nagle niski, męski głos spytał:

- Faith?

- Tak, to ja. Kim pan jest i czego chce? Powtórzono mi, że to sprawa życia i śmierci. Jeżeli jednak dzwoni pan w jakiejś błahej sprawie...

- Zapewniam, że nie - oznajmił mężczyzna. - Nazywam się Jake Ingram.

- Tak, wiem. Z jaką to ważną sprawą pan dzwoni, panie Ingram?

- W wiadomościach telewizyjnych zobaczyłem pani zdjęcie.

Faith zacisnęła powieki. Jake Ingram, jeśli facet faktycznie się tak nazywa, jest świrnięty. To jakiś pomylenieć, który usłyszał o niej w telewizji i postanowił ją odnaleźć. Wspaniale.

- Panie Ingram...

Do pokoju weszła Molly z butelką wody mineralnej w jednej ręce i batonem w drugiej. Położyła rzeczy na biurku, po czym pośpiesznie wyszła. Wprawdzie wcześniej na propozycję jedzenia Faith zaprotestowała, ale była wdzięczna, że Molly jej nie posłuchała.

- Ma pan dziesięć sekund - powiedziała do swojego rozmówcy, sięgając po wodę.

- To za mało - oburzył się mężczyzna. - Tak wiele muszę pani wyjaśnić, tak wiele powiedzieć.

- Do widzenia, panie Ingram. Proszę do mnie więcej nie dzwonić.

Odsuwała słuchawkę od ucha, kiedy nagle dobiegło ją pytanie:

- Czy pamiętasz cokolwiek z pierwszych dziesięciu lat swojego życia?

Faith znieruchomiała. Po chwili wolno przytknęła słuchawkę z powrotem do ucha.

- Co?

W ciągu kilku minut Jake Ingram opowiedział jej niesamowitą historię o eksperymencie naukowym, który zakończył się sukcesem, o

zdradzie, o śmierci. Mimo że opowieść brzmiała niewiarygodnie, Faith nie rozłączyła się. Przeciwnie, słuchała zafascynowana.

Choć nie miała żadnych wspomnień z okresu, o którym Jake mówił, niektóre słowa czy zwroty wydawały się jej dziwnie znajome. Kilka razy przeszył ją dreszcz. Mark. Gideon. Bracia bliźniacy, z którymi przez dziewięć miesięcy dzieliła łono matki. Grace, starsza siostra. I Jake, brat i opiekun. Kiedy mówił o niebezpiecznej ucieczce, którą matka zorganizowała, Faith przypomniała sobie niedawny sen. Śniła się jej woda, ogień, poczucie zagubienia i straty, którego nie rozumiała.

Według Jake'a, cała piątka rodzeństwa została poddana hipnozie. Stanowili grupę superludzi, o których rozpisywały się brukowce. Niektórzy dziennikarze używali określenia „Proteańczycy”, od nazwy Proteusz, jaką nadano tajnym badaniom. W każdym razie podobnie jak jej bracia i siostra, ona, Faith, jest - jak to ujął Jake - chodzącą bombą zegarową. W każdej chwili może usłyszeć słowa, które zostały zakodowane w jej podświadomości, słowa, po których posłusznie zacznie wykonywać polecenia członków organizacji zwanej Koalicją.

Faith była rozsądna, toteż szybko skojarzyła, co się musiało wydarzyć. Otóż Jake Ingram zobaczył ją w telewizji, po czym z jakiegoś powodu postanowił dowiedzieć się czegoś o jej przeszłości. I odkrył, że w wieku dziesięciu lat została adoptowana, czego zresztą nie ukrywała. Resztę historii wyssał sobie z palca. Po co? Bo jest chory psychicznie.



- Nie chciałem ci tego opowiadać przez telefon. -W głosie mężczyzny pojawiła się nuta z troskania. -Ale ponieważ miasto jest zamknięte, nie mogłem przyjechać, żeby z tobą osobiście porozmawiać. Faith, grozi ci niebezpieczeństwo. Członkowie Koalicji, o której wspominałem, chcą cię dopaść, zanim zostaniesz przeprogramowana. Nie możemy do tego dopuścić.

Nagle rozbolała ją głowa. Świat zawirował jej przed oczami. Faith uznała, że to z powodu głodu; od rana nie miała nic w ustach. Sięgnęła ponownie po butelkę i pociągnęła łyk wody.

- Tak absurdalnej, niedorzecznej historii jeszcze nie...

- To nie są żadne koszałki-opałki - oznajmił Jake. - Faith, musisz jak najszybciej stamtąd wyjechać. Skoro ja cię odnalazłem, Koalicja też nie będzie miała z tym problemów. Oni chcą...

- A ty, czego chcesz? - przerwała mu.

- Twojego bezpieczeństwa.

Mówił szczerze, wcale nie jak wariat. Najwyraźniej facet posiada duże zdolności aktorskie.

- Proszę cię, pozwól mi zorganizować ci wyjazd z Rockland. Musisz ukryć się w bezpiecznym miejscu...

- Wykluczone! - Tego brakowało, żeby jakiś pomylenieć dokądś ją wywoził.

- Mark marzy o spotkaniu z tobą.

Serce znów zabiło jej gwałtownie.

- Nie znam nikogo o tym imieniu - rzekła.

- Znasz. Cofnij się pamięcią, Faith. Spróbuj sobie przypomnieć.

Spanikowała. Rzuciła słuchawkę na widełki, przerywając połączenie.

Zanim wyszła z gabinetu, telefon zaczął dzwonić. Zignorowała go. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, wróciła do laboratorium. Próbowwała nie myśleć o Jake'u Ingramie, ale historia, którą opowiedział, nie dawała jej spokoju. Przecież to absurd! Wymysł chorej wyobraźni. Prawda? Więc dlaczego serce wciąż jej tak mocno łomocze?

Dlatego, że jest zmęczona, ot co.

Nie zdążyła się jeszcze zabrać do pracy, kiedy Molly ponownie zajrzała do laboratorium.

- Ten facet znów dzwonił.

- Nie chcę z nim więcej rozmawiać - oznajmiła ostro Faith. - Jeżeli jeszcze raz zadzwoni, proszę powiadomić o tym szeryfa.

Tak, niech Talbot zajmie się Ingramem. Ona nie zamierza zawracać sobie nim głowy.

- Zostawił wiadomość. - Molly uniosła skrawek papieru.

Faith westchnęła ciężko.

- Aż boję się spytać jaką.

- Podał numer telefonu komórkowego. - Pielęgniarka położyła kartkę na metalowym stole. - I powiedział, że kiedy będzie pani gotowa kontynuować rozmowę, może pani do niego zadzwonić. O dowolnej porze dnia lub nocy.

- To wszystko?

- Nie. Dodał jeszcze, że pani dobro leży mu na sercu i pragnie jedynie pani szczęścia.

Pięknie. Tylko tego jej brakowało. Żeby zakochał się w niej jakiś wariat.

Ponieważ miasta pilnowało wojsko, a przed drzwiami do laboratorium stał uzbrojony strażnik, nie musiała obawiać się wizyty Jake'a Ingrama. Przynajmniej dziś.

Psiakrew! Mimo usilnych prób skupienia się na pracy cały czas myślała o tej dziwnej rozmowie telefonicznej. Wreszcie, wściekła na samą siebie, podeszła do metalowego stołu, chwyciła kartkę z numerem i po chwili wahania cisnęła ją do kosza.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zapał wieczór. Luke wyszedł z gabinetu gotów udać się do domu. Nie było powodu spędzać nocy w szpitalu. Wirus został zidentyfikowany, stan chorych się poprawiał, a wszystkim, którzy mogli zetknąć się z zielonym proszkiem, podano antybiotyki. Tak na wszelki wypadek.

Szpital, teren dookoła szpitala i cały okręg patrolowali uzbrojeni strażnicy. Patrząc na nich, Luke miał wrażenie, jakby występował w filmie grozy. A grozą faktycznie wiało. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać w prawdziwym świecie.

Namówił Molly, by na kilka godzin wróciła do domu. Kobieta dosłownie słała się na nogach. Naprzeciwko siebie ujrzał Faith, potwornie zmęczoną, bladą jak upiór.

- Może byśmy skończyli na dziś, co? - spytał, siląc się na pogodny ton.

- Nie mogę. Mam za dużo pracy.

- Nakarmię cię. Prawdziwym ciepłym jedzeniem, a nie kanapką czy batonem.

- Kusiciel. - Uśmiechnęła się, ale miała taką minę, jakby zamierzała go minąć i zamknąć się na całą noc w laboratorium.

- Zrób chociaż przerwę. Na godzinę czy dwie.

- To był długi dzień - przyznała po chwili. - Może rzeczywiście przerwa dobrze mi zrobi.

Udało im się wymknąć niepostrzeżenie głównie dzięki strażnikom, którzy bronili przed dziennikarzami wejścia. Rudowłosa dziennikarka była najbardziej natarczywa, ale i ona wkrótce zdała sobie sprawę, że niczego nie wskóra.

Nelda i Abby już dawno spały, ale w lodówce jak zawsze było pełno jedzenia; wystarczyło je tylko podgrzać. Dziś gospodyni przygotowała gulasz. Wkrótce po domu rozszedł się aromatyczny zapach. Faith siedziała przy stole, obserwując Luke'a krzątającego się po kuchni.

- Czytałeś kiedyś o eksperymentach genetycznych, które podobno miały miejsce w latach sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych? - spytała, gdy wyjmował z szafki naczynia.

Zdziwiony pytaniem, obejrzał się za siebie.

- Pewnie. Każdy czytał.

- Ja nie. Wiele miesięcy spędziłam w Afryce i Indiach. Dopiero po powrocie zobaczyłam wielki nagłówek w gazecie... - Urwała, Musiała wziąć kilka głębokich oddechów, zanim była w stanie kontynuować: - Myślisz, że to możliwe?

Wzruszył ramionami. Czego się spodziewał? Że z Faith Martin można rozmawiać na tematy niemedyczne? Owszem, przeczytał kilka artykułów o dawnych doświadczeniach genetycznych, po czym o nich zapomniał.

- Wszystko jest możliwe - odparł. - Ale nie sądzę, aby takie eksperymenty naprawdę przeprowadzono.

- Ja też nie. - Skinęła głową, jakby przyznawała mu rację. - Cały świat medyczny by o nich trąbił. A czy mówi ci coś nazwisko Jake Ingram?

No proszę, jaka nagła zmiana tematu! Luke zamyślił się. Jake Ingram?

- Jasne. To bogacz z Teksasu. Chyba z Teksasu. Jest jakimś geniuszem finansowym.

- Bogacz? - Na twarzy Faith odmalowało się zdumienie. - Jesteś pewien? Może jest kilku Jake'ów Ingramów?

- Może. - Postawił na stole dwie parujące miski z gulaszem i usiadł. - Skąd go znasz?

- Właściwie to nie znam.

Podobała mu się. Ale jaką miałby szansę, gdyby zaryzykował i spróbował ją zdobyć? Niewielką. Po pierwsze, pewnie wkrótce wyruszy w pogoń za kolejną epidemią, a po drugie, interesują się nią inni mężczyźni, bogaci, mający na koncie wiele sukcesów.

- Te dzieci... - Przez moment rozgrzebywała gulasz. - Jeżeli faktycznie prowadzono eksperymenty, to dzieci, które w ich wyniku przyszły na świat, byłyby jakimiś dziwolągami, prawda?

- Dziwolągami? To zbyt mocne.

- No ale byłyby inne. Nienormalne.

- A co jest normalne? - spytał lekkim, żartobliwym tonem, ale Faith najwyraźniej nie było do śmiechu. - Zjedz coś - powiedział. - A potem kładź się spać.

Wytrzeszczyła oczy.

- Na kanapie - wyjaśnił. - Jest całkiem wygodna. Potrząsnęła głową.

- Wolałabym wrócić do motelu. Potrzebuję chwili samotności. Samotność. Luke uświadomił sobie, że właśnie to mu najbardziej doskwiera. Owszem, ma Abby, ale dziecko nie może zastąpić mężczyźnie partnerki. Może dlatego Faith wpadła mu w oko? Bo czuł się samotny? Pragnął zatrzymać ją na noc, chociaż wcale nie chciał, by spała na kanapie.

Zastanawiał się, czy Faith potrafi rozmawiać na inne, nie związane z medycyną i pracą tematy. Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

- Powiedz, co lubisz porabiać, kiedy nie uganiaś się za wirusami?

Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Słucham?

- Chodzi mi o twoje pasje, hobby, zainteresowania. Co robisz w wolnym czasie?

Otworzyła szeroko oczy.

- Ja nie miewam wolnego czasu. Luke parsknął śmiechem.

- No, nie bądź taka tajemnicza. Zdradź mi, czym się najchętniej zajmujesz, kiedy nie jesteś poważną, pryncypialną doktor Martin.

- Dlaczego chcesz wiedzieć? - spytała szczerze zdziwiona.

Jeszcze nigdy tak ciężko nie rozmawiało mu się z żadną kobietą. Może niepotrzebnie traci czas i energię? Z drugiej strony...

- Bo jestem ciekaw.

Nie mogła wprost uwierzyć!

- Aha... Lubię czytać. Jest to jakiś początek.

- Ale co? Kryminały? Romanse? Horrorzy?

- Głównie podręczniki i pisma medyczne - odparła speszona. -

Ale interesują mnie również przewodniki.

No tak. Jest lekarką i większość czasu spędza w podróżach.

- Dobrze, ale chyba...

- A ty? - przerwała mu. - Masz jakieś hobby? - Patrzyła na niego z taką miną, jakby była pewna, że odpowie przecząco.

- Najbardziej lubię łowić ryby. Pstrągi. Ale lubię też pływać kajakiem i grać w golfa. Kiedyś próbowałem jeździć na nartach, ale tak mocno poobijałem sobie tyłek, że w końcu zrezygnowałem. Nie kuszą mnie sporty ekstremalne.

Faith w milczeniu pokiwała głową.

- Uwielbiam wędrowki, ale dawno nigdzie nie byłem. No i mamy w pobliżu mnóstwo terenów do jazdy konnej...

- Kiedy masz czas dla pacjentów?

- Jak trzeba, to go znajduję. Faith skupiła się na jedzeniu.

- Kiedy już uporamy się ze wszystkim, pokażę ci kawałek Montany, jakiego nie ujrzysz z okna szpitala - obiecał.

Podniosła wzrok.

- Kawałek Montany, tak?

- Tak. Najpierw zabiorę cię na ryby, a potem może na spływ kajakowy.

- Ryby? Spływ? No, no.



- Jeżeli wolisz, możemy oczywiście zacząć mniej ambitnie. Na przykład od spaceru po lesie.

- Na miłość boską, dlaczego miałabym chodzić po lesie?

Dopiero po chwili Luke zorientował się, że Faith nie żartuje; że pyta jak najbardziej serio. Odpowiedział:

- Dlatego, że jest tam pięknie, zwłaszcza jesienią. I dlatego, że chętnie bym cię zgarnął w ramiona.

Nad głowami mielibyśmy złocistą koronę drzew, a ja całowałbym cię do utraty tchu. Rzecz jasna, tego nie powiedział na głos.

- Późną wiosną odbywa się w Rockland wielki festyn. Wszyscy świetnie się bawią. Jest pokaz miejscowego rzemiosła, konkurs jedzenia placków, są tańce...

- Nie tańczę - oznajmiła z uśmiechem. - I nie zajmuję się rzemiosłem. Mogłabym najwyżej uczestniczyć w jedzeniu placków.

- Nauczę cię tańczyć. Uśmiech na jej ustach zgasł.

- Możemy sobie tak rozmawiać i snuć plany, ale oczywiście wiosną będę już daleko stąd.

- Oczywiście.

Szkoda, pomyślał. Bo naprawdę chętnie zabrałby ją na ryby. I na spacer po lesie. A także nauczył tańczyć. Ale Faith nie miewa wolnego czasu, bo kocha wyłącznie pracę.

Kusiło ją, by skorzystać z propozycji Luke'a i przespać się na jego kanapie. Dom był ciepły, przytulny i wbrew temu, co mówiła o potrzebie samotności, wcale nie chciała wracać do motelu. Miła

byłaby świadomość, że ktoś śpi w sąsiednim pokoju, ktoś życzliwy, kogo mogłaby zawołać, gdyby znów zaczęły dręczyć ją koszmary.

Ale zostanie na noc u Luke'a nie jest dobrym pomysłem.

Przestraszyła się, kiedy zaczął mówić o wiośnie w Rockland, o tańcach podczas festynu i spacerach po lesie. Tańce? Spacerzy? Nigdy czegoś takiego nie robiła. Słuchając Luke'a, czuła dziwny ucisk w piersi, ale przecież to o niczym nie świadczyło.

Chociaż za dnia w powietrzu wirowały płatki śniegu, noc była czysta i przejrzysta. Na bezchmurnym czarnym niebie świecił ogromny księżyc. Mogłaby pieszo pójść do motelu, ale Luke uparł się, że ją odwiezie.

W samochodzie panowała krępująca cisza. Faith miała wrażenie, że powinna coś powiedzieć. Ale co? W swoim trzydziestotrzyletnim życiu dwukrotnie była w związku. Obaj jej partnerzy byli lekarzami tej samej specjalności co ona, z obydwoma najpierw łączyła ją przyjaźń. Kiedy przyjaźń przeistoczyła się w miłość, wszystko zaczęło się psuć. Faith ceniła niezależność; w każdym związku czuła się zniewolona. Jako młoda kobieta marzyła czasem o wielkiej szalonej miłości, która sprawia, że człowiek zapomina o reszcie świata, ale w praktyce...

Te dwa romanse pozbawiły ją złudzeń; przekonały, że nie warto marzyć o rzeczach niemożliwych. Nie zamierzała zmieniać się dla mężczyzny, rezygnować z kariery, bo jego praca jest ważniejsza. A tego obaj jej partnerzy wymagali.

Żaden z nich nie przyprawiał jej o dreszcze, które czuła, gdy spoglądała na Luke'a. Zgoda, był przystojny, ale widok innych przystojnych mężczyzn nie wywoływał w niej takiej reakcji. Przypomniła sobie błysk w jego oczach, kiedy mówił, że zabierze ją na ryby. A potem, że nauczy tańczyć. Kiedyś nawet chciała się nauczyć, lecz próba zakończyła się fiaskiem. Ale z Lukiem... hm, kto wie? Gdyby trzymał ją w ramionach, prowadził po parkiecie i szeptał do ucha różne czułości...

Dobry Boże! Przez te wszystkie lata nic nie zmądrzała. Jest tak samo głupia jak wtedy, gdy miała siedemnaście lat i marzyła o miłości do grobowej deski. Psiakrew! To wszystko przez te hormony i świadomość, że zegar biologiczny tyka. Wcale nie tyka. Bije na alarm! Czas ucieka nieubłaganie.

Luke skręcił na plac przed motelem i zaparkowawszy wóz przed drzwiami jej pokoju, odwrócił się w fotelu.

- Przyjadę po ciebie z samego rana.
- Dzięki, ale nie trzeba. Pewnie znów polecę do szpitala skoro świt.
- Pojedziemy razem.
- W porządku. Wpadnij po mnie o czwartej. Nawet zbytnio się nie zdziwił.
- Rano?
- Możesz się jeszcze wycofać - odparła z uśmiechem.
- Nic z tego. Widzimy się o czwartej. Zamierzała otworzyć drzwi i wysiąść, kiedy nagle poczuła na ramieniu rękę Luke'a.

- Chyba ci dotąd nie podziękowałem za wszystko, co dla nas zrobiłaś.

- Podziękowałeś.

- Bez twojego antybiotyku - ciągnął, jakby jej nie słyszał - mielibyśmy tabuny chorych i wielu zmarłych. Benjy i Tyler na pewno by nie przeżyli. Paru innych również.

Faith wzruszyła ramionami.

- Po prostu wykonuję swoją pracę.

- Jesteś doskonałą lekarką. Może na początku nie byłem zachwycony twoim przybyciem, ale naprawdę bardzo się cieszę, że mi pomagasz.

Nie cofnął ręki. Zamiast tego pochylił się wolno w jej stronę.

- Chcę cię pocałować. Jeżeli wolisz, żebym tego nie robił, zaprotestuj.

Faith wstrzymała oddech. On chce ją pocałować? Po co? Żeby wyrazić wdzięczność? Nie. W jego oczach dojrzała taki sam błysk jak wtedy, gdy mówił o łowieniu ryb. Pocałunek nie ma nic wspólnego z wirusem i pracą. Raczej jest spełnieniem jej nierealistycznych dziewczęcych marzeń.

Najmądrzej by postąpiła, gdyby szybko wysiadła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Zawsze postępowała mądrze i rozsądnie. Więc dlaczego nie ruszyła się z miejsca?

Wargi miał ciepłe. Leciutko musnął nimi jej usta.

Ponownie wstrzymała oddech. Zaskoczyła ją własna reakcja.

Pragnęła z całej siły objąć Luke'a za szyję, całować go długo, namiętnie, nie zadowolić się przyjacielskim całusem.

Gdyby zaprosiła go do siebie, czy wszedłby do pokoju? Oczywiście, że tak. Gdyby okazała zainteresowanie, czy poszedłby z nią do łóżka? Prawie na pewno. Może jedna noc z Lukiem zaspokoiłaby jej pragnienia, może...

- Dobranoc. - Wysiadła pośpiesznie z samochodu.

- Do zobaczenia rano.

Najwyraźniej na Luke'u pocałunek nie wywarł takiego wrażenia jak na niej.

Drżącą ręką wsunęła klucz w zamek i otworzyła drzwi. Luke czekał, dopóki nie znalazła się w środku.

Położyła się szybko do łóżka. Cienka bawełniana piżama była odpowiednia na afrykańskie noce, na szczęście kaloryfer dobrze grzał.

Długo nie mogła zasnąć. Myślała o wirusie, o rozmowie z Jakiem Ingramem, o ustach Luke'a, o łowieniu ryb. Wirusem dalej będzie zajmować się od rana, jeśli chodzi zaś o telefon od Jake'a... potraktowała to jako głupi żart. Może kiedyś spróbuje się czegoś o nim dowiedzieć i poczytać o piątce dzieci urodzonych w wyniku eksperymentów genetycznych. Ale nie dziś. Dziś nie ma ani czasu, ani ochoty. Jest zmęczona. Kompletnie wypompowana.

Zamknęła więc oczy i zaczęła rozmyślać o pocałunku na dobranoc. Zawsze doskonale wyczuwała swoje ciało; potrafiła odgadnąć puls, ciśnienie krwi, temperaturę. Dopiero w wieku kilkunastu lat przekonała się, że nie wszyscy to potrafią.

Teraz puls miała lekko przyśpieszony, ciśnienie podwyższone, temperaturę wyższą o parę kresek. Mało tego, coś w niej drżało - jakiś pierwotny instynkt, potrzeba bliskości z drugim człowiekiem.

Pragnęła Luke'a tak mocno, jak jeszcze nigdy żadnego mężczyzny. Chciała, by tulił ją do siebie, pieścił, całował. Na samą myśl o tym wstrząsnął ją dreszcz.

Gdyby była odważna, podniosłaby słuchawkę i zadzwoniła do niego. Poprosiłaby, żeby przyjechał. Teraz, natychmiast, jak najszybciej. Na pewno by nie odmówił.

Ale oczywiście nie sięgnęła po telefon. Taką decyzję mogła podjąć dawno temu jako młoda, beztroska dziewczyna. Nastawiła swój psychiczny budzik - jedyny, jakiego kiedykolwiek używała - na trzecią czterdzieści rano i pogrążyła się we śnie.

Stał przy dziecięcym łóżeczku, wpatrując się w swoją śpiącą córeczkę. Jest taka śliczna, taka dobra i niewinna. Tylko ona trzymała go przy życiu w czasie ostatnich dziesięciu upiornych miesięcy.

Było późno, powinien już spać, ale zbyt wiele myśli kołatało mu po głowie. Przez dziesięć miesięcy obwinał się o śmierć Karen; wierzył, że za karę resztę życia spędzi samotnie. Wyrzuty sumienia wciąż go nie opuszczały, ale na pewno trochę osłabły. Tak, jest winien. Nie kochał żony wystarczająco mocno. Gdyby mieszkali w większym mieście, w którym byłby duży nowoczesny szpital, może Karen by żyła.

Rozum mówił mu, że tak by się nie stało. Tętniak, który zabił Karen, zabiłby ją wszędzie, bez względu na to, gdzie by mieszkała.

Nikt nie zdołałby jej uratować. Mimo to Luke bez przerwy zastanawiał się, co by było, gdyby...

Usiłował wziąć się w garść, nie gdybać. Miał Abby, pracę, niczego więcej nie potrzebował. Zajmował się dzieckiem, zajmował pacjentami. Żył jak automat, wykonując obowiązki, starając się nie czuć, nie myśleć.

Faith to zmieniła. Dzięki niej odżył. Pragnął jej do bólu. Dziś wieczorem pocałował ją, choć wiedział, że nie powinien; że może zniszczyć przyjaźń, jaka zaczęła między nimi kiełkować. Zaryzykował. Jeden mały, niewinny całus. Liczył na to, że może Faith się nie obrazi.

Z najwyższym trudem oderwał od niej usta. Faith czym prędzej wbiegła do pokoju. Nie uciekłyby, gdyby pocałunek pozostawił ją obojętną. Czyli też musi coś do niego czuć. Wiedział jednak, że nie ma co marzyć o wspólnej przyszłości. Faith jako powszechnie znany i ceniony epidemiolog większość życia spędza w podróżach. Jest piękną, ambitną, wyjątkowo inteligentną kobietą, która na pewno musi opędzać się od adoratorów.

On zaś jest skromnym wiejskim lekarzem, który lubi spokojne życie. Co mógłby jej ofiarować? Nic. Co mają wspólnego? Też nic. Czy dwoje tak różnych ludzi może myśleć o wspólnej przyszłości? Nie.

No dobrze, przyszłość nie wchodzi w grę. Ale istnieje jeszcze terażniejszość. Dzień dzisiejszy, jutrzejszy... Nie jest to wiele, ale zawsze coś.

Kiedy dziękował Faith za uratowanie życia jego pacjentom, wydawała się. speszona. Tłumaczyła, że przecież tylko wykonywała swoją pracę. A powinien jej jeszcze podziękować za to, że obudziła go z długiego mrocznego snu. Dzięki niej ożył. Okazało się, że wbrew temu, co myślał, nie pogrzebał swych nadziei. Nie umarł wraz z Karen.

Chciał żyć, czuć, śmiać się. Chciał całować, gładzić miękkie kobiece ciało. Chciał pożądać i być pożądany.

Może kiedyś zdoła się ponownie zakochać?



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bała się. Serce waliło jej młotem, pot lał się strumieniami. Dusila się. Otwierała usta, ale nie mogła nabrać powietrza. Biegła przerażona, zdezorientowana. Znów miała dziesięć lat.

Było ich pięcioro, potem już tylko czworo. Gdzie Gideon? Otaczał ją nieprzenikniony mrok, ale przynajmniej nie była sama. Trzeba uciekać, schować się, nie rozdzielać. Nieopodal rozbrzmiewały kroki rodzeństwa. Nie widziała twarzy, nie znała imion, ale czuła, że łączy ich bliska więź. Że są rodziną.

Nagle huk, potężny błysk światła, płomień. Już nie biegła po twardym solidnym gruncie. Tonęła. Woda wpadała jej do ust, prąd ciągnął w dół, w lodowate ciemności. To koniec, pomyślała. Umieram.

Akurat gdy straciła nadzieję, czyjeś silne ramiona wyciągnęły ją na powierzchnię. Domyśliła się, kto ją wyrwał z ciemnych głębin i przywrócił życiu. Jej ukochany brat Mark.

- Faith!

Poprzez lzy i słoną morską wodę udało się jej dojrzeć jego zamazane rysy.

- Oddychaj! Proszę cię, oddychaj.

Zamrugała powiekami. Twarz stała się nieco bardziej wyraźna, ale po chwili znów zaczęła się rozmazywać. Boże, tak bardzo chciała zobaczyć Marka. Potrzebowała go. Miał taki cudowny uśmiech...

- Faith! Do jasnej cholery!

Te słowa ją otrzeźwiły. Wróciła do świata żywych. Kiedy otworzyła oczy, sen pierzchnął. Przez moment próbowała go zatrzymać, zapamiętać to uczucie więzi, przynależności rodzinnej, ale nie była w stanie. Nad sobą ujrzała wystraszoną twarz Luke'a.

- Co tu robisz? - spytała zaskoczona.

- Przyjechałem po ciebie - odparł. - Tak jak się umawialiśmy. - Już nie trzymał jej tak mocno za ramię. - Przez kilka minut dobijałem się do drzwi. Nie otwierałaś. Wystraszony zadzwoniłem do ciebie z komórki. Nie odebrałaś, więc zadzwoniłem do szpitala. Kiedy Helm oznajmił, że ostatnim razem widział cię wczoraj, wpadłem w panikę.

Faith zerknęła na szafkę nocną. Telefon stał pół metra od jej głowy. Dlaczego nie słyszała dzwonka?

- Jak się dostałeś do pokoju?

- Obudziłem kierownika motelu - wyjaśnił. - Na szczęście miał zapasowy klucz. - Luke uśmiechnął się przeprasząco. - Gdyby nie on, pewnie wylamałbym drzwi.

- Nie mogę uwierzyć, że tak mocno spałam. - Uświadomiwszy sobie, że ma piżamę z cienkiego, lekko przezroczystego materiału, szybko podciągnęła kołdrę.

Jeszcze żaden mężczyzna nie obudził jej ze snu, żaden nie siedział rano na jej łóżku, kiedy dochodziła do siebie. A Luke nie jest jakimś tam mężczyzną. Przystojny, wysoki, lekko potargany, wysportowany, ubrany we flanelową koszulę, dżinsy i ciepłą kurtkę stanowi pokusę, której trudno się oprzeć. Lecz Faith nigdy nie ulegała pokusom, nawet zaspana i półprzytomna.

Usiadł wygodniej. Materac przechylił się. Musiała uważać, by się nie zsunąć. Przypomniała sobie wczorajszy pocałunek. Dziś znów dzieli ich tak niewielka odległość. Korciło ją, aby przewrócić się na bok, poczuć przy swoim brzuchu kolano Luke'a...

Wyciągnął rękę i pogładził ją po twarzy. Na moment zeszywniała, a potem odprężyła się. Jak miło, pomyślała.

- Masz twardy sen. Przestraszyłaś mnie, wiesz? Czuję się jak idiota, ale...

- Ale co?

- Bałem się, że zachorowałaś. Że jednak się zaraziłaś. Wiem, że jesteś ostrożna i że nie chorujesz... - Odwrócił wzrok. - Po prostu wystraszyłem się.

Skinęła głową. Wciąż czuła dreszcze. Czyżby obecność Luke'a tak na nią wpływała? A może to sprawa tego dziwnego snu, którego nie potrafiła sobie przypomnieć? Właściwie to nawet nie chciała go przypominać. Woli rzeczywistość.

- Niepotrzebnie się denerwowałaś, ale dziękuję. To miło z twojej strony.

Ponieważ milczał, uniosła wzrok i napotkała jego oczy. Wpatrywał się w nią intensywnie. Ponownie przeszył ją dreszcz.

- Kto to jest Mark?

- Nie mam pojęcia - odparła zmieszana.

- Wołałaś go we śnie.

- Nie znam żadnego Marka - odrzekła zgodnie z prawdą. Po chwili jednak zadźwięczały jej w głowie słowa Jake'a Ingrama: „Mark

marzy o spotkaniu z tobą". - Słowo honoru - dodała z naciskiem. - Nie znam nikogo o tym imieniu.

Cały dzień nie spuszczał jej z oczu. Nie rozumiał, co się z nią dzieje, i był tym zaniepokojony. Sprawiała wrażenie, jakby w ogóle w nocy nie spała, w dodatku niemal nie tknęła śniadania. Kiedy wszedł do laboratorium, zastał ją grzebiącą w koszu na śmieci. Kiedy podniosła głowę i zobaczyła go, oblała się tak wielkim rumieńcem wstydu, że nawet nie spytał, czego tam szuka.

Mieszkańcy Rockland byli niezadowoleni, że nie mogą opuścić miasta, ale nie narzekali; udzielali wywiadów przez telefon i odpowiadali na pytania dziennikarzy, którzy nie zdążyli wyjechać przed zamknięciem miasta. Rockland znalazło się w centrum uwagi. Groźny wirus wyprodukowany w laboratorium, bioterroryzm... Skoro takie rzeczy dzieją się w małej miejscinie w Montanie, mogą się zdarzyć wszędzie.

Stan zdrowia wszystkich pacjentów się poprawiał, chorych nie przybywało. Wszyscy niecierpliwie czekali, aż ekipa badająca niebezpieczne substancje ogłosi, że można spokojnie wracać do domów.

Luke wiedział, że lada dzień Faith spakuje manatki i odleci do Waszyngtonu, aby tam w lepiej wyposażonym laboratorium kontynuować pracę. Nic jej tu nie trzyma. Czy kiedyś w przyszłości pomyśli o pobycie w Rockland? I o nim, Luke'u? Pewnie nie.

Szkoda. Naprawdę chętnie zabrałby ją na ryby. Czuł, że pod maską chłodnej lekarki kryje się inna kobieta. Bardzo chciał ją poznać, ale obawiał się, że nie będzie miał okazji.

Dzień zleciał nie wiadomo kiedy. Pod wieczór Luke coraz częściej zerkał w stronę laboratorium. Czyżby Faith zamierzała zostać tam całą noc? Podejrzewał, że wielokrotnie zdarzało się jej pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale dziś jest zmęczona, powinna odpocząć.

Tak intensywnie wpatrywał się w drzwi, że nawet nie zauważył, kiedy stanęła przy nim Molly.

- Jest w środku? - spytała.

Skinął głową. Pielęgniarka oparła się o ścianę.

- Wiesz, Luke, nie podoba mi się to wszystko. Roześmiał się.

- Co ci się, Molly, nie podoba?

- Mówię poważnie. - Zmierzyła go gniewnym wzrokiem. -

Wprawdzie to ty jesteś lekarzem, ale ja jestem starsza i bardziej doświadczona.

- No dobrze, przepraszam. Więc o co chodzi? - Ponownie utkwił spojrzenie w drzwiach laboratorium.

Molly westchnęła ciężko.

- Po pierwsze, Betsy flirtuje z doktorem White'em.

Betsy była miłą dziewczyną, ładną, choć nie oszałamiającą, i odznaczała się ogromną nieśmiałością. Denerwowała się podczas normalnej rozmowy z mężczyzną. Ludzie, którzy ją znali, wiedzieli,

że czerwieni się, jąka i z nerwów popełnia gafy. Obraz flirtującej Betsy po prostu nikomu nie mieścił się w głowie.

- Jesteś pewna?

- Najzupełniej - stwierdziła ponurym tonem Molly. - Cieszę się, że spotkała faceta, który się jej podoba. Naprawdę. Ale doktor White wkrótce stąd wyjedzie. To jej złamie serce. Przecież znasz Betsy, ona nigdy się po czymś takim nie podniesie. Dlaczego nie zadurzyła się w kimś miejscowym? W Michaelu Franklinie albo jednym z Whitlawów?

- Może z White'em to nic poważnego?

- Oby. Chociaż na moje oko dziewczyna zaczyna świrować na jego punkcie.

- No dobrze, Molly, ale dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

- Musisz porozmawiać z White'em. Powiedzieć mu, że jeśli skrzywdzi Betsy, będzie miał z tobą do czynienia.

Popatrzył na pielęgniarkę z niedowierzaniem.

- Zwariowałaś? Nie jestem jej ojcem ani starszym bratem - oburzył się. - Nie interesuje mnie, co Betsy robi w wolnym czasie. Nie mogę wygrażać facetom, z którymi flirtuje.

Molly była jednak nieprzejednana.

- Musisz, Luke. Po prostu porozmawiaj z White'em. Luke westchnął głośno.

- W porządku. Ale niczego nie obiecuję.

- Jest jeszcze jedna sprawa. - Molly ściszyła głos. Świetnie, pomyślał Luke. Zaraz się okaże, że drugi z przyjezdnych lekarzy też podrywa pielęgniarki.

- Jakiś mężczyzna dzwonił wczoraj do doktor Martin - kontynuowała Molly. - Przedstawił się jako Jake Ingram. To nazwisko wydaje mi się dziwnie znajome...

- Facet jest bogaczem z Teksasu, geniuszem finansowym - odparł Luke. Hm, czyli dlatego Faith pytała go wczoraj, czy słyszał o Ingramie. - Czy to nie on pomagał FBI rozwikłać sprawę kradzieży w Banku Światowym?

- Masz rację - ucieszyła się Molly. - Jego nazwisko często pojawiało się w prasie! W każdym razie po wczorajszej rozmowie telefonicznej doktor Martin była dość zdenerwowana. A dziś facet dzwonił trzy razy.

- Trzy razy?

Molly potwierdziła skinieniem głowy. - Czy doktor Martin rozmawiała z nim?

- Nie. Zresztą on nawet nie prosił jej do aparatu.

- Więc czego chciał?

- Chciał wiedzieć, czy doktor Martin nadal tu przebywa i czy nic jej nie jest. Spytał też, czy dałam jej numer telefonu, który mi wczoraj podyktował. Kartkę z zapisanym numerem oczywiście dałam, ale doktor Martin chyba nie zamierzała do niego dzwonić. Tak jak mówiłam, zdenerwowała ją pierwsza rozmowa.

- Dziwne...

- Jestem pewna, że gdyby miasto nie było odcięte, Ingram już dawno by tu był. Strasznie mu zależy na rozmowie z doktor Martin, a ona nie chce mieć z nim do czynienia.

- Dzięki, Molly. - Luke skierował się w stronę laboratorium. - Zajmę się tym.

- Jak?

- Nie mam zielonego pojęcia - mruknął, naciskając klamkę u drzwi.

- Nie powinienes tu być! - zawołała Faith, kiedy energicznym krokiem wmaszerował do laboratorium.

Czy on nigdy nie puka? - przemknęło jej przez myśl. Najwyraźniej nie. Luke Winston wprowadza chaos do jej uporządkowanego świata. Burzy ład, który tak bardzo kocha i którego tak bardzo potrzebuje.

- Ty też nie, przynajmniej o tej porze. - Skrzyżowawszy ręce na piersiach, przystanął na środku sali.

Na ogół wszyscy starali się trzymać z dala od laboratorium. Tak na wszelki wypadek.

- Czy coś się stało? - spytała, zdziwiona ponurym wyrazem twarzy Luke'a. Antybiotyk okazał się skuteczny, więc... Nagle się wystraszyła: czyżby pogorszył się stan któregoś z pacjentów?

- Jeśli masz na myśli chorych, to nie. Wszyscy czują się stosunkowo nieźle - odparł. - Pielęgniarki też, bo wreszcie mogą trochę odpocząć. A ekipa szukająca zielonkawego proszku znalazła już chyba wszystkie koperty.



- A zatem...? Pokręcił głową.

- Ledwo trzymasz się na nogach. Czy codziennie mam cię stąd na siłę wyciągać?

Chciała się obruszyć, powiedzieć, że jest dorosła i sama sobie ustala godziny pracy. Ale istotnie ledwo trzymała się na nogach. I nie mogła się temu dziwić.

- Dziś na pewno nic więcej nie zrobię - przyznała. - Nie rozumiem tego. W przeszłości zdarzało mi się pracować znacznie dłużej i nie czuć żadnego zmęczenia.

- Źle spałaś tej nocy..-.

Przypomniały się jej strzępy snu. Woda, ogień, ucieczka, strach. Otrząsnęła się.

- To prawda.

Cały dzień nie mogła się skoncentrować. Dręczył ją nie tylko sen. Również wczorajsza rozmowa telefoniczna. Odruchowo zacisnęła palce na pomiętej kartce z telefonem Jake'a Ingrama, którą wydobyła z kosza. Czy w historii, którą Jake jej opowiedział, tkwi choć odrobina prawdy? Dziesiątki pytań krążyły jej po głowie, przeszkadzały w pracy.

- Z pobliskiej restauracji dostarczono ciepłe dania. Możemy zjeść w moim gabinecie.

Nie umiała odmówić. Na myśl o jedzeniu zaburczało jej w brzuchu. Opuścili laboratorium. Idąc korytarzem, Faith wsunęła rękę do kieszeni i ponownie zacisnęła ją na kartce z numerem telefonu.

Nie potrafiła do końca zbagatelizować rozmowy z Jakiem Ingramem. Najbardziej zaintrygowało ją pytanie o wspomnienia z dzieciństwa. Nie miała wspomnień. Pierwsze pochodziły z okresu, gdy już zamieszkała z Martinami. Zawsze odznaczała się doskonałą pamięcią, lecz nie pamiętała nic z pierwszych dziesięciu lat życia.

Aż do dziś. Dziś zaczęły ją nachodzić wspomnienia z przeszłości: słodki zapach kwiatów, ciepły wiosenny deszcz, uśmiechnięta kobieta, jakieś dzieci. Ale oprócz tych miłych wspomnień były też inne, bardziej przerażające: strach, ucieczka, szukanie schronienia, głęboka słona woda, prąd, który ciągnie w dół.

Najbardziej wyrazisty był obraz chłopca, wyjątkowo silnego, który chwyta ją pod pachy i unosi na powierzchnię. Tylko dzięki niemu nie utonęła. Twarz chłopca pozostawała zamazana, nie umiałaby jej rozpoznać, wiedziała jednak, że należy do Marka. Do brata, którego - jak się zarzekała wczoraj i dziś - zupełnie nie pamięta.

Od rana usiłowała wmówić w siebie, że wszystko, co jej wczoraj Jake opowiadał, nie jest prawdą. A jednak w głębi duszy czuła, że jej nie okłamywał. I z każdą godziną nabierała coraz większej pewności, że nie fantazjował.

Całe życie miała świadomość, że różni się od innych. Wszyscy o tym wiedzieli. Co prawda ci, którzy ją kochali - adopcyjny brat Nash i ich rodzice - twierdzili, że jej inność polega na tym, że jest wyjątkowa. Zdolna, inteligentna, po prostu niedościgła.

Ale to nieprawda. Stanowi kuriozum; jest wynikiem eksperymentów genetycznych, czymś sztucznie stworzonym, tak jak

wirus, którym się obecnie zajmuje. Nic dziwnego, że zawsze czuła się inna. Czuła się inna, bo jest inna.

Łudziła się, myśląc, że kiedyś w przyszłości może mieć normalne życie, dom z ogródkiem, męża, dzieci. Żaden normalny facet nie chciałby się wiązać z takim dziwadłem jak ona.

Kiedy Luke otworzył drzwi do gabinetu, uderzył ją w nozdrza unoszący się w powietrzu zapach potraw. Z wrażenia a może i głodu, aż zakręciło się jej w głowie.

- Ostrożnie. - Luke przytrzymał ją za ramię, aby przypadkiem nie upadła. - Jesteś znacznie bardziej osłabiona, niż sądziłem.

Podprowadził ją do stojącego przy biurku fotela i pomógł usiąść. Tuż przed sobą ujrzała telefon.

- Jedzenie czeka obok. - Wskazał głową w stronę pokoiku, w którym spała przed paroma dniami. Pokoiku, do którego zajrzał, gdy paradowała owinięta ręcznikiem. - Nałożę ci coś na talerz i...

- Luke - przerwała mu. - Chcę... muszę... zadzwonić w kilka miejsc. Pozwolisz?

Zawahał się.

- Na pewno mi tu nie zemdlejesz?

Obiecała, że na pewno. Wyszedł niechętnie, jakby bał się zostawiać ją samą. Podejrzewała zresztą, że czeka tuż za drzwiami; że wystarczy zawołać, gdyby go potrzebowała. Ale to absurd. Nikogo nie potrzebuje.

Najpierw zadzwoniła do swojego brata Nasha. Do swojego prawdziwego brata, którego pamiętała i z którym się wychowywała.

Do brata, który pojawił się w jej życiu, kiedy miała dziesięć lat, a on dwanaście. Słyszając głos w słuchawce, odetchnęła z ulgą.

- Nash?

- Faith! - zawołał uradowany. - Cieszę się, że dzwonisz. Nie było mnie, kiedy wróciłaś do kraju, a potem zobaczyłem twoje zdjęcie w wiadomościach telewizyjnych i... Co u ciebie? Wszystko w porządku? Dzwoniłem parę razy na twoją komórkę...

- Jestem poza zasięgiem.

- Domyśliłem się. Jak się czujesz, pszczołko? Masz zmęczony głos.

- Nic mi nie jest - skłamała. Nie miała czasu, by mu wszystko wyjaśniać. Chyba nawet by nie potrafiła. - Słuchaj, muszę zaraz kończyć, ale chciałam ci zadać pytanie.

- Strzelaj.

Wzięła głęboki oddech.

- Na samym początku, kiedy z wami zamieszkałam, czy zachowywałam się dziwnie? Albo czy mówiłam coś, co wydawało ci się dziwne?

Nash roześmiał się wesoło.

- Przez kilka tygodni w ogóle się nie odzywałaś. Mama mówiła, że to z powodu szoku, jaki przeżyłaś, kiedy twoi rodzice zginęli w wypadku.

Zawsze mogli na sobie polegać. Mimo różnic w temperamencie i usposobieniu bardzo się kochali. Faith była naukowcem, ceniła ład oraz jasne konkretne odpowiedzi. Nash był rzeźbiarzem uprawiającym

nowoczesny rodzaj sztuki. Ona wszystko dokładnie planowała, on znikał z dnia na dzień, nie mówiąc nikomu, dokąd jedzie ani kiedy wróci. Różnili się jako dzieci, jako nastolatki i jako dorośli, ale skoczyliby za sobą w ogień.

- A więc byłam cicha i nieśmiała?

- Hm, raczej potwornie zamknięta w sobie - odparł Nash, poważniejąc. - Zachowywałaś się niemal jak katatoniczka. Mama się martwiła, czy w ogóle się z tego otrząsniesz. Na szczęście wszystko się dobrze skończyło. Dlaczego pytasz?

Nie mogła mu powiedzieć prawdy, jeszcze nie teraz, i na pewno nie przez telefon.

- Tak bez powodu, po prostu się zastanawiałam. Wiesz... - dodała, zanim brat zacznie ją maglować - marzę o tym, żeby się z tobą zobaczyć. Jak tylko zniosą kwarantannę, wsiadam w samolot i przylatuję.

- Świetnie. Stęskniłem się za tobą, pszczołko.

- Ja za tobą też. - Westchnęła. - Do zobaczenia, Nash. Kocham cię.

- A ja ciebie.

Rozłączyła się pośpiesznie, żeby przypadkiem nic więcej bratu nie zdradzić. Po czym szybko, nim zdążyła ją opuścić odwaga, wydobyła z kieszeni fartucha pomietą kartkę, wyprostowała ją na biurku i wykręciła kolejny numer.

- Ingram - oznajmił głos na drugim końcu Unii.

- Panie Ingram, mówi Faith Martin...

- Faith! Jak dobrze, że dzwonisz.

- Myślałam o tym, co mi pan wczoraj mówił. -Serce jej kołatało, krew dudniła w skroniach.

- Czy nasza rozmowa obudziła w tobie wspomnienia?

- Tak.

Miała wrażenie, że odetchnął z ulgą.

- Usiłowałem zdobyć pozwolenie na przyjazd do Rockland, ale...

- Nie! - przerwała mu. - Proszę nie przyjeżdżać!

Nie tyle chodziło jej o to, by nie zaraził się wirusem, ile o to, żeby mieć kilka dni względnego spokoju, zanim jej życie obróci się na nice. Na razie jest jeszcze Faith kobietą, bała się zaś, że po spotkaniu z Ingramem stanie się Faith tworem laboratoryjnym.

- Tu jest niebezpiecznie - dodała nerwowo.

- Pozwolenie zdobędę bez trudu. Mam znajomości...

- Nie - powtórzyła z naciskiem. - Panie Ingram...

- Mów do mnie Jake. Bądź co bądź jestem twoim bratem.

Wiedziała, że to prawda, lecz nie czuła żadnego pokrewieństwa z tym człowiekiem. Czy kiedykolwiek je poczuje?

- No dobrze. Jake, czy możesz mi udzielić paru odpowiedzi?

- Pytaj, o co tylko chcesz.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy zjedli kolację, Luke odwiózł Faith do motelu. Ciekaw był, z kim rozmawiała przez telefon. Z Ingramem? Ale nie pytał, a ona sama nic nie mówiła.

Oczywiście w pierwszej chwili zaprotestowała, gdy powiedział, że czas kończyć pracę. Chciała zostać w szpitalu kilka godzin dłużej, na szczęście jednak dała się przekonać. Gdyby się zapała, pewnie przerzuciłby ją sobie przez ramię i siłą wyniósł do samochodu. Dziwne. Od kiedy to stał się taki troskliwy?

Co innego troska o pacjentów. I co innego troska o Abby; w końcu jest jego córką, a on jej ojcem. Zajmowanie się nią stanowi jego obowiązek, a jednocześnie sprawia mu ogromną przyjemność. Starał się również troszczyć o Molly i Nelde, które tyle czasu poświęcały innym ludziom, że zapominały o sobie.

Ale Faith? Dlaczego tak bardzo się o nią niepokoi? Trochę go przerażało własne zaangażowanie.

Wczoraj odprowadził ją do drzwi wzrokiem; dziś zgasił silnik i wysiadł z auta. Faith obejrzała się przez ramię - dostrzegł w jej oczach zdziwienie - ale nie kazała wsiąść mu z powrotem i jechać do domu.

Kiedy otworzyła drzwi do pokoju, wszedł za nią do środka. Gdyby był nastolatkiem, stałby w progu na zimnie, wahając się, czy wolno mu ją pocałować. Ale był dorosły.

Zwrócona tyłem do niego ściągnęła płaszcz i powiesiła na oparciu krzesła. Ubierała się w sposób mało seksowny. Beżowy

sweter był za duży, brązowe spodnie nijakie. Ale mogłaby mieć na sobie jutowy worek i też wyglądałaby świetnie. Bo to nie ubranie, lecz ona sama promieniała zmysłowością.

Luke nie zdjął kurtki; jeszcze nie wiedział, jak długo zostanie.

- Martwię się o ciebie - powiedział cicho. - Za ciężko pracujesz, źle sypiasz...

- Nic mi nie będzie.

- Na pewno?

Odwróciła się i popatrzyła mu w oczy.

- Wszedłeś za mną dlatego, że się o mnie martwisz? - spytała.

- Nie całkiem - odparł zgodnie z prawdą. Podeszła krok bliżej i nagle zawahała się. Pragnął wyciągnąć ramiona, przytulić ją do siebie, nie chciał jej jednak wystraszyć.

- Wczoraj mnie pocałowałaś. Chociaż było to niestosowne, bardzo mi się podobało...

- Cieszę się.

Wzięła głęboki oddech, po czym ciągnęła:

- Od początku wyczuwam między nami pewne napięcie. Jeśli jesteś ciekaw, mogę ci wyjaśnić, skąd się ono bierze.

Nie chciał słuchać wyjaśnień. Chciał otrzymać jakiś znak, że jest chętna i pragnie go tak jak on jej.

- Słucham.

Przełknęła ślinę. Ręce jej drżały.

- A więc tuż przed przyjazdem tutaj zastanawiałam się nad tym, czy będę miała dzieci.



Akurat takiego wyjaśnienia się nie spodziewał.

- Zegar biologiczny?

- No właśnie. Niby świat idzie naprzód, dokonuje się ogromny postęp techniczny, a w ludziach wciąż tkwi prymitywny zwierzęcy instynkt. Dawniej chęć prokreacji miała na celu przetrwanie gatunku, dziś niekoniecznie, ale...

- Czyli twierdzisz, że napięcie, jakie istnieje między nami, jest wynikiem tykania twojego zegara biologicznego?

- Tak. Po prostu widzę w tobie potencjalnego ojca mojego dziecka. Jesteś inteligentny, zdrowy, przystojny. Na szczęście nie jesteśmy zwierzętami. Jako istoty racjonalne możemy ignorować nasze prymitywne instynkty.

- Mogę coś powiedzieć?

- Proszę.

Przysunął się bliżej; czuł bijące od niej ciepło.

- Owo napięcie, jak je nazywasz, to nic innego jak pożądanie.

- Terminologia nie ma znaczenia. - Mimo że starała się zachowywać chłodno, zaczerwieniła się po uszy.

- Masz w swoim zespole trzech lekarzy, też zdrowych i inteligentnych. Gdyby chodziło wyłącznie o biologię, o przedłużenie gatunku, to każdy z nich by się nadawał. Nie sądzisz?

- Najwyraźniej jednak nie - mruknęła. Odgarnął jej z twarzy ciemny kosmyk.

- Pragniesz mnie, Faith. Widzę to i czuję. Oczywiście możesz to sobie tłumaczyć, jak chcesz, ale jak wytłumaczysz fakt, że ja ciebie również pragnę?

- Nie wiem - przyznała. - Może to reakcja chemiczna na sygnały wysyłane przez moje ciało?

- Chemia, biologia, antropologia. - Pochylił się; niemal stykali się nosami. - A co z miłością?

- Próbuję trzymać się faktów. Nie lubię fantazjować.

- Uważasz, że miłość jest czymś nierzeczywistym? Fantazją? Iluzją?

- Tak.

Choć denerwował go chłodny racjonalizm Faith, nie potrafił odwrócić się i wyjść. Trudno mu było oprzeć się jej urokowi. Niewiele się namyślając, przywarł ustami do jej warg. A ona, mimo swych uczonych argumentów i racjonalnych wywodów, zamknęła oczy i odwzajemniła pocałunek. Po dłuższej chwili Luke uniósł głowę.

- Więc twoim zdaniem serce nam tak mocno łomocze dlatego, że ty chcesz mieć dziecko, a ja jestem pod ręką?

Skinęła głową. Nie przekonała go.

- A gdybym powiedział ci, że nie mogę mieć dzieci? - Delikatnie obrysował palcem jej wargi. Zadrżała. - Że moje jądra wytwarzają za mało plemników? Inaczej mówiąc, że strzelam ślepakami, że jako jaskiniowiec odpowiedzialny za przetrwanie gatunku jestem do niczego?

Ponownie ją pocałował, tym razem bardziej namiętnie. Jedną ręką objął ją za szyję, drugą w pasie i przyciągnął do siebie, aby poczuła siłę jego pożądania.

Reagowała tak, jakby czekała na niego całe życie.

- Nadal mnie pragniesz?

- Tak - szepnęła zdyszana.

- Nawet jeśli nie mogę ci dać tego, o czym marzysz?

- Tak.

- Więc twoja teoria jest guzik warta. Cofnęła się zaskoczona.

Wargi jej drżały.

- Hej, spokojnie. Nie trzeba racjonalizować każdego swojego posunięcia. Życie to nie eksperyment naukowy. A świat nie ogranicza się do laboratorium.

Odskoczyła, jakby ją spoliczkował. Po chwili zmarszczyła czoło.

- Masz córkę - rzekła ochryple. - Jak to możliwe, jeśli...

- Nie powiedziałem, że jestem niepłodny. Spytałem, co by było, gdybym nie mógł mieć dzieci. - Uśmiechnął się. - Kiedy cię całowałem, w ogóle się tym nie przejmowałaś.

Zakłopotana, odgarnęła włosy z oczu.

- Chcę iść do łóżka.

- Popieram ten pomysł.

Wbiła w niego wzrok. Przed chwilą gotowa była rozpląnąć się w ramionach Luke'a, teraz jednak się pozbierała.

- Sama.

Skierował się do drzwi. Nie próbował zmieniać jej decyzji. Wiedział, że Faith nie zależy na tym, na czym jemu zależy. Bezpieczna w swoim małym uporządkowanym świecie, bała się go opuścić, zakosztować czegoś nowego.

Z drugiej strony... Przystanął z ręką na klamce.

- Nie powiedziałem ci, co ja o tym wszystkim sądzę. Nie spytała co, ale i nie westchnęła zniecierpliwiona. Obejrząwszy się przez ramię, Luke kontynuował:

- Lubię cię. Jesteś mądra, wiesz, czego chcesz i wytrwale dążysz do celu. Przejmujesz się losem innych. W dodatku jesteś najpiękniejszą, najbardziej ekscytującą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Wcale nie...

- Daj mi dokończyć.

Zamknęła usta i zaczęła nerwowo wyłamywać sobie palce.

- W jednej kwestii się nie mylisz. Patrząc na ciebie, odczuwam silne, niemal zwierzęce pożądanie. Nie sądziłem, że można kogoś tak bardzo pragnąć. Nie umiem z tym walczyć, nawet nie będę próbował.

Stała bez słowa, zasłuchana, zmęczona i wystraszona. Chciał zgnieść ją w ramionach, ale nie był to dobry moment.

- Jeszcze jedno. W przeciwieństwie do ciebie, ja wierzę w miłość.

Nie powinna go zatrzymywać. Jutro będzie silniejsza, bardziej wypoczęta, mniej poruszona faktem, iż została poczęta w laboratorium i stanowi wybryk natury.

Luke nie patrzył na nią jak na dziw natury. Podobała mu się. Uważał, że jest piękna.

A teraz zamierza opuścić pokój. Zdobywając się na odwagę, podeszła do niego i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Zostań - szepnęła.

Nie kazał jej się prosić dwa razy. I nie dopytywał, dlaczego zmieniła zdanie. Po prostu odwrócił się, wziął ją w ramiona i zamknął jej usta pocałunkiem.

Luke ma rację. Za bardzo wszystko analizowała. Czasem wystarczy chcieć i czuć, nie trzeba się zastanawiać, skąd się dane pragnienie bierze i czemu ma służyć.

Wiedziała, że wkrótce jej życie się odmieni. Ale dziś nie chciała być wynikiem eksperymentu naukowego; chciała być kobietą. Dzięki Luke'owi nią się czuła.

- Masz prezerwatywę? - spytała nagle. Owszem, marzyła o dziecku, ale nie chciała zajść w ciążę podczas jednonocnej przygody. A na więcej nie liczyła.

- Tak.

Objęci, wolno przesuwali się w stronę łóżka. Po raz pierwszy w życiu o nic nie pytała, niczego nie starała się zgłębić, ani zrozumieć. Poddawała się zmysłom. W pewnej chwili, speszona własną nagością, wyciągnęła rękę, by zgasić światło. Powstrzymał ją.

- Nie, Faith. - Pożerał ją wzrokiem, jakby autentycznie jej pragnął. - Chcę cię widzieć. Jesteś taka piękna...

Pieścił jej ciało, raz mocniej, raz delikatniej, całował je, gryzł. Raz po raz wstrząsał nią dreszcz. Jeszcze żaden mężczyzna tak jej nie dotykał, a przynajmniej jej ciało nigdy w ten sposób nie reagowało na żaden dotyk. Wszelkie myśli wyparowały jej z głowy, zapomniała o otaczającym ich świecie; wiła się, odwzajemniała pieszczoty, radowała seksem.

W niesamowitym tempie narastało w niej pożądanie; pragnęła Luke'a coraz bardziej. Nie zastanawiała się, co jest tego powodem: uczucie czy prymitywne zwierzęce instynkty. Po prostu wiedziała, że ona i Luke są ze sobą doskonale zgrani, że ich ciała idealnie się rozumieją, że wykonują wspaniałe zmysłowy taniec, który doprowadzi ich na szczyty rozkoszy.

Luke. Liczył się tylko on. On, jego wargi i język, jego pocałunki i karesy. Był cierpliwym kochankiem, nie spieszył się, powoli dawkował przyjemność, czerpiąc radość z jej cichych westchnień, jęków i podniecenia. Kiedy się połączyli, otworzyła oczy i przez moment obserwowała jego twarz. Gdyby wierzyła w miłość, byłaby skłonna twierdzić, że zakochała się od pierwszego wejrzenia. Ale przecież coś takiego nie istnieje. Prawda? Zacisnęła nogi wokół bioder Luke'a i z ochryłym krzykiem wzniosła się na wyżyny zmysłowych doznań.

Zasapani, z trudem łapiąc oddech, leżeli przytuleni. Opuszką palca pogładziła Luke'a po ramieniu; na nic więcej nie miała siły.

- Całe szczęście, że miałeś przy sobie prezerwatywę - mruknęła, uśmiechając się leniwie. - Wiedziałaś, prawda? Że będziemy się dziś kochać?

Pokręcił przecząco głową.

- Miałem nadzieję, a to zasadnicza różnica. Faith odsunęła od siebie swoje lęki. Nie, nie będzie myślała o przyszłości, o Ingramie i jego niesamowitej opowieści, o rodzeństwie. Nie teraz, nie dzisiaj. Dziś leży w ramionach Luke'a, który uważa, że jest piękna. Który spojrzeniem sprawia, że drży z podniecenia.

- Nie gniewasz się? Że byłem taki... przewidujący?

- Nie. Cieszę się - przyznała szczerze. - Naprawdę. Dobrze, że jedno z nas pomyślało o zabezpieczeniu.

- Powiedz mi, Faith. - Posłał jej zniewalający uśmiech. - Kim dla ciebie jestem? Niepoprawnym optymistą czy knującym zbereźnikiem?

- Hm...

- Zanim odpowiesz, muszę ci coś pokazać. Przetoczywszy się na krawędź łóżka, sięgnął po leżące na podłodze dzinsy. Faith nagle poczuła się odkryta. Speszona, pociągnęła za róg kołdry i zasłoniła piersi.

Po chwili Luke wrócił na miejsce, ściskając w dłoni osiem małych paczuszek. Rozrzucił je po łóżku. Faith objęła go za szyję i zamknąwszy oczy, zaczęła całować długo i namiętnie. Pragnęła więcej: więcej pieszczot, więcej seksu, więcej Luke'a.

- Jesteś niepoprawnym optymistą - szepnęła, na moment odrywając się od jego warg. - Cudownym, wspaniałym optymistą.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Minęła pierwsza w nocy, a on wciąż nie mógł zasnąć. Przytulił śpiącą obok kobietę. Westchnęła błogo, potarła nosem jego ramię, po czym ponownie znieruchomiała.

Nie przyznał się Faith, że jest pierwszą kobietą, z którą kochał się od śmierci żony. Było mu trochę niezręcznie o tym mówić, poza tym nie bardzo miał kiedy.

Rozum mu podpowiadał, że taka osoba jak Faith nie wytrzyma długo w małym miasteczku. Opuści Rockland, zanim jeszcze zdążą się przekonać, czy łączy ich cokolwiek poza namiętnością. Szkoda, bo on pragnął czegoś więcej. Chętnie zabrałby ją na ryby, potańczyłby z nią, spędził trochę czasu z dala od szpitala, wirusów i widma epidemii. Może nie pasują do siebie charakterami, może to jest sprawa wyłącznie chemii. Niestety, nie będą mieli okazji dowiedzieć się tego na pewno.

Obejmował Faith, wsłuchując się w jej oddech. Była jak narkotyk, bez którego nie wyobrażał sobie życia. Powinien wstać, wrócić do domu, ale nie chciał. Nie chciał, żeby ta noc kiedykolwiek się skończyła.

Zdrzemnął się. Obudziła go Faith, która wierciła się niespokojnie. Coś jej się śniło. Oddech miała płytki, urywany, od czasu do czasu mruzczała coś niewyraźnie. Ze dwa lub trzy razy rozpoznał pojedyncze słowa: „Nie. Oddychaj. Mark”. A więc znów



śni się jej tajemniczy mężczyzna o imieniu Mark. Ale sądząc po tym, jak się ciska po łóżku, sen nie należy do przyjemnych.

Luke zawahał się. Co powinien zrobić? Obudzić ją? Jeszcze kilka minut temu spała tak smacznie. I potrzebuje snu. Z drugiej strony... Zanim zdołał cokolwiek postanowić, sama się obudziła.

Przez moment wydawała się autentycznie przerażona. Gdy sobie uświadomiła, gdzie jest, przestała się bać, i uśmiechnęła się bezwiednie. Sprawiała wrażenie kobiety pewnej siebie, która niczego się nie lęka.

- Jeszcze jesteś - zamruczała cicho.

- Tak, jeszcze jestem.

Opuszkami palców pogładziła go po torsie.

- To dobrze. - Oczy miała przymknięte, włosy rozrzucone po poduszce. Odwróciła głowę; kilka kosmyków zsunęło się jej na policzek.

W pokoju panował półmrok; jedyne światło wpadało przez uchylone drzwi łazienki. Nagle poczuł, jak Faith unosi jego rękę i wzdychając głośno, kładzie sobie na piersi.

Uśmiechnął się pod nosem. Poważna doktor Martin powoli przemienia się w kocicę...

- Wciąż mnie pragniesz? - spytała, zrzucając z siebie kołdrę.

- Jeszcze jak!

- No to udowodnij. Spraw, żebym wyła z rozkoszy. - Przywarła do niego wargami.

Przewrócił ją na wznak i kolanem rozsunął jej złączone uda.  
Roześmiała się wesoło.

- Nie musisz się spieszyć. Mamy przed sobą całą noc. Wiesz... -  
spoważniała. - Nigdy nie potrafiłam żadnemu mężczyźnie powiedzieć,  
czego chcę. Z tobą, po raz pierwszy w życiu, czuję się wyzwolona.  
Pozbawiona wszelkich zahamowań. Chcę, żebyś wszedł we mnie.  
Żebyś całował mnie wszędzie. Żebyś...

Jęknęła ochryple; nie była w stanie dokończyć myśli. Badała  
jego ciało dłońmi, językiem, pozwalała Luke'owi badać swoje; czasem  
delikatnie naprowadzała jego rękę, pokazywała najbardziej wrażliwe  
miejsca. Tym razem kochali się szybciej, mocniej, brutalniej.  
Doprowadzona do rozkoszy, Faith nie zdołała powstrzymać krzyku.  
Raz po raz wstrząsana dreszczem, wbiła paznokcie w plecy Luke'a. A  
gdy napięcie zaczęło z niej opadać, cicho, z błogim uśmiechem na  
twarzy, szepnęła imię kochanka. Luke.

Otworzywszy oczy, przeciągnęła się zmysłowo i ponownie go  
pocałowała. Dlatego zdziwił się, gdy usłyszał:

- Musisz już iść.
- Co takiego?
- Mam dużo pracy.

Kolejny pocałunek, z początku niewinny, powoli przeradzał się  
w coraz bardziej namiętny.

- Pracy? Teraz? Protestuję. Musisz się porządnie wyspać.

Otarła się o niego sugestywnie.

- Nie wyśpię się, jeżeli zostaniesz ze mną.

Miała rację.

Nie wypchnęła go z łóżka, ale podała mu leżącą na podłodze garderobę i pomogła się ubrać. Już nie wstydziła się swojej nagości, nie próbowała się zakryć. W niczym nie przypominała speszzonej, niepewnej kobiety, jaką była, kiedy kochali się po raz pierwszy. Naga odprowadziła go do drzwi i pocałowała, gdy wkładał kurtkę. Nie przerywając pocałunku, nacisnęła klamkę. O drugiej w nocy na dworze nie było nikogo. Całe szczęście, bo nie przejmując się otwartymi drzwiami, dalej całowała go namiętnie. Luke zadrżał z zimna. Wyobraził sobie, jak bardzo zziębnięta musi być Faith.

Nagle cofnęła się o krok, mruknęła dobranoc i zatrzasnęła drzwi. Patrzył na nie osłupiały.

Miał dziwne wrażenie, jakby dzisiejszej nocy obcował z dwiema różnymi kobietami.

Kiedy się obudziła, leżała w łóżku. Naga, zmarznięta i sama jak palec. Rozejrzała się po pokoju, sprawdzając, czy Luke nie poszedł do łazienki. Ale nie, nikogo poza nią nie było. Czuła się zawiedziona, że znikł po cichu, bez słowa pożegnania, ale pewnie miał powody. Zresztą to chyba dobrze o nim świadczy, że jej nie budził? Mimo to zrobiło się jej przykro. Zamrugła powiekami, usiłując powstrzymać łzy. Psiakość, nie powinna oczekiwać wspólnego śniadania. Przespali się i tyle; była to przygoda, a nie miłość do grobowej deski.

Promienie słońce wpadały przez wąską szparę w zasłonach. Faith poderwała się na łóżku, po czym zerknęła na stojący obok

budzik. Ósma! Rany boskie, nigdy nie spała tak długo. Dlaczego wychodząc, Luke jej nie obudził?

Opuściwszy nogi na podłogę, usiadła i nagle zobaczyła leżące na szafce nocnej prezerwatywy. Siedem? Chyba było osiem? Przecież zużyli jedną, a potem ze śmiechem policzyli, ile zostało.

Odgarnęła włosy z twarzy. Może pomylili się w rachunkach? Bądź co bądź nie w głowie im była matematyka.

No dobrze. Nawet jeśli Luke wyszedł bez pożegnania, niczego nie żałowała. Nigdy dotąd nie przeżyła czegoś tak fantastycznego. Wczorajszego wieczoru Luke dojrzał w niej piękną, zmysłową kobietę. Tego potrzebowała. I za to zawsze będzie mu wdzięczna.

Umyła się, ubrała i skierowała do drzwi. Na zewnątrz czekał młody żołnierz, który oznajmił, że przysłał go doktor Winston z poleceniem, aby towarzyszył jej do szpitala i chronił przed natrętami. Hm, więc Luke nadal się o nią troszczy. Poczwała się trochę lepiej.

Wciąż była zmęczona. Siedząc w starym zielonym dżipie, co rusz ziewała. Nie chciała myśleć o wczorajszej nocy, więc patrzyła przez okno na mijane po drodze domy. Nic dziwnego, że Luke kocha to miasteczko. Panuje tu miła, przyjazna atmosfera. Właśnie w takim miejscu chętnie by zamieszkała, wychowywała dzieci.

Przez całą drogę żołnierz prowadził w milczeniu;

dopiero gdy skręcili na parking przed szpitalem, zapytał:

- Wszystko będzie dobrze, prawda, pani doktor?
- Słucham? - Jego pytanie wyrwano ją z zadumy.
- No, z tym wirusem.

Zerknęła na plaketkę na mundurze młodzieńca. Mimms.  
Szeregowy Mimms.

- Mam taką nadzieję - odparła. - Na szczęście ten konkretny wirus nie przenosi się z człowieka na człowieka, jest podatny na pewien nowy antybiotyk i występuje na stosunkowo niedużym terenie, który udało się w porę odizolować.

- Fakt. - Żołnierz zgasił silnik; widać jednak było, że sprawa wirusa nie daje mu spokoju. - Wie pani, zastanawiam się, dlaczego właśnie tu? Dlaczego w małym prowincjonalnym Rockland? Gdyby ktoś chciał w ten sposób zaatakować Amerykę, chyba wybrałby większe miasto?

Sama się nad tym również zastanawiała. I tylko jedna odpowiedź przychodziła jej do głowy.

- Podejrzewam, że to była próba. Szeregowy Mimms zbladł.

- O tym samym pomyślałem - przyznał cicho.

- Skoro udało nam się uratować życie zakażonym, można uznać, że próba zakończyła się niepowodzeniem - dodała Faith, chcąc pocieszyć żołnierza.

Nie bardzo jej to wyszło.

- No dobrze, ta próba się im nie powiodła. Ale co dalej?

Co dalej? Zaatakują drugi raz, pomyślała, potem trzeci, używając środków jeszcze groźniejszych, szybciej działających, trudniejszych do wyeliminowania.

- Nie martwmy się na zapas - odparła, siląc się na lekki ton.

Oślaniając Faith przed dziennikarzami, Mimms odprowadził ją na piętro, gdzie mieścił się prowizoryczny oddział zakaźny. Kiedy drzwi windy rozsunęły się, na korytarzu zobaczyła Luke'a. Czekał na nią.

- Dzień dobry - powiedziała, wysiadając z kabiny. Trudno jej było zachowywać się normalnie, jakby ostatnia noc nigdy się nie wydarzyła, ale... Ona ma trzydzieści trzy lata, Luke jest kilka lat starszy. Oboje są wolni, nikogo nie skrzywdzili. Więc dlaczego czuje się spięta i skrepowana?

Wyglądał tak, jakby całą noc nie zmrużył oka. Na jego twarzy malował się wyraz powagi. Liczyła na to, że chociaż się do niej uśmiechnie, ale skąd!

Uzmysłowiła sobie, że ani razu nie rozmawiali na temat jego zmarłej żony. Nagle serce zaczęło jej łomotać. Może Luke wciąż cierpi, może tęskni za kobietą, którą stracił? Może o niej myślał wczoraj, kiedy się kochali?

- Długo spałaś - rzekł niemal oskarżycielskim tonem.

- To prawda.

Sierżant Mimms oddalił się, zostawiając ich samych. Na piętrze panował ożywiony ruch. Faith skierowała się w stronę laboratorium, jedyne miejsce, które wydawało jej się bezpieczne i spokojne.

- Wszystko w porządku? - Luke szedł obok, dotrzymując jej kroku.

Skinęła głową. Korciło ją, by spytać, dlaczego wymknął się rano bez słowa, ale ugryzła się w język. Wolą nie słyszeć odpowiedzi.

Może miał wyrzuty sumienia wobec żony. Może żałował tego, co zrobił. Może ona, Faith, zawiodła jego oczekiwania. A może dowiedział się prawdy o jej pochodzeniu...

- Muszę się brać do pracy - oznajmiła, pchając drzwi laboratorium.

Rozstali się w milczeniu.

Musiał wyjść ze szpitala, zaczerpnąć świeżego powietrza, zająć myśli czymś innym. Wszyscy chorzy czuli się lepiej, nowych pacjentów nie przybywało, a Faith zachowywała się tak, jakby nie istniał.

Ruszył w kierunku domu. Chciał choć przez chwilę pobyc z Abby. Odkąd w miasteczku wybuchła epidemia, niewiele czasu poświęcał córce. Dopiero kiedy Faith zaczęła mówić o dziecku, o swoim zegarze biologicznym, uświadomił sobie, że jest szczęściarzem -właśnie dlatego, że ma Abby.

Ale czy dziecko naprawdę wystarczy człowiekowi do szczęścia? A co z miłością? Może nie warto z niej rezygnować?

Faith... Nie umiał jej rozgryźć. Raz wydawała mu się silna, nieustraszona, innym razem mała i krucha. Wzbudzała w nim pożądanie, a jednocześnie pragnął ją chronić.

- Hej, doktorze Winston! - usłyszał za plecami. Wzdychając ciężko, obejrzał się przez ramię. Po chwili podbiegła do niego rudowłosa dziennikarka z Bozeman.

- Nie mam pani nic do powiedzenia.

- Niech pan nie będzie taki skryty. - Uśmiechnęła się promiennie. - Błagam, wystarczy kilka słów. Po prostu wykonuję swoją pracę, a miasta nie mogę przecież opuścić.

Wiedział, że dziennikarka łatwo się nie podda.

- Przykro mi, naprawdę nie mam nic do przekazania. Jeżeli interesuje panią, ile jeszcze potrwa kwarantanna, musi pani porozmawiać z majorem Gwardii Narodowej. A po informacji na temat wirusa proszę iść do doktor Martin.

Odwróciwszy się, ruszył dalej w drogę. Mitzi zrównała się z nim.

- A propos doktor Martin, co pan o niej może powiedzieć?

- Nie rozumiem.

- Spędzacie państwo razem sporo czasu, prawda? - Popatrzyła na Luke'a znacząco.

Zaklął w duchu. Tego tylko brakowało, żeby zaczęto o nich pisać w brukowcach.

- Owszem - odparł. - Pracujemy w jednym szpitalu, razem zajmujemy się chorymi. To chyba normalne, że spędzamy z sobą dużo czasu, nie sądzi pani?

- Niech się pan nie denerwuje, doktorze. Nie miałam nic złego na myśli.

Milczał. Nie ufał tej dziennikarce. Wyczuwał w niej fałsz. A ona kontynuowała niezrażona:

- A więc doktor Martin... Moim zdaniem to dość atrakcyjna kobieta. Znaczy się, byłaby atrakcyjna, gdyby się trochę malowała i



kupiła sobie nowe ciuchy. Bo te, które nosi, są tak luźne, że dosłownie na niej wiszą.

Luke miał ochotę stanąć w obronie Faith, w ostatniej chwili jednak ugryzł się w język. Nie zamierzał dać się sprowokować.

- W dodatku jest mądra - ciągnęła Mitzi. - Nawet bardzo mądra. Czy wysoki iloraz inteligencji podnieca facetów? Czy raczej ich deprymuje? Jak pan sądzi, doktorze?

Zważywszy na sytuację - oznajmił oschle Luke - inteligencja doktor Martin ma dla nas wszystkich ogromne znaczenie.

- To zrozumiałe.

Od domu dzieliło go kilkanaście metrów.

- Przykro mi, że nie mogę służyć pani pomocą. Żegnam.

Dziennikarka nie zwolniła kroku.

- A może by mi pan przedstawił swoją rodzinę? Ma pan córeczkę, prawda? O imieniu Abby?

Skąd o tym wie? Przeszył go dreszcz.

- Och, niech pan się tak nie krzywi. Przecież pana nie szpieguję. To mała miejscina, a jestem tu już ponad tydzień. Prawie dwa. Ludzie gadają, a ja słucham. Na tym polega moja praca, doktorze.

Mógł poświęcić Abby zaledwie kilka minut, potem musi wracać do szpitala.

- Może innym razem - burknął.

- Jasne. - Mitzi uśmiechnęła się szeroko. Jego odmowa bynajmniej jej nie zabolęła. - Do zobaczenia.

Jeszcze kilka dni i kryzys minie. Kwarantanna zostanie zniesiona, w szpitalu zapanuje spokój, dziennikarze wyjadą z miasta... Ale nie tylko oni. Faith również.

Marzył o tym, by wszystko wróciło do poprzedniego stanu, ale wiedział, że będzie mu potwornie brakowało Faith. Pojawiła się w jego życiu zaledwie parę dni temu, więc dlaczego tak smutno robi mu się na myśl o jej wyjeździe?

Dlatego, że seks odebrał mu rozum. Z Faith łączy go fascynacja erotyczna, nic więcej. Jest zbyt dojrzałym mężczyzną, by mylić pożądanie z miłością.

Kiedy otworzył drzwi, Abby, która siedziała na podłodze otoczona ulubionymi lalkami, uśmiechnęła się promiennie, po czym wstała i człapiąc niezdarnie na swoich pulchnych nóżkach, ruszyła mu naprzeciw.

Na widok córki zapomniał o kłopotach. Rozpostarłszy ramiona, z całej siły przytulił ją do siebie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Faith zamknęła za sobą drzwi do gabinetu Luke'a i usiadłszy przy biurku, zaczęła nerwowo wybierać numer telefonu Jake'a Ingrama. Molly twierdziła, że kiedy zadzwonił godzinę temu, w jego głosie wyczuła nutę desperacji. Wcześniej Faith nie mogła oderwać się od pracy.

Jake odebrał po pierwszym dzwonku.

- Dzień dobry, mówi Faith Martin... - Urwała. Po co przedstawia się nazwiskiem? Przecież Jake jest jej rodzonym bratem. Nie miała już żadnych wątpliwości. Potwierdzały to wspomnienia, wciąż fragmentaryczne i zamazane, które coraz częściej ją nawiedzały. - Mówi Faith.

- Jak się czujesz? - spytał zatroskany. - Nie wyskoczyły żadne nowe kłopoty? Nie wydarzyło się nic... dziwnego?

Miała sny, powoli odzyskiwała pamięć, po raz pierwszy od dawna kochała się z mężczyzną. Ale chyba nie o to Jake'owi chodzi.

- Nie - odparła. - Wszystko 'w porządku. Dlatego dzwoniłeś?

Przerwała badania nad wirusem, bo Jake chciał spytać o jej samopoczucie? Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- Nie, nie dlatego. - Zniżył głos. - Zdaję sobie sprawę, że wiele się dzieje w twoim życiu i nie wszystko rozumiesz. Naprawdę wiem, co czujesz.

Wierzyła mu. Przecież niedawno sam też przez to przechodził; on także musiał zaakceptować prawdę o swoim niezwykłym poczuciu.

- Jake, to miło, że o mnie myślisz, ale naprawdę nie musisz codziennie sprawdzać, jak sobie radzę.

- Wiem. Po prostu martwię się... - Na moment zamilkł. - Ale nie dlatego zadzwoniłem.

- A dlaczego? - spytała, bojąc się kolejnych niespodzianek.

Jake westchnął.

- Teraz, kiedy wiesz, kim jesteś i co się dzieje, chcę cię o wszystkim na bieżąco informować.

Wstrzymała oddech. Całymi latami zastanawiała się nad swoją przeszłością, nad tym, jak wyglądało jej życie, zanim trafiła do Martinów. Przeszył ją dreszcz.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć - kontynuował Jake. - Ja sam wciąż nie mogę się otrząsnąć. Nasza matka, Violet, mówiła mi, że w wyniku pierwszej ciąży urodziły się trojaczki. Ja, Gretchen i nasz brat. Poinformowano Violet, że trzecie dziecko zmarło podczas porodu. Przeglądając tajne akta rządowe dotyczące tamtych doświadczeń, odkryłem, że nasz brat żyje. Urodził się niewidomy, więc go gdzieś ukryto. Ale on żyje, Faith. Mamy jeszcze jednego brata. Robimy z Gretchen wszystko, żeby go odnaleźć.

W ciągu ostatnich kilku dni Faith dowiedziała się, że ma trzech braci i siostrę. Więc dlaczego wiadomość o czwartym bracie tak mocno nią wstrząsnęła?

Może dlatego, że z powodu swej ślepoty okazał się nieprzydatny? Że naukowców interesowały jedynie dzieci idealne, zdrowe, mądre, bez wad wrodzonych? Że traktowali ich, ją, jej siostrę

i braci, jak przedmioty, jak owoc doświadczeń naukowych, a nie jak ludzi? Może Violet, którą pamiętała bardzo mgliście, kochała swoje potomstwo. A może nie.

Chociaż nigdy nie widziała Gretchen, Jake'a i innych, Faith czuła z nimi podświadomą więź. Stanowili rodzinę.

- A co z Gideonem? - spytała o brata, który dzielił matczyne łono wraz z nią i Markiem; syna, którego Violet pozostawiła, kiedy przybyła ratować swe dzieci, ponieważ była przekonana, że Gideon nie żyje.

Do niedawna wszyscy tak sądzili.

- Nic nowego - odparł Jake. - Wreszcie udało mi się spotkać z szefami wywiadu. Staralem się im wytłumaczyć, że Gideon, czyli Achilles, nie jest przestępcą; że skoku na bank dokonał pod wpływem hipnozy. Byli dość sceptyczni, ale przynajmniej mnie wysłuchali.

- Powiedziałeś im, że... że wszyscy zostaliśmy zaprogramowani?

- Tak.

- I co?

- Mam nadzieję, że w końcu mi uwierzyli. Bawiła się tępym ołówkiem, który znalazła na biurku. Dotychczas wiodła normalne, uporządkowane życie. Teraz wszystko wymyka jej się spod kontroli. Bała się; należała do ludzi, którzy wszystko planują i lubią wiedzieć, na czym stoją.

- A czy... czy wspomniałeś im o mnie? Że mnie odnalazłeś?

- Nie. I nie powiem, dopóki Maisy cię nie przeprogramuje. Nie mogę ufać każdemu, kogo spotykam. Właściwie najlepiej, żebym nikomu nie ufał.

Miała mętlik w głowie. Czy pod wpływem hipnozy można zmusić człowieka do zrobienia czegoś, czego normalnie by nie zrobił? Wydawało się jej to niemożliwe, zwłaszcza gdy owa hipnoza miała miejsce ponad dwadzieścia lat temu.

Oczywiście na Gideona presję mogli wywierać Agnes Payne wraz z Oliverem Grimble'em, para szalonych naukowców, którzy opiekowali się nim niemal od urodzenia. Faith chciała wierzyć, że jej brat nigdy nie złamałby prawa, ale ani ona, ani Jake go nie znali. Znali kilkuletnie dziecko, nie wiedzieli jednak, na jakiego wyrosło człowieka.

- Chciałbym, żebyś zadzwoniła do mnie, zanim zniesiona zostanie kwarantanna - poprosił Jake tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Natychmiast wyśle po ciebie helikopter...

- Och, bez przesady. To...

- To absolutnie konieczne - przerwał jej. - Skoro ja cię odnalazłem dzięki artykułom w prasie, myślę, że członkowie Koalicji również wiedzą, gdzie cię szukać. Jeśli wpadniesz w ich ręce...

Zresztą nieważne. Po prostu przewieziemy cię w bezpieczne miejsce, potem sprowadzimy Maisy, która zajmie się przeprogramowaniem.

- Nie jestem zaprogramowana - sprzeciwiła się Faith. Chybaby o tym wiedziała?

- Jesteś, kochanie - rzekł łagodnie Jake. - Faith, zrozum. Dopóki Koalicja istnieje, jesteś zagrożona. Musisz polecieć do Gretchen na Brunnię. Tylko tam będziesz bezpieczna.

Nie chciała burzyć swego życia, ale wiedziała, że z Jakiem nie wygra.

- A jeśli nie zdołamy powstrzymać Koalicji? Na to pytanie nie udzielił jej odpowiedzi.

- Zadzwoń do mnie jutro - poprosił. - Nie będę mógł spać spokojnie, dopóki cię stamtąd nie wydostanę. - Roześmiał się. - Wiesz, nie możemy się doczekać, ja i Marcus, żeby cię wreszcie uściskać.

Marcus. Dawniej Mark.

- Jego najlepiej pamiętam - przyznała cicho.

- Wcale mnie to nie dziwi.

- No dobra. Odezwę się przed południem. Jeśli będę miała czas - dodała lekko.

- Och, ty mały potworze! Chyba nie chcesz, żeby twój starszy brat wykitował z niepokoju, co? - Wy-czuła w jego głosie autoironię. - Najchętniej kazałbym ci dzwonić co pół godziny.

- W porządku, zadzwonię rano. Obiecuję. Wypuścił z płuc powietrze.

- Powstrzymamy ich, Faith - rzekł, ale chyba sam nie bardzo w to wierzył. - Musimy. Nie mamy wyjścia.

Luke zastał Faith w swoim gabinecie. Molly powiedziała mu, że udała się tam ponad godzinę temu. Spodziewał się, że ujrzy ją ze

słuchawką przy uchu albo pochyloną nad dokumentami. Dopuszczał też możliwość, że postanowiła się zdrzemnąć. Ale nie. Siedziała nieobecna myślami, wpatrzona w telefon, i bawiła się żółtym ołówkiem.

- Cześć. - Zamknął drzwi. - Jak się czujesz? Poderwała głowę.

- Dobrze. Dlaczego wszyscy ciągle pytają, jak się dziś czuję?

Nie zraził go jej ostry ton. Jak mógł się na nią złościć, kiedy sprawia wrażenie takiej nieszczęśliwej?

- Może dlatego, że wyglądasz, jakbyś lada moment miała zemdleć.

- Niewiele spałam - powiedziała, czerwieniejąc.

- Chodź. - Wyciągnął do niej rękę. - Odprowadzę cię do motelu.

- Nie mogę! Mam mnóstwo pracy.

- Niektórzy pacjenci są już całkiem zdrowi. Zastanawiają się, dlaczego nie pozwalamy im wrócić do domu.

Potrząsnęła głową.

- Muszą zostać w szpitalu. Przynajmniej dopóki...

- Wiem - przerwał jej w pół słowa. - Wszystko im wyjaśniłem. - Uśmiechem próbował dodać jej otuchy. - Nawet Tyler czuje się na tyle dobrze, że tęskni za domem.

A jeszcze kilka dni temu Luke był pewien, że młody policjant nie przeżyje! Faith nie odezwała się.

- A więc pacjenci czują się dobrze, twoi koledzy lekarze pracują w systemie zmianowym, pielęgniarki zdążyły nadrobić braki snu... - Pociągnął ją za rękę. - Teraz czas na ciebie.



Wstała. Nie puściła jego dłoni.

- Luke - szepnęła. - Tak dużo chcę ci powiedzieć, a nie mogę.

Chyba nie ma na myśli wirusa? A zatem? Coś natury osobistej, ale co? I dlaczego tak bardzo chciał, by zdradziła mu swoje sekrety? Mógł do znudzenia powtarzać sobie, że łączy ich tylko pożądanie, ale sam wiedział, że to nieprawda.

- Możesz. O wszystkim możesz mi powiedzieć.

- Nie mogę.

Objął ją, a ona położyła głowę na jego ramieniu. Zrobiła to tak naturalnie, jakby codziennie się przytulali.

- Żałujesz wczorajszej nocy?

- Och nie! - odparła szybko.

- To dobrze. - Uśmiechnął się. - A czy kiedy cię dziś odprowadzę, zaprosisz mnie znów do środka?

- Ja...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Odprężyła się. Ich ciała zdawały się tworzyć jedną harmonijną całość. Rozumieli się bez słów. Wczoraj w łóżku intuicyjnie wyczuwali swe pragnienia, jakby jedno czytało w myślach drugiego.

Pragnął jej do szaleństwa. Chciał się z nią kochać. Tu i teraz. Na biurku, na kozetce w sąsiednim pokoju. Chciał doprowadzić ją do rozkoszy, słyszeć krzyk.

- Cały dzień o tobie myślę - szepnął. - Widzę cię naga...

- Wiem. Ja też nie mogę przestać myśleć o tobie.

- Naprawdę?

Pocałował ją w usta. Po chwili jednak Faith zeszywniała i odepchnęła go od siebie.

- Luke... To nie... nie powinniśmy. - Westchnąwszy, popatrzyła mu w oczy. - Sądziłam, że to, co się stało wczoraj...

Przycisnął wargi do jej czoła.

- Chyba rzadko brakuje ci słów, co?

- Nigdy - przyznała.

- Więc odpręż się i powiedz, co cię dręczy. Wzięła głęboki oddech.

- Zaskoczyłeś mnie.

- Ja? Ciebie? - Uniósł pytająco brwi. To ona jego zaskoczyła swoim temperamentem.

- Tak. Bo widzisz nie spodziewałam się, że poznam tu kogoś takiego jak ty. A wczorajsza noc... sądziłam, że to będzie przygoda. Że zaspokoimy ciekawość i przejdziemy nad wszystkim do porządku dziennego...

- Ale?

- Ale tak się nie stało.

- Wiesz, ja też się nie spodziewałem, że poznam kogoś nowego. I nad tym, co się zdarzyło, też nie potrafię przejść do porządku. Więc może nie warto próbować? Może powinniśmy cieszyć się sobą?

Przesunął rękę niżej i pogładził ją po udzie. Jęknęła, ale nie kazała mu przestać. Czuła, jak jej ciało reaguje, jak oddech staje się głębszy. Zaczęła go pieścić, odwzajemniać pocałunki. Ale kiedy posadził ją na biurku i rozwarł jej nogi, ponownie zeszywniała.

- Co robisz?

- A jak myślisz? Oblała się rumieńcem.

- Dałam się ponieść emocjom - szepnęła. - Ale nie możemy się tu kochać, Luke. Ktoś mógłby nas usłyszeć. Albo wejść... no, w trakcie.

- Wystarczy przekręcić klucz.

Przez chwilę milczała, jakby rozważała propozycję, potem potrząsnęła głową.

- Nie tutaj.

- Dzisiaj szaleństwo cię nie pociąga? - spytał z uśmiechem.

Pomógł jej zeskoczyć z biurka, po czym objął ją w pasie.

Parsknęła śmiechem.

- Jeśli nie zauważyłeś, jestem osobą twardo stąpającą po ziemi.

Szaleństwo nigdy mnie nie pociągało.

Powiedziała to z poważną miną i głębokim przekonaniem w głosie. Luke uniósł zdziwiony brwi.

- Wczoraj wieczorem... - zaczął.

- Wczoraj wieczorem to była... aberracja.

- Aberracja?

- Nie jestem ostatnio sobą. - Przytuliła się.

- W porządku, więc nie będziemy uprawiać dzikiego seksu w moim gabinecie. Ale kiedy odprowadzę cię do motelu, zaprosisz mnie do środka?

Wahała się tylko przez chwilę.

- Tak - odparła szeptem.

Oczy się jej zamykały, ale nie chciała pogрузić się we śnie. Gdyby zasnęła, nie czułaby Luke'a, który leżał obok niej. Nie mogłaby obsypywać pocałunkami jego piersi, wsuwać palców w jego włosy, słuchać bicia jego serca.

Chciała cieszyć się cudownymi doznaniem, mieć je stale w pamięci. Sen oznacza pustkę i mrok. Oznacza też koszmary. Wiedziała, że powrócą. Że będzie śniła o swoim rodzeństwie, nie tylko o Jake'u, Marku i Gretchen, ale również o Gideonie i bracie, którego zostali pozbawieni.

Broniła się przed zaśnięciem również z innego powodu. Chciała porozmawiać z Lukiem, spytać go o jego zmarłą żonę. Czy nadal ją kocha? Dziesiątki razy układała sobie to pytanie w głowie, ale jakoś nie potrafiła go zadać.

W końcu poddała się. Rozmowa o przeszłości lub przyszłości może tylko zburzyć błogi nastrój, jaki ich ogarnął po seksie. Luke ma rację. Lepiej cieszyć się chwilą obecną.

- Zostań - rzekł Luke, przerywając ciszę.

- Słucham? - Uniosła głowę znad jego ramienia. Odgarnął jej kosmyk z oczu.

- Kiedy to wszystko się skończy, chciałbym, żebyś została. Ze mną - dodał, widząc jej niepewną minę. - W Rockland. Żebyś została tydzień, miesiąc, rok. Żebyśmy pobyli ze sobą w normalnych warunkach, kiedy nie trzeba walczyć z epidemią, a dookoła nie ma tłumy żołnierzy i dziennikarzy. Zostań, Faith.

Serce jej załomotało. Też tego pragnęła: spędzać z Lukiem dni i noce, chodzić razem na spacer, na ryby, tańczyć w jego ramionach. Niestety, to niemożliwe. Prosto z Rockland musi lecieć na Brunnię.

- Nie mogę - szepnęła. Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Dlaczego?

Chciała mu wyznać prawdę. Gdyby mogła się komuś zwierzyć, bez wahania wybrałaby Luke'a. Ale Jake ostrzegł ją, by nikomu nie mówiła. Każdej osobie, która zostanie wciągnięta w tę fantastyczną intrygę, grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Więc milczała. Ale kierowała nią nie tylko troska o bezpieczeństwo Luke'a i jego dziecka. Również strach. Co sobie Luke o niej pomyśli, kiedy pozna prawdę? Czy przestanie widzieć w niej kobietę, a zobaczy mutantą?

- Po prostu nie mogę.

Jej odmowa sprawiła mu przykrość. Nic dziwnego. To, o co prosił, wymagało odwagi. Poglądziła go po pokrytej zarostem brodzie.

- Ale może kiedyś wrócę. Rozpromienił się.

- Bardzo bym tego chciał

- Ja też.

Położywszy głowę na jego ramieniu, w końcu zamknęła oczy. Była znacznie spokojniejsza niż przed godziną i już tak bardzo nie bała się swoich snów.

Znów obudziła się o nieprzyzwoicie późnej porze.

I znów leżała w łóżku sama. Ogarnęła ją wściekłość na Luke'a. Jak mógł jej to zrobić?

Ponownie śniły się jej woda i ogień. A także Mark. Tym razem wyraźnie widziała jego twarz, to znaczy twarz dawnego Marka, takiego, jakiego znała w dzieciństwie. Na samo wspomnienie łzy napłynęły jej do oczu. Dziś nazywał się Marcus i nie mógł się doczekać, by ją uściskać.

Nie była pewna, czy chce się z nim spotkać. Ani czy chce poznać Jake'a i Gretchen. Kiedy pojawią się w jej życiu, wszystko ulegnie zmianie. Nie jest na to przygotowana.

Umyła się pośpiesznie i ubrała, starając się nie myśleć o swojej nowo odnalezionej rodzinie. Woląла skupić się na Luke'u. Może nie widział nic złego w wymykaniu się z motelu, kiedy ona śpi? Może bał się, że będzie zła, kiedy go rano ujrzy obok siebie? Powinna z nim porozmawiać.

Rozchmurzyła się. Może Luke faktycznie uważa, że postępuje szlachetnie, kiedy wychodzi cichutko, nawet jej nie budząc? Wyjaśni mu, że wcale tak nie jest; że bardziej by się ucieszyła, gdyby ją pocałował na do widzenia.

Sięgnęła po zegarek leżący na szafce nocnej i nagle spostrzegła pięć opakowań prezerwatyw. Pięć? Powinno chyba być sześć? Zajrzała pod łóżko. Może szósta spadła na podłogę? Z brzegu nic nie zauważyła, a nie miała czasu na dokładne poszukiwanie.

Tak jak wczoraj, na dworze czekał szeregowy Mimms. Powitał ją szerokim, chłopięcym uśmiechem.

- Dzień dobry, pani doktor.

- Dzień dobry - odpowiedziała. Dzień rzeczywiście zapowiadał się wspaniale: powietrze było chłodne, przejrzyste, niebo pozbawione chmur. - Doktor Winston znów prosił, żeby pan mnie odwiózł do szpitala?

- Tak. Podobno ma spaść śnieg. Nie chciał, żeby pani ugrzęzła w zaspie.

Faith zadarła głowę.

- Nie wygląda, jakby miało padać.

- Też tak uważam - zgodził się cicho Mimms. - Ale wolałem nie dyskutować z panem doktorem. Nie był rano w najlepszym humorze.

Dziwne, pomyślała.

- Jest zmęczony - rzekła, chcąc usprawiedliwić Luke'a. - Ta epidemia wszystkim daje się we znaki.

Czyżby tak bardzo zaboląła go jej odmowa pozostania w Rockland? Nie miała jednak czasu o tym myśleć. Jake czeka na jej telefon, a potem musi się szybko wziąć do pracy.

Sytuacja jest pod kontrolą, kryzys prawie minął. Wkrótce kwarantanna zostanie zniesiona i wszyscy przyjezdni rozjadą się do domów.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kobiety to dziwne stworzenia. Nie rozumiał ich. Podejrzewał, że żaden mężczyzna tak do końca ich nie rozumie. A Faith jest zagadką do potęgi.

Pojawiwszy się w szpitalu - znów przyjechała spóźniona - posłała mu ciepły, nieśmiały uśmiech. A przecież po wczorajszej nocy już naprawdę nie powinna być nieśmiała.

Obudziła go tuż po drugiej. Zmysłowa, nieokiełznana, pełna śmiałych pomysłów, zaczęła go uwodzić. Nie żeby musiała się bardzo natrudzić, bo oczywiście wcale się nie wzbraniał. Wczoraj w jego gabinecie twierdziła, że jest osobą twardo stąpającą po ziemi, której nie pociąga szaleństwo, ale w środku nocy okazała się szalona, pozbawiona jakichkolwiek zahamowań.

Kiedy skończyli, kazała mu się wynieść, tak jak i poprzednim razem. Zасыpując go pocałunkami, pomogła mu się ubrać i wypchnęła go za drzwi. Rano czeka ją mnóstwo pracy, więc musi się dobrze wyspać. On, Luke, jedynie by jej przeszkadzał.

Nic dziwnego, że miał mętlik w głowie.

Przez cały dzień szukał okazji, by z nią porozmawiać, ale oboje byli dość zajęci. Miał wrażenie, że Faith też zależy na wyjaśnieniu paru spraw, lecz ilekroć zostawali sami, zaraz ktoś przybiegał i czegoś od nich chciał. No cóż, rozmowę musieli odłożyć na później.

Po przybyciu do szpitala Faith zadzwoniła do kilku osób, odwiedziła wszystkich pacjentów, po czym resztę dnia spędziła w



laboratorium. Z dwoma przedstawicielami rządu oraz majorem, który dbał o porządek w mieście, nie miała bezpośredniego kontaktu. Jeżeli czegoś od nich chciała, przekazywała wiadomość przez doktora Ganta.

Luke pół dnia spędził w tymczasowym ambulatorium, udzielając porad osobom niezainfekowanym przez wirusa, potem wrócił do szpitala i zbadał tych, których wirus zaatakował. W ciągu całego dnia przebywał z Faith najwyżej przez minutę czy dwie. Trudno jest w tak krótkim czasie odbyć poważną rozmowę.

Dochodziła trzecia po południu, kiedy do pokoju, w którym Luke badał małego Benjy'ego, wpadła zziębnięta Molly.

- Debbie McCord! - wysapała. - Odeszły jej wody!

Termin porodu pierwszego dziecka Debbie został wyznaczony dopiero za dwa tygodnie. Luke Uczył na to, że do tego czasu kwarantanna będzie zniesiona, ale najwyraźniej Debbie się pospieszyła.

- Niech ją Stu czym prędzej tu przywiezie - powiedział, wychodząc na korytarz. - Nie do szpitala, ale do ambulatorium. Zaraz wszystko przygotuję...

- Nie przyjadą, Luke. - Molly pokręciła głową. - Za bardzo się boją. I epidemii, i tego, że żołnierze ich nie przepuszczą. Prawdę mówiąc, nie dziwię się McCordom. Chcą, żeby dziecko urodziło się na ranczu.

- Świetnie - mruknął Luke.

- Stu twierdzi, że maluch jest już w drodze, więc... cytuję: „masz wziąć dupę w troki i przyjechać”.

Niemowlęta nie przejmowały się wyznaczonymi terminami, nie obchodziły ich epidemie ani rozterki sercowe lekarzy. Luke spojrział przez okno. W powietrzu wirowały płatki śniegu. Pogodą niemowlaki też się nie przejmują.

- No dobra - powiedział. Zresztą czy ma wybór? Molly podreptała za nim do gabinetu.

- Przekaż doktor Martin, że muszę z nią pilnie pomówić, ale nie wiem, kiedy wrócę. Może dopiero nad ranem.

Postawił na biurku torbę i zaczął do niej pakować rzeczy, które mogą się przydać u McCordów. Mimo pewności męża, że dziecko urodzi się lada chwila, Luke gotów był się założyć, że spędzi na ranczu co najmniej kilka godzin.

- Przekażę. - Pielęgniarka uśmiechnęła się. - Pilnie, powiadasz?

- Co tak szczerzysz zęby? Molly przysiadła na brzegu biurka.

- Nie jestem ślepa, Luke. Inni też widzą, co się dzieje. I uważam, że to wspaniale. Mojego zdania chyba nie podziela doktor Helm, ten sympatyczny wysoki blondyn. Podejrzewam, że sam chciał podbić serce Faith Martin, ale za długo się do tego zabierał. Dwaj pozostali lekarze, Gant i White, od początku wam kibicują. Chłopaki cieszą się, że panna Martin choć chwilę spędza poza laboratorium.

Kibicują? Chłopaki? Luke pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Molly. Oczywiście mu nie uwierzyła.

- Luke, posłuchaj. Naprawdę już czas, abyś zaczął myśleć o przyszłości. A doktor Martin jest świetną kobietą. Macie moje błogosławieństwo...

Luke zadumał się. Tak, chyba jest zakochany. A ona? Faith nie sprawiała wrażenia osoby, która szłaby do łóżka z przygodnie poznanym facetem, więc może też coś do niego czuje? Z drugiej strony, czy namiętna kochanka, w jaką przeobrażała się w nocy, była tą samą Faith, którą znał za dnia?

- Wiesz - dodała po chwili Molly - martwiłam się o Betsy, ale teraz myślę, że doktor White naprawdę ją lubi. Rozmawiałeś z nim, tak jak cię prosiłam? Żeby przypadkiem nie skrzywdził naszej Betsy?

- Nie. - Gdyby miał czas, najpierw porozmawiałby z Faith. Zresztą nie zamierzał pouczać White'a. Nie sądził też, aby White lub Betsy wzięli sobie do serca jego słowa.

- Może to i lepiej - stwierdziła Molly. - Betsy jest cicha i nieśmiała, ale w końcu to dorosła kobieta. Chyba nie powinnam się mieszać do jej spraw sercowych.

- Mądrze mówisz. A teraz przepraszam, ale muszę jechać odebrać poród.

Zatrzasnąwszy torbę, wyminął Molly i energicznym krokiem wyszedł na korytarz.

Śnieg. Meteorolodzy zapowiadali go od wielu dni i wreszcie sypnęło; ziemię szybko pokrył miękki biały dywan.

Luke wyszedł ze szpitala ze dwie godziny temu; podobno pojechał na jakieś ranczo odebrać poród. Miła jest świadomość, że gdzieś niedaleko toczy się normalne życie.

Brakowało jej Luke'a. Przyzwyczała się do tego, że zawsze krąży w pobliżu, że co rusz na nią zerka... Ciekawa była, czy dziś też wróci z nią do motelu?

- Pani doktor! - zawołała z końca korytarza Molly. Faith oderwała wzrok od okna.

- Słucham, siostrze? - Zaniepokoił ją zafrasowany wyraz twarzy pielęgniarki.

- Dzwoni Nelda. Chce jechać do siostry, która skrzyła nogę i potrzebuje pomocy. Siostra mieszka dość daleko za miastem, ale w granicach objętych kwarantanną. Z powodu śniegu Nelda nie wie, kiedy wróci. Nie chce brać z sobą Abby, bo mąż siostry jest przeziębiony, a siostra nie przepada za dziećmi. Luke wciąż jest na ranczu, więc... - Molly urwała na moment, by zaczerpnąć powietrza. - Więc czy poradzi sobie pani z chorymi, gdybym wyszła na kilka godzin?

Oczywiście, że sobie poradzę, pomyślała Faith. Tyle że w sprawach tutejszego szpitala Molly jest lepiej od niej zorientowana. Czyli sensowniej byłoby...

- Ja mogłabym pomóc - zaproponowała. - Chętnie zajrzę do siostry pani Neldy albo... albo mogę posiedzieć z Abby, dopóki Luke nie wróci do domu.

Twarz Molly rozpogodziła się.

- Siostrę Neldy lepiej zostawić Neldzie, ale gdyby mogła się pani zaopiekować Abby...

- Chętnie, to żaden kłopot. Właśnie skończyłam pracę i nie mam żadnych planów na wieczór.

Poza spaniem, przemknęło jej przez myśl, bo wciąż czuła się dziwnie zmęczona. Ale na szczęście Abby wcześniej zasypia. Więc kiedy już położy małą do łóżeczka, sama może się zdrzemnąć na kanapie w salonie. A kiedy Luke wróci, może wreszcie zdołają porozmawiać. Cały dzień układała w głowie, co mu chce powiedzieć.

Włożyła płaszcz, wełnianą czapkę i wysokie ocieplane buty, które pożyczyła od Molly. Kiedy zobaczyła, że dwoje dziennikarzy szykuje się wraz z nią do wyjścia, poprosiła młodego żołnierza - nie Mimmsa, który akurat miał wolne - żeby odprowadził ją do domu Luke'a.

Śnieg wirował w powietrzu, skrzypiał pod nogami. Świat wyglądał bajecznie: połacie bieli iskrzyły się złościście w świetle latarni. Tak obfite opady śniegu, w dodatku o tak wczesnej porze roku, stanowiły dla Faith nie lada atrakcję. Ale nic dziwnego, skoro większość czasu spędzała w ciepłych krajach, z dala od domu.

Poczuła bolesne ukłucie w sercu. Właściwie to nie miała domu. W mieszkaniu, które dzieliła z Janine, przebywała za krótko, by je uważać za dom. Od rodziców - tych adopcyjnych - wyprowadziła się kilka lat przed ich śmiercią. Dom, do którego przywieźli ją, gdy miała dziesięć lat, należy teraz do kogoś innego.

W przeciwieństwie do niej Luke ma dom. Zapuścił w Rockland korzenie, wtopił się w miejscową społeczność. Tu jest jego miejsce.

Żołnierz, którzy towarzyszył jej w drodze, nie był tak rozmowny jak szeregowy Mimms. Szedł obok w milczeniu, od czasu do czasu zadzierając głowę, żeby popatrzeć na wirujące płatki śniegu.

- Skąd pan pochodzi? - spytała Faith.

- Urodziłem się w Alabamie, ale nie byłem tam od wielu lat.

Uśmiechnęła się.

- Alabama? Hm, tam śnieg to prawdziwa rzadkość...

- Oj, tak.

- Pięknie wygląda świat w bieli, prawda?

- Bardzo pięknie.

Dalszą drogę odbyli w ciszy.

Nie dziwiło jej, że Luke tak bardzo kocha Montanę. Żyje tu pośród wspaniałej przyrody, dzikiej i nieskażonej. Otaczają go ogromne góry, dziewicze lasy, czyste rzeki, w których łowi ryby...

- Dziękuję za odprowadzenie - powiedziała Faith, wchodząc po schodkach na werandę.

Starła się nie myśleć, co Jake mówił o grożącym jej niebezpieczeństwie. Zwariowałyby, gdyby bez przerwy zastanawiała się, czy ktoś nie czai się w mroku, czy nie obserwuje jej z ukrycia. Znacznie bardziej interesowała ją reakcja Luke'a, gdy pozna prawdę o jej pochodzeniu.

Zanim zdążyła nacisnąć dzwonek, drzwi się otworzyły.

- Och, dzięki Bogu! - zawołała Nelda, ubrana do wyjścia. - Jest pani aniołem, że zgodziła się posiedzieć z małą.

- To żaden kłopot - oznajmiła Faith, wchodząc do ciepłego domu. W kominku buchał ogień, a z kuchni dolatywał jakiś aromatyczny zapach. - Cieszę się, że mogę pomóc.

Pięć minut później opiekunka Abby wyszła kuchennymi drzwiami i skierowała się do garażu. Po drodze udzielała Faith ostatnich wskazówek na temat kolacji dla dziecka, mleka, pieluszek, pory kładzenia spać.

Wreszcie zostały same: Faith i Abby.

Abby siedziała na podłodze w kuchni otoczona kolorowymi plastikowymi klockami. Przez chwilę Faith patrzyła na małą, czekając, aż ta wybuchnie płaczem. Dziewczynka jednak nie rozplakała się. Z zaciekawieniem spoglądała na gościa.

No dobrze. Faith zdjęła czapkę i płaszcz, który powiesiła na wieszaku, następnie zdenerwowana usiadła po turecku na podłodze. Zazwyczaj było jej wszystko jedno, jakie wrażenie wywiera na ludziach, ale z jakiegoś powodu bardzo jej zależało na tym, by Abby ją polubiła.

Podniosła czerwony klocek, potem niebieski. Abby sięgnęła po żółty. Razem zaczęły je układać. Po minucie czy dwóch Faith odprężyła się.

- Wiesz, jesteś bardzo podobna do swojego tatusia - poinformowała swoją małą podopieczną.

Zawsze uważała, że z dziećmi należy rozmawiać jak z dorosłymi, używając normalnych słów, a nie jakiegoś niezrozumiałego bełkotu.

Abby powiedziała coś, co brzmiało jak „gu-ka-ka”.

- Luke jest niezwykle miłym człowiekiem i przypuszczam, że doskonale sobie radzi jako ojciec - ciągnęła Faith. - Ten ostatni rok musiał być dla was bardzo ciężki, chociaż ty oczywiście nie do końca pojmujesz, co się stało.

Abby wbiła w nią wielkie niebieskie oczy. Identyczne jak oczy Luke'a.

- Nie wiesz pewnie, o czym mówię, prawda, kotku? - Faith westchnęła. - A może byś coś zjadła, co?

Mała wypuściła z rączek klocki i uśmiechnęła się szeroko.

- Podoba ci się moja propozycja, tak? Posadziwszy Abby w wysokim krzeselku, założyła

jej leżący obok na stole ogromny śliniak. Nie rozumiała, po co takiemu małemu dziecku tak wielki śliniak, ale skoro innego nie ma...

Podczas gdy Faith podgrzewała kolację, Abby grzecznie się bawiła, uderzając klockiem o krzeselko.

Debbie McCord była młodą, zdrową kobietą, toteż Luke nie przewidywał żadnych komplikacji. Ale, jak to się zdarza przy pierwszej ciąży, poród trwał długo.

Przyszły ojciec krążył nerwowo po pokoju, patrząc na żonę, która miała kolejny skurcz.



- Chyba już pora, co? - spytał lekarza. - Chryste, Luke, nie możesz tego przyspieszyć? Dlaczego to tyle trwa?

- Nie denerwuj się - powiedział Luke, gdy Debbie znów zaczęła normalnie oddychać. - Niczego tym sposobem nie osiągniesz. Wiesz co? Chętnie napiłbym się kawy.

- Chcesz się mnie pozbyć z pokoju?

- Chcę się napić kawy. Przysięgam ci, że dziecko nie urodzi się podczas twojej parominutowej nieobecności. Musimy poczekać jeszcze jakieś dwie godziny.

- Dwie godziny?

Mruczając coś pod nosem, Stu skierował się do drzwi. Debbie uśmiechnęła się bezradnie.

- Nie gniewaj się na niego, Luke. On po prostu niepokoi się o mnie.

Luke uściskał ją za rękę.

- Nie gniewam się. I doskonale wiem, co on czuje. Odebrał w życiu wiele porodów, asystował także przy porodzie Abby. Dobrze pamiętał tę noc. Cały czas zapewniał Karen, Molly i wszystkich wkoło, że świetnie się czuje. Że ten poród nie różni się od innych.

Kłamał. Wcale nie czuł się świetnie; był przejęty i wystraszony. Oczywiście niepotrzebnie się denerwował. Wszystko potoczyło się gładko. Dziś też tak będzie.

W głębi domu zadzwonił telefon. Wcześniej bez przerwy dzwonił w sypialni - rodzina i przyjaciele chcieli się dowiedzieć, czy dziecko już się urodziło oraz jak się czuje młoda mama - aż wreszcie

Luke kazał wynieść aparat do kuchni. Niech się ludzie nagrywają na sekretarkę.

Po dwóch dzwonekach zaległa cisza. Chwilę później w drzwiach pojawił się Stu.

- To była Molly. Luke poderwał głowę.

- Coś się stało?

- Nie. Prosiła tylko, żeby ci powiedzieć, że Nelda pojechała do swojej siostry, a małą zajmuje się doktor Martin.

- Co? - zdumiał się Luke. - Doktor Martin opiekuje się Abby?

- To ile? Mogę zadzwonić i...

- Nie, nie, w porządku.

Faktycznie, nie ma powodów do niepokoju. Faith jest dorosłą i odpowiedzialną osobą, w dodatku wybitną lekarką, tyle że nigdy nie zajmowała się małymi dziećmi.

Wyobraził sobie, jak siedzą przy kominku, uśmiechnięte i zadowolone. Jego dwie dziewczyny.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Faith popatrzyła na swój niebieski sweter upstrzony papką z marchewki.

- Nie wiedziałam, że ten śliniak jest przeznaczony dla mnie.

Abby roześmiała się wesoło, jakby rozumiała, co się do niej mówi.

Faith ponownie nabrała na łyżeczkę odrobinę papki i zbliżyła ją do buzi dziecka. Abby po raz kolejny wydeła usta i dmuchnęła. Zawartość łyżeczki pofrunęła w stronę Faith, tym razem lądując na jej twarzy.

Abby znów wyciągnęła rączkę po łyżkę, którą Faith ścisnęła w dłoni. Tego tylko brakowało! Faith wyobraziła sobie bałagan, jaki mała narobi, jeśli zacznie sama jeść. Po chwili, zerknąwszy na swój sweter, poddała się. Gorzej chyba już być nie może?

- Wygrałaś - rzekła, podając dziewczynce łyżkę. - Trzymaj.

Uradowane dziecko niezdarne, lecz z wyrazem ogromnego skupienia na buzi dźgnęło łyżką w miskę z marchewką, nabrało odrobinę papki, część jedzenia strąciło na podłogę, ale część doniosło do ust. Sukces.

- Upór nie przystoi młodej damie - rzekła Faith, obserwując zachowanie swojej podopiecznej.

W miseczce oprócz puree z marchewki znajdowało się puree z mięsa oraz puree z zielonego groszku. Mięso zdecydowanie nie przypadło małej do gustu. Wzięła troszkę do ust, ale zaraz wypchnęła

je małym różowym języczkiem. A kiedy Faith usiłowała zachęcić ją do kolejnej mięsnej porcji, popatrzyła tak, jakby chciała powiedzieć: Sama spróbuj.

Więc Faith nabrała odrobinę na palec i spróbowała. Chryste! Nic dziwnego, że dziecku to nie smakuje!

- Masz rację, kotku. Dziś możesz być wegetarianką. W brzuchu zaburczało jej z głodu. Na niedużym ogniu stał rondel, w którym coś bulgotało. Sądząc po cudownym zapachu, który wypełniał kuchnię, jest to chyba gulasz. Korciło ją, aby nałożyć sobie porcję, uznała jednak, że poczeka; zje w spokoju, kiedy mała pójdzie spać.

Trafianie łyżeczką do buzi okazało się zbyt męczące; Abby postanowiła dokończyć kolację rękami. Śledząc jej poczynania, Faith zrozumiała, do czego służy śliniak, chociaż na niewiele się przydawał. Pomarańczowo-zielona papka trafiała wszędzie: na sweter i we włosy Faith, na szyję i policzki dziecka, na stół, na podłogę.

- Jak twój tatuś wróci i zobaczy mnie upapraną twoim jedzeniem, to pomyśli sobie, że nie potrafię opiekować się małymi dziećmi. Musisz, kotku, bardziej...

W tym momencie dostała w czoło mięsną papką.

- .. uważać.

Abby uśmiechnęła się. Mała diablica wyglądała niewinnie jak aniołek. Faith starła jedzenie z czoła.

- Gdyby była ładna pogoda, mogłybyśmy wyjść do ogrodu i umyć się pod szlauchem. A tak czeka nas kąpiel w wannie.

Kolejna porcja marchewki z groszkiem wylądowała na jej swetrze.

Córeczka McCordów przyszła na świat dwadzieścia siedem minut po dziewiątej wieczorem. Otrzymała na imię Hope. Hope, czyli Nadzieja.

Chociaż niemowlę urodziło się zdrowe, a młoda mama czuła się świetnie, Luke wiedział, że nie może zostawić McCordów i pędzić do domu. Padającym śniegiem się nie przejmował, wóz z napędem na cztery koła nie utknie w zaspie, podejrzewał jednak, że Faith z Abby będą na niego czekać bez względu na porę.

Stu bardziej od żony przeżywał narodziny swojego pierwszego dziecka; był spięty, zdenerwowany, cały czas martwił się, że coś złego może się jeszcze wydarzyć.

- Nie idziesz już, co? - Popatrzył błagalnie na Luke'a.

- Jeszcze nie - odparł Luke, usiłując pocieszyć roztrzęsionego ojca.

- Mama Debbie obiecała przyjechać, żeby nam pomóc, ale póki trwa kwarantanna... Nie wiem, jak sobie? sam poradzę. - Z oczu młodego mężczyzny wyczytał strach. - Nie umiem zajmować się dzieckiem. Musisz i z nami zostać, Luke.

- Kilka godzin na pewno zostanę.

- Kilka godzin? Nie. Musisz zostać kilka dni. Luke zacisnął dłoń na ramieniu młodego ojca.

- Spokojnie, Stu. Debbie i Hope czują się dobrze. Zadzwoń do pani Langston i poproszę, żeby do was rano zajrzała.

- Pani Langston nie jest lekarzem!

- To prawda. Ale mieszka pięć minut od was, ma siedmioro dzieci i pięcioro wnucząt.

Stu wyraźnie się odprężył.

- Czyli będzie wiedziała, co i jak?

- Na sto procent.

Matka z dzieckiem usnęły. Nie jest już potrzebny; jako lekarz zrobił wszystko, co do niego należało. Może się pożegnać, wsiąść do samochodu, odjechać. Ale właśnie dlatego zrezygnował z pracy w dużym szpitalu. Nie chciał wbiegać do sali porodowej na moment przed urodzeniem się dziecka, potem odbierać poród i pędzić dalej. Chciał chwilę побыć z maleństwem i jego rodzicami. Znał McCordów, leczył ich grypy i złamania, w przyszłości będzie leczył ich córeczkę Hope.

Na razie jednak najbardziej jego pomocy i wsparcia potrzebował Stu.

Faith siedziała w fotelu bujanym przy kominku, trzymając w ramionach Abby, która - jeśli wierzyć Neldzie - powinna spać od dwóch godzin. Dziewczynka nie tylko nie spała, ale roznosiła ją energia. Wierciła się, wstawiała, skakała, słowem traktowała Faith jak żywą zabawkę.

- Nie, kotku - zaprotestowała Faith, kiedy Abby pociągnęła ją za nos. - Już dawno powinnaś spać. Wiesz, jaka będziesz rozdrażniona rano, jeśli się nie wyśpisz?

Po kolacji obie się umyły. Faith ubrała małą w prześliczne różowe śpioszki, a swoje brudne spodnie i sweter wrzuciła do pralki. Przez chwilę zastanawiała się, co na siebie włożyć. Nie chciała grzebać w rzeczach Neldy czy Luke'a, na szczęście zauważyła wiszącą w łazience grubą flanelową koszulę oraz parę ciepłych białych skarpet - jedno i drugie kilka numerów za duże.

Próbowała położyć małą do łóżeczka, a sama wymknąć się niepostrzeżenie do salonu, ale próba zakończyła się fiaskiem. Dziewczynka rozdarła się wniebogłosy; tak długo płakała, aż Faith zmiękła i wróciła po nią. Kiedy wzięła ją na ręce, wycie natychmiast ustało.

Teraz siedziała na fotelu bujanym, starając się ukołysać Abby, do snu. Wtedy mogłaby przerzucić swoje rzeczy z pralki do suszarki i podgrzać sobie gulasz.

- Wiesz - powiedziała, kiedy Abby chwyciła ją za włosy - jeszcze kilka dni temu marzyłam o takim dziecku jak ty. O małym upartym rozrabiacie, przez którego nie wysypiałabym się w nocy i który rzucałby we mnie marchewką i groszkiem.

Przytrzymując się długich kosmyków swojej opiekunki, Abby usiłowała wejść jej na głowę. Faith zaś, krzywiąc się z bólu, starała się nie upuścić małej, a jednocześnie nie dać sobie zrobić krzywdy.

- Oczywiście w moim przypadku dziecko to nie najlepszy pomysł. Choćby dlatego, że nie mam męża, a wychowywanie malucha samemu wymaga ogromnego poświęcenia.

Uwolniwszy włosy z rączek Abby, posadziła ją sobie na kolanach. Dziewczynka wesoło gaworzyła.

- Do tego dochodzi dodatkowa komplikacja w postaci szalonych naukowców, którzy podobno chcą mnie dorwać - ciągnęła spokojnie Faith. - Jeżeli, jak twierdzi mój brat, grozi mi niebezpieczeństwo, to groziłoby ono również mojemu dziecku. Czy mogłabym ryzykować zajście w ciążę, nie wiedząc, jaka czeka mnie przyszłość?

Abby odpowiedziała coś w języku, który tylko ona rozumiała.

- Rzecz jasna, mówię ci to wszystko w zaufaniu. - Faith uśmiechnęła się do dziecka. - Nie zdradzisz nikomu mojej tajemnicy, prawda?

Dziewczynka wyciągnęła rączkę i położyła ją na twarzy Faith. Rączka była miękka, ciepłutka, rozkoszna. Faith westchnęła błogo.

- Bez względu na przeszkody, gdybym mogła, natychmiast zafundowałabym sobie takiego brzdąca jak ty.

Ponownie usiłowała przekonać małą, że najwyższy czas pójść spać. Abby była wyraźnie zmęczona; pocierała oczy, ziewała, ale stanowczo odmawiała zaśnięcia. Faith oparła się wygodnie i zaczęła wolno bujać. Po chwili delikatnie przycisnęła do piersi dziecięcą główkę.

- O, tak. Prawda, że tak dobrze? Spokojnie, cichutko, oczka się zamykają. Spij, koteczku...

Abby zamruczała sennie. Uśmiechnąwszy się, Faith pogładziła ją po twarzy. Zaczęła gruchać, gaworzyć, wydawać nic nieznaczące dźwięki.



Jeszcze długo po tym, jak dziecko zasnęło, Faith siedziała w fotelu, bujając się i szepcząc Abby do ucha.

Wracając o pierwszej w nocy od McCordów, Luke zobaczył światło palące się w oknie swojego domu. Po chwili otworzył drzwi garażu. Samochodu Neldy nie było, a zatem małą Abby nadal opiekuje się Faith. Zważywszy na późną porę, pewnie już śpi. Miał nadzieję, że na wygodnym łóżku w sypialni.

Wszedł do domu przez kuchnię. Jego spojrzenie padło na opartą o cukiernicę kartkę: „Podgrzej sobie gulasz, stoi w lodówce. Do zobaczenia rano, Faith”.

Przeszedł do salonu. Faith nie spała w sypialni; leżała na kanapie, przykryta grubym kocem, z białą poduszką wetkniętą pod głowę. Lampę na stoliku przy końcu kanapy pozostawiła włączoną. Dlaczego? Bo w obcym miejscu czuła się nieswojo? Czy żeby on nie wpadał po ciemku na meble?

Spała mocno. Nie śniły się jej żadne koszmary, które męczyły ją od paru nocy. To dobrze. Przyda jej się odpoczynek.

Luke wszedł głębiej do pokoju. Miał za sobą długi dzień, ale nie czuł się śpiący. Postanowił rozpalić w kominku; nie chciał, by Faith zmarzła.

Wrzucając drewno do ognia, zastanawiał się, co powinien zrobić. Przenieść Faith do łóżka? Pozwolić jej dalej spać na kanapie? Decyzja nie była trudna. Chociaż cieszyłby się, gdyby mógł się do niej przytulić, nie chciał jej budzić.

Zajrzał do pokoju Abby, poprawił na niej kocyk, po czym wrócił do salonu i usiadłszy w fotelu, oddał się obserwacji Faith. Płomienie w kominku syczały, oświetlając złocistym blaskiem jej twarz. Boże, jakaż ona jest piękna! Ale odznacza się nie tylko urodą. Jest doskonałą lekarką, namiętą kochanką... Niestety, nie zostanie z nim w Rockland.

Należy pogodzić się z rzeczywistością, cieszyć się dniem dzisiejszym. Oboje mają niełatwe charaktery, lubią rządzić, nie są skłonni słuchać poleceń innych.

Po raz pierwszy zobaczył Faith tydzień czy dwa temu, lecz - psiakość! - wydawało mu się, jakby się znali od lat. Czy to ten kryzys tak ich do siebie zbliżył? Czy jednak coś zupełnie innego?

Rozmyślając o Faith, zasnął w fotelu, wpatrzony w jej śpiącą sylwetkę. Po jakimś czasie ocknął się. Zegar zdobiący półkę nad kominkiem wskazywał siedemnaście po trzeciej. Faith nie leżała już na kanapie; siedziała przy biurku na drugim końcu pokoju i z zapalem coś pisała.

Przez chwilę nie ruszał się. Jakiż ponętny przedstawiała widok! Miała na sobie jego ulubioną koszulę oraz grube białe skarpety, ale łydki, kolana i uda miała gołe. Włosy opadały jej luźno na ramiona i plecy. Uśmiechnął się. Ciekawe, czy pod koszulą ma coś na sobie? Może tak. Może nie. Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Nagle, obudziwszy się do końca, zaczął się zastanawiać nad czymś innym. Cóż ona, do licha, porabia? Wczoraj i przedwczoraj w

nocy, gdy skończyli się kochać, wyrzuciła go za drzwi, twierdząc, że ma mnóstwo pracy. Czy to właśnie ta praca? Czy często zdarza się jej pracować w środku nocy?

Starał się wstać jak najciszej, ale fotel zaskrzypiał. Faith podskoczyła i obejrzała się za siebie. Otworzywszy szeroko oczy, wstrzymała oddech. Była wyraźnie zaskoczona jego obecnością. Nie odrywając od niego wzroku, wyciągnęła górną szufladę biurka i schowała w niej kartkę ze swoimi zapiskami.

- Nie zauważyłam cię - powiedziała, odsuwając krzesło.
- Przepraszam. Nie chciałem cię wystraszyć.
- Cieszę się, że już wróciłeś. - Uśmiechnęła się uwodzicielsko. -

Właśnie o tobie myślałam.

Sądząc po skupieniu, z jakim pisała, było to mało prawdopodobne.

- Nad czym pracujesz? - Skinął głową w stronę biurka.
- Nic ciekawego. Naprawdę. - Podeszła krok bliżej. - Po co rozmawiać o nudnych wzorach i obliczeniach, kiedy możemy zająć się czymś o wiele przyjemniejszym?

Nawet kusiło go, by spytać ją o te nudne wzory i obliczenia, pewnie z ich powodu poprzednie dwie noce wyrzucała go z łóżka, ale nie zdążył. Faith bowiem przystanąła pośrodku pokoju i kołysząc zmysłowo biodrami, zdjęła majtki, potem wolno zaczęła odpinać guziki koszuli. Mając przed sobą taki widok, Luke zapomniał o całym świecie. Jeden guzik, drugi... ponętny uśmiech, taneczne ruchy.

Wiedział, że wkrótce koszula opadnie i piękna uwodzicielka zostanie w samych skarpetkach.

Dlaczego więc, obserwując ten przyprawiający o dreszcze striptiz, nabierał przekonania, że to nie jest ta kobieta, w której się zakochał?

- Faith, musimy porozmawiać...

- Później. - W rozpiętej koszuli uniosła ręce i objęła go za szyję.

- W tej chwili mam inne plany.

Zacząła go całować, żarliwie i namiętnie. Odwzajemniał jej pocałunki - nie jest wszak z kamienia. Ocierała się o niego zmysłowo, mrużąc z zadowolenia.

- Wiesz, czego chcę, prawda? - szepnęła. - Tutaj, Luke. Teraz.

Jego ciało było gotowe, ale umysł się wzbraniał.

- Faith, na pewno jesteś obudzona?

- No jasne! Dlaczego pytasz?

- Bo wydajesz się... inna. - Ujął jej twarz w dłonie.

- Bo jestem inna - odparła niskim głosem. - Jestem dzika, uwolniona, pozbawiona hamulców. Chyba wolisz taką Faith od szarej myszki, która boi się spojrzeć mężczyźnie w oczy i powiedzieć mu, czego chce? Od kobiety, która ucieka w pracę ze strachu przed otaczającym ją światem?

Kiedy odpiąwszy pasek u jego spodni, zaczęła ciągnąć w dół suwak, Luke powstrzymał ją. Uwolniona? Od czego? Pozbawiona hamulców?

- Wolę moją Faith - oznajmił.

- Twoją Faith? - Parsknęła śmiechem. - Twoja Faith nie istnieje, Luke. - Chwyciła jego wolną rękę i położyła sobie na brzuchu. Ciało miała miękkie, skórę jedwabistą. - Twoja Faith jest niespotykanym unikatem. Unikatem na skalę światową. Jest silna, o wiele silniejsza, niż przypuszcza. I chociaż bardzo by tego chciała, nigdy nie będzie taka jak inne kobiety.

Na moment znieruchomiała, po czym wbiła paznokcie w jego dłoń. Luke chciał zaprotestować, zanim jednak otworzył usta, ponownie zaczęła go całować.

- Nie czujesz? - szeptała uwodzicielsko. - Naprawdę nie czujesz? Twoja Faith to kobieta, której nie wolno niczego odmawiać. A dzisiejszej nocy ona pragnie dziecka. Twojego dziecka, Luke.

- Ale...

- Jestem gotowa, Luke. Płodna. Moje ciało czeka. Drży. Woła cię całym sobą. Żąda zaspokojenia. Masz to, czego potrzebuję, Luke.

Zbliżyła usta do jego ust. Poły koszuli zwisały luźno wzdłuż jej ciała, więcej odsłaniając, niż zakrywając.

- Tylko ty możesz mi to dać, Luke. Tylko ty masz to, co chcę. To, czego potrzebuję...

- Nie teraz - oznajmił, z trudem nad sobą panując. Poskromił jednak chęć; jego umysł domagał się odpowiedzi. - Najpierw musisz mi coś wyjaśnić.

Zirytowana, otworzyła oczy i utkwiała je w jego twarzy.

- Wyjaśnić? Co tu jest do wyjaśniania? Pragnę cię. Pożądam. To nie wystarczy?

Wystarczyłoby, gdyby nic do niej nie czuł. Gdyby to był zwykły romans, przygoda erotyczna. Seks dla seksu nie wymaga zrozumienia. Ale ponieważ istnieje między nimi coś więcej, silna więź emocjonalna, której seks jest tylko dopełnieniem, Luke chciał zrozumieć, co się dzieje, poznać przyczyny dziwnej zmiany, jaka zaszła w Faith.

- Chodzi o twoją żonę, tak? - spytała nagle.

- Nie. - Przeszył go dreszcz.

- Nie kłam. - Zmrużyła oczy. - Od początku podejrzewałam, że wciąż ją kochasz. Że za nią tęsknisz. Setki razy chciałam cię o to spytać, ale nie umiałam zdobyć się na odwagę. Bałam się tego, co usłyszę.

Nie potrafił powiedzieć Faith, przynajmniej nie tu i nie teraz, że smutek, jaki go ogarnął po śmierci Karen, częściowo brał się z wyrzutów sumienia, że za mało ją kochał. Że jego uczucia zaczęły wygasać na długo przed jej śmiercią.

- Nie rozmawiamy teraz o mnie - rzekł - lecz o tobie. Jesteś....

Uśmiechnęła się.

- Inna? Już to mówiłeś. Faith, którą znałeś, którą wszyscy znali, latami ukrywała swoją moc. Swój dar.

- Swój dar?

- Tak. - Oblizwała wargi. - Polegający na pełnej synchronizacji ciała i umysłu. Jestem idealnie wyczulona na procesy zachodzące w moim organizmie. - Pocałowała go namiętnie w usta. - Umiesz

powiedzieć, jak szybko bije twoje serce, kiedy cię całuję? - spytała po chwili. - Bo ja tak.

Kusiło go, by zerwać z niej koszulę, pchnąć ją na kanapę...

Pohamował się. Coś jest nie tak, tylko co?

- Potrafię precyzyjnie określić swoje ciśnienie, puls, temperaturę

- ciągnęła szeptem. - W tej chwili na samą myśl o tym, jak zaraz we mnie wejdiesz, czuję szczypanie w sutkach...

- Przestań - jęknął.

Uniosła jego rękę i położyła na swojej piersi. Przez chwilę rozkoszował się jej dotykiem, po czym cofnął dłoń.

- Czy kiedykolwiek chorowałeś? Bo Faith nigdy. Jej system immunologiczny nie ma sobie równych. Ona to wie, lecz nie do końca rozumie, co to oznacza. Jeżeli się skupi, potrafi wychwycić wszystkie najdrobniejsze zmiany zachodzące w jej ciele, lecz stara się nie dopuszczać tego faktu do swojej świadomości. Dlaczego? Bo boi się odpowiedzi. - Polizała Luke'a po szyi. - Mmm, smakujesz wybornie. I pachniesz bosko. Właśnie taki zapach powinien wydzielać mężczyzna: ostry, piżmowy, kojarzący się z seksem.

- Faith, przestań. Odchodzimy od tematu...

- Wiem. - Uśmiechnęła się powabnie.

- Nic nie rozumiem...

- A cóż tu jest do rozumienia? Dziś mogę zająć w ciążę. Moje ciało wyje, domagając się ciebie. Nikogo innego nie chce, tylko ciebie, Luke. Ciało dokonało wyboru, a serce je w pełni popiera. -

Westchnęła. - Co prawda wolałabym, żeby serce się nie wtrącało, lecz nie mam na nie wpływu.

Bredziła od rzeczy. Może mówi przez sen, może jest w transie, tak czy inaczej nie ulega wątpliwości, że kobieta, która próbuje go uwieść, nie jest tą Faith, którą on i wszyscy inni znali. Bez względu na podniecenie, które go ogarnęło, wiedział, że nie może do niczego dopuścić.

- Czy cokolwiek z tego będziesz pamiętać rano? - spytał.

- Nie. Umysł odrzuca to, czego nie potrafi zaakceptować.

- Czego, Faith, nie potrafisz zaakceptować? Zamknąwszy oczy, wzięła głęboki oddech.

- Uwolniona posiadam nieograniczoną władzę. Uwolniona jestem w stanie dokonać wszystkiego. Nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. - Delikatnie skubnęła go za ucho, po czym kontynuowała zmysłowym szeptem: - Uwolniona potrafię jednej nocy począć dziecko i zniszczyć świat.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Obudziła się nie na kanapie, na której zasnęła, lecz w jakimś dziwnym miejscu, miękkim i ciepłym. Po chwili, nie otwierając oczu, uświadomiła sobie, że leży w łóżku Luke'a. Dobrze jej tu było. Wygodnie, bezpiecznie.

Uniosła powieki. Przez okno wpadały jaskrawe promienie słońca. Skierowała spojrzenie na Luke'a, który siedział milczący na krześle koło łóżka.

Sądząc, po wyrazie jego twarzy, musiało się wydarzyć coś złego.

- Co się stało?

- Nie pamiętasz? - spytał łagodnie. Podkrążone oczy świadczyły o tym, że nie spał całą noc, a na sobie miał to samo ubranie, co wczoraj w szpitalu.

- O Boże! - szepnęła Faith, opuszczając nogi na podłogę. - Chodzi o Abby? Czy...

- Spokojnie, z Abby wszystko w porządku. Nelda wróciła o siódmej, zanim się mała obudziła. Jest z nią teraz.

Nagle Faith zorientowała się, że ma na sobie pomiętą flanelową koszulę - musiała w niej zasnąć. Koszula jej nie przeszkadzała, ale przeszkadzały wystające spod niej gołe nogi. Nie powinna czuć się skrępowana, przecież Luke nieraz widział ją nagą, a jednak... Przykryła się kołdrą.

- Skąd się tu wzięłam? - spytała. - Wydawało mi się, że drzemałam na kanapie.

Przyjrzała mu się uważnie. W nieświeżym pogniecionym ubraniu, z jednodniowym zarostem na policzkach i przekrwionymi oczami wyglądał na bardzo zmęczonego. Chciała przyciągnąć go do siebie, przytulić, szeptać mu do ucha czułości, tak jak wczoraj jego córce, gdy ją usypiała przed kominkiem.

- Naprawdę nic nie pamiętasz? Pokręciła głową.

- Powiedz mi - poprosiła. - Nie musisz niczego przede mną ukrywać.

Patrząc jej w oczy, zacisnęła rękę na jej dłoni. Ich palce automatycznie się splotły.

- Dwie poprzednie noce... - zaczął. - Kochaliśmy się u ciebie w pokoju, potem ja wracałem do domu. Pamiętasz, jak wychodziłem?

- Nie. Spałam. Nawet chciałam ci o tym wczoraj powiedzieć, że to nieładnie wymykać się cichcem, ale jakoś nie miałam okazji. Naprawdę powinienesz być...

- Faith - przerwał jej ostro. - Poczekaj... - Puścił jej dłoń i sięgnął po leżącą na szafce kartkę. - Co to jest?

Wzięła od Luke'a kartkę. Były na niej jakieś słowa, cyfry, symbole chemiczne - wszystko skreślone jej ręką. Jak to możliwe? Przeczytała zapiski raz, potem drugi, wreszcie rozszyfrowała część skomplikowanego wzoru. Po plecach przeszły ją ciarki.

- Skąd to masz? - spytała szeptem.

- Z szuflady biurka, do której schowałeś kartkę około wpół do czwartej nad ranem.

Potrząsając głową, ponownie spojrzała na staranny charakter pisma. Niewątpliwie należy do niej.

- Faith, możesz mi powiedzieć, co znajduje się na tej kartce?

- Ja tego nie napisałam.

- Sam widziałem.

- Boże... To wygląda na chemiczny skład wirusa.

Nieorganicznego i bardzo groźnego.

- Takiego jak ten, z którym mamy do czynienia?

- Nie, znacznie groźniejszego. - Zmięła kartkę w dłoni. - Trzeba to spalić.

Z jej twarzy wyzierał strach. Czy naprawdę jest zdolna coś takiego wymyślić? Dokładny przepis na stworzenie zabójczego wirusa? I w dodatku niczego nie pamiętać?

- Jak... Luke, nie rozumiem. Jak...?

Opowiedział jej o tym, jak dwa razy z rzędu budziła go w środku nocy, uwodziła, po czym niemal siłą wyrzucała za drzwi.

Przypomniawszy sobie brakujące prezerwatywy, uświadomiła sobie, że Luke jej nie okłamuje. Że wbrew temu, co myślała, nie wymykał się cichcem z jej pokoju. Sama się go pozbywała, by w spokoju pracować nad wirusem, który mógłby służyć za śmiertelną broń.

Nie uwierzyłaby Luke'owi, gdyby Jake jej nie ostrzegł, że członkowie Koalicji tak właśnie działają; że jeśli tylko nadarzy się okazja, będą próbowali wykorzystać ją do swoich niecznych celów. Jakimś sposobem do niej dotarli. Zamienili ją we współczesny żeński odpowiednik doktora Jekylla i pana Hyde'a.

- Co się dzieje? - zadumał się Luke. - Jak to możliwe, że kiedy śpisz, przemieniasz się w inną osobę? Boże... czy zdajesz sobie sprawę, co by było, gdyby twoje notatki dotyczące produkcji broni biologicznej wpadły w ręce szaleńców? - Nagle urwał. - Faith, o co ci chodziło, kiedy wczoraj twierdziłaś, że jesteś uwolniona?

Wiedziała, że nie powinna mu nic mówić, ale bardzo potrzebowała jego pomocy. Musi ją powstrzymać, nie pozwolić jej dokończyć pracy nad skomplikowanym wzorem koniecznym do produkcji wirusa. Bała się, że pozostawiona sama sobie znów się obudzi w środku nocy i z zapalem przystąpi do pracy.

- Kiedyś... - Wzięła głęboki oddech. - Kiedyś spytałam cię, czy słyszałeś o genetycznie zmodyfikowanych dzieciach, które przyszły na świat pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych. Pamiętasz?

- Owszem. - Pokręcił głową, jakby nie mógł zrozumieć, dlaczego nagle zmieniła temat.

- Odpowiedziałeś, że nawet jeśli takie eksperymenty miały miejsce, to mało prawdopodobne, aby w tamtym czasie mogły zakończyć się powodzeniem.

- Pamiętam - odrzekł cicho.

- Myliłeś się. Naukowcy nie tylko prowadzili doświadczenia genetyczne, ale i odnieśli wielki sukces. Genetycznie zmodyfikowane dzieci naprawdę się urodziły. - Serce podeszło jej do gardła. - Jestem jednym z nich.

Szybko, bojąc się, że zabraknie jej odwagi, zaczęła wszystko z siebie wyrzucać, całą tę niesamowitą historię, którą usłyszała od Jake'a. Opowiadała o eksperymentach, o hipnozie, o zaprogramowaniu, o siostrze i braciach, których nie pamiętała i którzy dopiero teraz po latach ożywają w jej pamięci.

Po pierwszych paru minutach przeniosła spojrzenie na okno i pokryte śniegiem gałęzie drzew. Ciągnąc swą opowieść, nie potrafiła patrzeć Luke'owi w oczy. Wiedziała, co w nich zobaczy: nienawiść za to, że go okłamywała, oraz obrzydzenie.

Siedziała z dłońmi zaciśniętymi na kolanach. Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. Przez cały czas dziesiątki myśli kołatały jej po głowie. Bała się, że jej życie już nigdy nie będzie normalne. Że ona sama na zawsze pozostanie genetycznym dziwologiem. Najbardziej bolało ją to, że Luke już nigdy nie spojrzy na nią tak jak dawniej, z pożądaniem.

- Członkowie Koalicji musieli mnie namierzyć, ale nie wiem kiedy, czy zanim tu przyjechałam, czy już potem. - Wskazała na zmiętą kartkę. - Oto dowód. Najwyraźniej we śnie pozbywam się wszelkich hamulców, które mogłyby mnie powstrzymać od wypełnienia perfidnych poleceń, i przystępuję do pracy nad śmiertelnościami wirusem.

Na moment zamilkła. Z tego, co mówił Luke, we śnie nie tylko pracowała. Również bezwstydnie uwodziła.

Luke milczał. Cisza niemal dźwięczała w uszach. Ale co ma powiedzieć? Albo wierzy w jej opowieść, albo nie. I albo wyciągnie

do niej pomocną dłoń, albo nie zechce mieć z nią do czynienia.

Decyzja należy do niego.

- Nie domyśliłeś się, że to nie jestem ja? - spytała nagle Faith. - Kiedy... no wiesz... - Niby nie powinna mieć do Luke'a pretensji, a jednak czuła żal.

- Wczoraj wiedziałem - odparł. - Patrząc w twoje oczy, zorientowałem się, że coś jest nie tak.

- A tamte poprzednie noce? Czy...

- Miałem wrażenie, że nie jesteś sobą - przerwał jej. - Ale byłem skołowany. Spałem mocno, a ty zaczęłaś... W każdym razie półprzytomny nie potrafiłem ci się oprzeć.

Odwróciła wolno głowę. Nie może reszty życia przesiedzieć z wzrokiem utkwionym w swoje dłonie lub w krajobraz za oknem.

- Miałeś wrażenie, że nie jestem sobą, tak?

- Nie patrz na mnie z takim wyrzutem. To jednak byłaś ty.

- Nie do końca - szepnęła. Żałowała, że nie pamięta tamtych chwil. Przynajmniej miałyby co wspominać. Bo na kolejne noce z Lukiem nie może liczyć. Już nie wprosi się do niej do motelu ani nie zaproponuje, by została z nim w Rockland. - To co, pomożesz mi czy nie?

- Naturalnie - odparł, jakby to była sprawa oczywista. - Ale najpierw musimy sobie wyjaśnić kilka rzeczy.

Faith zastygła. Luke jest porządnym człowiekiem. Pomoże jej; zrobi, co musi i co powinien. Ale na tym koniec. Koniec przyjaźni, koniec znajomości.

- Wczoraj wieczorem spytałaś mnie o Karen. O moją żonę. O moją zmarłą żonę.

- O Boże. - Faith przycisnęła rękę do piersi. -

Przepraszam cię. Nie miałam prawa. Nie powinnam była...

- Nie jestem w niej zakochany - ciągnął mocnym, stanowczym głosem. - Zawsze będzie mi bliska, ponieważ dała mi Abby... ale nie wzdygam za nią. Kochając się z tobą, naprawdę o niej nie myślałem. Karen należy do przeszłości.

Faith odetchnęła głęboko. Nie spodziewała się, że poczuje tak wielką ulgę.

- Nie powinnam była pytać - rzekła znacznie spokojniejszym tonem niż przed chwilą. - Przepraszam.

- Powinnaś była. Od razu, kiedy taka myśl zaświtała ci w głowie. Możesz pytać o wszystko. Nie chcę, żebyś się bała.

Dzisiejszej nocy, kiedy próbowała zaciągnąć go do łóżka, Luke oparł się pokusie. Musi poznać prawdę. Skoro pozwolił jej pytać o wszystko...

- Słuchaj, kiedy dziś nad ranem chciałam cię...

- Uwieść - odpowiedział z uśmiechem.

- Nie skorzystałaś z okazji, choć mogłaś. Co cię powstrzymało? - Czy jakimś cudem rozpoznał w niej potwora? Czy poczuł wstręt?

Wstał z krzesła, wolno, jak ktoś bardzo zmęczony, i usiadł koło niej na łóżku. Skuliła się, kiedy otoczył ją ramieniem, ale go nie odtrąciła.

- Kiedy będziemy robić dziecko - rzekł znużonym tonem - chcę, żeby ta chwila na zawsze zapadła ci w pamięć.

- Nie rozumiem - szepnęła.

Drażni się z nią. Na pewno. Przecież ona nigdy nie będzie cieszyć się normalnym życiem. Nie będzie miała męża, dziecka, nikt jej nigdy nie pokocha.

- Jestem zmordowany. - Z Faith w ramionach opadł na materac. - Możemy o tym porozmawiać później?

- Tak - szepnęła. - Porozmawiamy później.

- Tylko nigdzie nie chodź, dopóki się nie obudzę - powiedział, ziewając.

- Dobrze.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Zasnął, trzymając ją w objęciach. Faith westchnęła błogo. Nie odtrącił jej, nie nazwał dziwadłem.

I nie powiedział „jeśli”, tylko „kiedy”: „kiedy będziemy robić dziecko”.

Starali się zachowywać tak, jakby nic się nie zmieniło. Ale zmieniło się: od dzisiaj Luke nie zamierzał spuszczać Faith z oka. Przysiągł to sobie. Nie może zapobiec temu, co się z nią dzieje, ale może ją chronić.

Jeszcze nigdy w życiu nie był tak przerażony jak wtedy, gdy patrząc mu w oczy, oznajmiła dziwnie spokojnym i opanowanym głosem, że w ciągu jednej nocy potrafi począć dziecko i zniszczyć



świat. Jej słowa dlatego go tak wystraszyły, że wyczuł, iż Faith mówi prawdę. Właśnie ta prawda spowodowała, że nie zmrużył w nocy oka.

Teraz, po kilku godzinach snu, wreszcie mógł się skupić na bieżących sprawach. Ktoś w miasteczku -ktoś, kto przybył do Rockland w ślad za Faith - należy do Koalicji, o której mu tyle opowiadała. Ludzie z Koalicji musieli ją zobaczyć w telewizji albo przeczytać o niej w prasie i przysłali tu swego przedstawiciela, aby zmusił ją do wytworzenia śmiertelnego wirusa.

Kiedy Faith zakończy pracę, a miejscowe władze zniosą kwarantannę, wróg wyjedzie z miasta, zabierając z sobą zarówno Faith, jak i jej wzory chemiczne.

Faith postanowiła nie informować Jake'a o tym, że zakodowany w niej program został uruchomiony. Podała Luke'owi kilka rozsądnych powodów, dlaczego - przynajmniej na razie - powinni zachować tę informację w tajemnicy. Żaden z jej argumentów nie trafił mu do przekonania.

A ona po prostu nie chciała, by ktokolwiek, a już zwłaszcza jej nowa rodzina, odkrył, do czego jest zdolna.

Popołudnie spędzili w szpitalu. Panował tu spory ruch, większy niż zazwyczaj, bo oprócz lekarzy, pielęgniarek i pacjentów po oddziale kręcili się żołnierze z Gwardii Narodowej oraz kilku dziennikarzy, którzy otrzymali przepustki, ale w sumie sytuacja była pod kontrolą. Luke pomyślał sobie, że będzie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, kiedy wszystko wróci do poprzedniego stanu.

Pamiętając o tym, co mu rano powiedziała Faith, zastanawiał się nad przyszłością. Dla Karen nie chciał wyjechać z Montany. Nie dlatego, że lekceważył jej życzenia; po prostu był pewien, że prędzej czy później żona pokocha to miejsce. Tak się jednak nie stało.

Faith zaś kochał, i pragnął stać się częścią jej życia. Ona jednak nie może tu zostać. Przynajmniej dopóki nie minie grożące jej niebezpieczeństwo. Ale czy kiedykolwiek minie? Czy też do końca życia będzie musiała uciekać przed Koalicją?

Wieczorem po pracy odwiózł Faith do motelu. Chciał ją zabrać do siebie i całą noc czuwać nad nią, ale uparła się. Woląла nie narażać Abby i Neldy na spotkanie z nową, uwolnioną Faith.

Po przyjeździe do motelu natychmiast zaciągnęła zasłony w oknie, tak by nikt nie mógł zajrzeć do środka, następnie - choć miejsca było niewiele - zaczęła przemierzać pokój tam i z powrotem. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, znacznie bardziej zdenerwowanej niż pierwszej nocy, kiedy usiłowała wytłumaczyć Luke'owi zależność pomiędzy jej zegarem biologicznym a ich wzajemnym pożądaniem.

Wreszcie zmęczona usiadła na krześle.

- Spędziliśmy razem cały dzień - rzekła cicho - a ty nie wspomniałeś o tamtej sprawie. Okazujesz mi wiele serca, służysz pomocą, ale wiem, co myślisz.

- Naprawdę? - Spoczął na brzegu łóżka.

- Tak. Przecież to cię musi niepokoić.

- Wiele rzeczy mnie niepokoi - przyznał. - O której konkretnie mówisz?

Odwróciła wzrok.

- O sobie. Teraz, gdy już wiesz, czym jestem... Podniósł się z łóżka i ująwszy Faith za rękę, podciągnął ją na nogi.

- Nie czym, tylko kim. Wiem, kim jesteś. Położyła głowę na jego klatce piersiowej.

- Jestem Jekyll i Hyde - szepnęła. - Nawet po przeprogramowaniu wciąż będę... Frankensteinem. Dziwem natury. Rezultatem eksperymentu, który nigdy nie powinien mieć miejsca. Jestem... sztuczna, nieprawdziwa.

Delikatnie obrócił ją tak, by popatrzyła mu w oczy.

- Jesteś najprawdziwszą kobietą, jaką znam. Wspaniałą, piękną, mądrą, która cały swój czas i energię poświęca chorym ludziom.

- Ale...

- Cii - przerwał jej. - Może i zostałam poczęta w niekonwencjonalny sposób, ale co z tego? Jesteś człowiekiem, a nie żadnym dziwadłem. Znam cię. Masz serce, duszę i sumienie.

Wspięła się na palce i pocałowała go czule w usta.

- Nie pozwól mi dziś zasnąć - poprosiła.

- Postaram się. Ale kiedyś musisz odpocząć. Zaczął rozpinać jej bluzkę, ona jemu koszulę. Nie spieszyli się, jakby mieli przed sobą całą wieczność.

- Jeżeli nie zasnę, to się nie obudzę w środku nocy, nie będę cię na siłę uwodzić, a potem nie zasiądę do pracy nad tym przeklętym wzorem.

- Nawet jeśli zaśniesz, ze wszystkim sobie poradzę.

- Tak sądzisz?

Spleceni w uścisku opadli na łóżko. Na widok rozrzuconych po pościeli włosów Faith, jej mleczej gładkiej skóry, dużych oczu, Luke'a przeszył dreszcz.

- Czy już ci mówiłem, że masz śliczny tyłeczek?

- Nie. - Roześmiała się zdziwiona.

- Chciałem ci to powiedzieć od razu pierwszego dnia. Ciekawe, jak byś zareagowała, słysząc: „Ma pani ładną pupę, pani doktor”?

- Teraz też nie wiem, jak zareagować - odparła, kładąc rękę na pośladku Luke'a. - Nikt mi dotąd nie powiedział takich komplementów.

- Trudno w to uwierzyć. - Potarł nosem o jej szyję, wciągając w nozdrza zapach. - Z początku, kiedy wpadłaś jak bomba do szpitala i przejęłaś nad wszystkim kontrolę, byłem zły, lecz mimo to podniecał mnie twój zapach. Uwielbiam, jak pachniesz, Faith.

- Spośród pięciu zmysłów węch należy do najbardziej prymitywnych - rzekła. - Jest...

- Żadnych wykładów - wtrącił szybko. - Dziś nie jestem w nastroju. - Zaczął całować jej szyję. - Ale zdradź mi jedno. Co tak pachnie? Perfumy, mydło, jakiś egzotyczny szampon?

- Mówiłam ci, że nie używam perfum. A mydła i szampony kupuję zwykłe, takie pierwsze z brzegu.

Uniósł głowę i popatrzył jej w oczy. Może ma rację. Może faktycznie obudził się w nim jakiś pierwotny instynkt?

- Powiadasz, że wpadłam jak bomba? - spytała z uśmiechem.

- Jak bomba.

Nie tylko postawiła na nogi cały szpital, nie tylko zarządziła kwarantannę w mieście, ale w dodatku namieszała w jego i tak już pomieszanym życiu. Sprawiała, że się ocknął, że zaczął pragnąć rzeczy, z których zrezygnował dawno temu, jeszcze wiele lat przed śmiercią Karen.

Przestali rozmawiać. Pieszczoty zastąpiły słowa. Dłońmi i wargami wyrażali swe uczucia. Po pewnym czasie z szuflady w szafce nocnej Faith wyciągnęła prezerwatywę. Wczoraj, dzika i uwolniona, stanowczo sprzeciwiała się zabezpieczeniu, dziś rozochocona, lecz rozsądna, inaczej zapatrywała się na tę kwestię.

- Myślałem, że chcesz mieć dziecko - powiedział Luke, biorąc od niej srebrzyste opakowanie.

- Chcę. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo. - Pocałowała go w usta. - Ale jak mogłabym wydać na świat niewinne maleństwo, skoro nie wiem, kim jestem ani jaka czeka mnie przyszłość? Mój syn czy córka byłiby tak samo narażeni na niebezpieczeństwo jak ja. A ty...

- Co ja? - spytał, gdy się nagle zawahała. Opuszkami palców pogładziła go po twarzy.

- Ciebie też nie powinnam wciągać w to wszystko. Niedobrze, że tu ze mną jesteś, Luke. Życie każdego, kogo darzę uczuciem, może być zagrożone. Dlatego... dlatego wolę nie ryzykować.

- Nie możesz stale oglądać się za siebie, czekając, kiedy pojawi się wróg - rzekł, rozrywając opakowanie.

- A czy mam inne wyjście?

Fakt, pomyślał. Zaczął ją całować, chcąc zepchnąć choćby w chwilowy niebyt wszelkie zagrożenia, przed którymi nie mogli uciec. Faith zacisnęła powieki i objęła go z całej siły.

Zapomnieli o wszystkim. Skupieni na teraźniejszości, na sobie nawzajem, na dawaniu i czerpaniu rozkoszy, przenieśli się w inny świat.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Starął się nie zasnąć, Faith też, ale oboje byli zbyt wyczerpani. Fizycznie, psychicznie, emocjonalnie. W końcu nie mieli siły dłużej się opierać i pogrążyli się we śnie.

Kiedy po jakimś czasie Luke otworzył oczy, Faith siedziała przy małym okrągłym stoliku pod oknem, w jaskrawym blasku palącej się nieopodal lampy, i coś pośpiesznie gryzmoła. Nie zerwał się z łóżka, nie zabrał jej kartki i długopisu. W pierwszej chwili właśnie taki miał zamiar, ale potem wpadł na inny pomysł. Postanowił obserwować Faith, zobaczyć, gdzie chowa notatki, a następnie je zniszczyć.

Była tak pochłonięta pracą, że nawet nie zdawała sobie sprawy z przebudzenia Luke'a. Dziś nie rzuciła się na niego w nocy, nie próbowała go uwieść. Wiedziała, że gdy będzie po wszystkim, nie zdoła się go pozbyć. Miała nadzieję, że Luke prześpi spokojnie do rana.

Gdy zasnęła w jego ramionach, była naga. Siedząc przy stoliku, nadal była naga. Współczesna Lady Go-diva, okryta jedynie własnymi włosami, pracowała w transie nad swym wynalazkiem. Musi jej być zimno, bo w pokoju panował chłód. Luke z trudem się pohamował, by nie wstać, nie okryć jej kocem. Chciał ją chronić przed zmarznięciem, przed Koalicją, przed wszystkimi niebezpieczeństwami.

Demony, które od dziesięciu miesięcy próbował uciszyć, znów ożyły. Kogo chce oszukać? Przecież nie ochroni Faith. Może się starać, ale w końcu i tak mu się nie uda. Żony też nie zdołał uratować.

W porządku, kocha Faith. Ale czy miłość wystarczy? Faith jest niezwykłą kobietą zasługującą na znacznie więcej, niż on może jej zaofiarować. Czy właśnie ta świadomość powstrzymuje go przed ujawnieniem jej swoich uczuć? Obawa, że nigdy nie będzie dla niej dość dobry? Że nie zdoła jej zaspokoić?

Karen zawsze pragnęła więcej. Więcej pieniędzy, większego prestiżu. Ciągłe była nieusatysfakcjonowana. Ale Faith to nie Karen. W ogóle nie były do siebie podobne, ani z wyglądu, ani z charakteru.

Oczywiście Faith pod wieloma względami jest wyjątkowa. Gdyby chciała, mogłaby naprawdę zniszczyć świat. Posiada ogromną wiedzę, która z kolei daje jej ogromną moc. Swoją wiedzę wykorzystuje do szlachetnych celów, lecz jeśli nagle coś się w niej odmieni...?

Gdyby znalazła się we władaniu Koalicji, mogłaby wyrządzić wiele zła. Nic dziwnego, że się boi.

Czasem mu się wydawało, że zawsze będą razem, on i Faith. Nie wyobrażał sobie ich rozstania. Ona chyba czuła to samo. Ale może się oszukuje? Może oboje się oszukują?

Nie chciał opuszczać Rockland, ale może tylko w ten sposób zdołałby uratować Faith? Może należy wywieźć ją z miasta, jak najdalej stąd? Może wtedy byłaby bezpieczna? Tak niewiele pragnął: żeby Faith nie stała się krzywdą, żeby była szczęśliwa i żeby odnalazła dawny spokój ducha.

Mniej więcej po godzinie skończyła pracę. Przeciągnąwszy się, wstała od stolika i zgasiła lampę. Jedyne światło dochodziło teraz z



łazienki. Z notatkami w dłoni podeszła do szafy i sięgnęła do najwyższej półki. Podniosła leżącą tam poduszkę i wsunęła pod nią zapisane kartki. Następnie zdjęła z wieszaka czerwony sweter.

Czyżby jednak zrobiło się jej zimno? Nie. Nie włożyła swetra; umieściła go na parapecie, tak by był widoczny z parkingu.

Najwyraźniej był to umówiony sygnał. Może że praca została skończona? Że wzór chemiczny jest gotowy?

Odwróciła się i wolnym krokiem skierowała do łóżka. Luke zamknął oczy. Po chwili poczuł, jak Faith się do niego przytuliła. Zadrżała z zimna. Była lodowata. Miał ochotę objąć ją, ogrzać, zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Nie wykonał żadnego ruchu. Gdyby zorientowała się, że on nie śpi, wówczas ta część jej osoby, która była pod wpływem Koalicji, natychmiast by się domyśliła, że zobaczył, gdzie ukryła notatki.

Westchnąwszy głęboko, położyła głowę na jego ramieniu, zarzuciła nogę na jego udo, po czym szepnęła: „Kocham cię, Luke” i zasnęła. Serce zabiło mu mocno. Faith go kocha! W tym dziwnym hipnotycznym stanie, w jakim się obecnie znajdowała, nie potrafiłaby kłamać.

Może ona zasługuje na kogoś lepszego, może on, Luke, nie zdoła jej ocalić. Ale kocha ją do szaleństwa. I tylko to się liczy.

Gdy tak leżał z tą cudowną kobietą u boku, znikły wszystkie paskudne demony, które tak długo go dręczyły.

Ledwo Faith zbudziła się ze snu, natychmiast spojrzała na szafkę nocną. Na widok trzech nieotwartych opakowań odetchnęła z ulgą.

- Nie denerwuj się - usłyszała niski, zaspany głos Luke'a. - Byłaś w nocy bardzo cnotliwa.

- Naprawdę?

Cmoknął ją lekko w nos, po czym sięgnął pod poduszkę i wyciągnął zapisane kartki.

- Skończyłaś pracę, przynajmniej tak mi się wydaje. Potem na parapecie okiennym ułożyłaś czerwony sweter. Myślę, że to znak dla osoby, która ma się zjawić po wzór.

Wzięła od Luke'a kartki. Zapiski, które poczyniła wczorajszej nocy w domu Luke'a i które spalili wcześniej, sumiennie odtworzyła. Patrząc na kartki z dokładnymi instrukcjami, poczuła, jak przebiega ją lodowaty dreszcz.

Wirus stworzony według jej wskazówek, szybko rozprzestrzeniający się, mógłby zniszczyć cały świat. Byłby bez porównania groźniejszy od tego, który zaatakował mieszkańców okręgu Carson. Wystarczyłoby w wietrzny dzień umieścić pojemnik z wirusem w środku miasta, i ludzie padaliby jak muchy. U zakażonych występowałyby objawy podobne jak przy grypie, czyli gorączka, dreszcze, bóle mięśni, ale także ropiejące krosty i wysypka. W przeciwieństwie do wirusa z Rockland nowy wirus z łatwością przenosiłby się z człowieka na człowieka. Już po kilku dniach liczba zgonów sięgnęłaby tysięcy. Horror.

Nagle Faith zdała sobie sprawę, że wynalazła również szczepionkę - antidotum na stworzonego przez siebie wirusa. Ogarnął

ją pusty śmiech. No tak, jeśli ktoś z Koalicji padnie ofiarą własnej broni, szczepionka go ocali.

Zastanawiała się, czy Koalicja sama zamierza wyprodukować wirusa, czy sprzedać przepis na jego produkcję tym, którzy zaoferują najwyższą cenę. Wzdrygnęła się; nie mieściło się jej w głowie, że mogła opracować tak niebezpieczną broń.

- A jak przyjdą po instrukcję i jej nie znajdą? - spytała. - Co wtedy?

- Na pewno im się to nie spodoba, ale nie mamy wyjścia. Notatki trzeba zniszczyć.

- Wiem. - Skinieniem głowy przyznała mu rację. - Luke... a jak znów zasiądę we śnie do pracy?

Ujął jej twarz w dłonie.

- Będę przy tobie. Będę pilnował, aby nikt nigdy nie dorwał twoich zapisków. Ani ciebie.

Opuścił ręce, ale wciąż wpatrywał się jej w oczy. Zrozumiała, że może na nim polegać. Spokojny, pewny, niewzruszony - jest dla niej Opoką.

Co by bez niego zrobiła? Gdyby nie Luke, nigdy nie dowiedziałyby się, że nocami pracuje nad groźną bronią biologiczną. Koalicja przejęłaby notatki. Tysiące, może dziesiątki, a nawet setki tysięcy ludzi by umarło. Nagle Faith zerwała się z łóżka.

- Mam pomysł.

Najpierw z szafy wyjęła szlafrok, włożyła go, obwiązała się w pasie, po czym chwyciła kartkę, długopis i usiadła przy stoliku pod

oknem. Nim minęło kilka sekund, Luke stał obok, zaglądając jej przez ramię.

- Co robisz?

- Podejrzewam, że człowiek, który uruchomił we mnie bodziec hipnotyczny i czeka na odbiór notatek, jest zwykłym żołnierzem, sługusem Koalicji, a nie naukowcem - odparła, nie przerywając pisania.

- Pewnie tak - zgodził się Luke.

- Czyli nie będzie wiedział, co ma w ręku. Musi przekazać notatki odpowiednim osobom, które je dokładnie przestudiują. Fizykom, chemikom, sama nie wiem.

- Jesteś genialna.

Podniosła wzrok. Luke stał obok, ubrany w same bokserki, uśmiechając się szeroko.

- Przynajmniej trochę zyskamy na czasie - rzekła. Skinął głową.

- Na co to wzór? - spytał, wskazując na kartkę.

- Na mydło. - Po chwili długopis znów śmigał w jej ręce. - Ale ponieważ to za mało, postanowiłam dopisać im wzór na wirusa, którego wypuścili w Rockland. Wzór z licznymi błędami - dodała.

Cyframi i symbolami zapełniła drugą stronę, potem trzecią. Na końcu czwartej napisała kilka zdań po łacinie.

- Hm, rozpoznaję tylko pojedyncze słowa... - powiedział Luke, który z marszem na czole usiłował przetłumaczyć w myślach tekst.

- Podaję szczegółowe instrukcje, gdzie dranie mogą sobie wsadzić te informacje.

Luke wziął ze stołu kartki i umieścił je w skrytce pod poduszką, tam skąd wcześniej wyjął zapiski z prawdziwym wzorem. Wspólnie z Faith spalili oryginał w koszu na śmieci. Patrząc, jak wzór na wirusa zamienia się w popiół, Faith poczuła, jak ciężar spada jej z serca.

- Dziś w nocy musisz mnie pilnować. - Ścisnęła Luke'a za rękę.

- Masz to jak w banku.

- I każdej następnej, dopóki nie przeprogramuje mnie ta psycholog, o której mówił Jake.

Pomyślała sobie, że gdyby Jake dowiedział się, że umieszczony w niej bodziec hipnotyczny został aktywowany, stanąłby na głowie, by wydostać ją z Rockland. A ona chciała tych kilka ostatnich dni spędzić z Lukiem.

- Będę nad tobą czuwał, maleńka - przyrzekł. - Nie pozwolę, aby ktokolwiek cię skrzywdził.

Przeniosła spojrzenie na kosz; z notatek zawierających niebezpieczne informacje została nieszkodliwa kupka popiołu. Luke wsypał popiół do klozetu i spuścił wodę.

- Musimy się gdzieś zaciąć, bo ktoś na pewno zjawi się dziś po twój wzór - powiedział, wychodząc z łazienki. - Ekipa sanitarna już prawie skończyła przeszukiwanie terenu. Za dzień czy dwa major kierujący akcją zniesie kwarantannę. Koalicja będzie chciała wydostać stąd swojego człowieka najszybciej jak to możliwe.

Faith wyjęła z szafy ubranie. Położyła je na łóżku, kiedy nagle ktoś załomotał do drzwi.

- Chwileczkę! - zawołała, obwiązując się paskiem.

Luke wciągnął pośpiesznie dzinsy. Nawet nie próbował udawać, że go tu nie ma, skoro tuż za drzwiami zostawił samochód.

W progu stał przeraźliwie blady Mimms. Mimo zimnej październikowej aury twarz lśniła mu od potu.

- Pani doktor... - Uchwycił się framugi, by nie zwalić się na podłogę. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale... dzieje się ze mną coś niedobrego. Czuję się okropnie.

W szpitalu znów zapanował chaos. Połowa żołnierzy, którzy pełnili tu straż, zaraziła się wirusem. Wśród zakażonych była również jasnowłosa dziennikarka z Great Falls. Natychmiast wezwano specjalistyczną ekipę, która sprawdzała domy w okolicy, szukając zielonkawego proszku, i poproszono ją, by dokładnie przeczesała szpital. Tak też zrobiła. Na parterze znalazła wirusa w znajomej sproszkowanej postaci. Proszek leżał rozsypany w pomieszczeniu, w którym żołnierze przydzieleni do ochrony szpitala jadali posiłki.

Faith powzięła niezłomne postanowienie, że nikomu nie pozwoli umrzeć. Luke po raz pierwszy od jej przyjazdu do Rockland nie usiłował jej nic narzucać. Posłusznie wykonywał wszystkie polecenia. Gdyby mu kazała stać na głowie w szpitalnym korytarzu, też by jej posłuchał.

Rzuciła się w wir pracy. Personel trwożliwie schodził jej z drogi. Na szczęście nikt z zakażonych nie zdradzał tak groźnych objawów jak Tyler Morris. Wszyscy bezzwłocznie otrzymali dawkę antybiotyku. Po kilku godzinach u większości widać było poprawę. Lżej chorych przeniesiono do ambulatorium, zostawiając w szpitalu

miejsce dla cięższych przypadków. Przedstawiciele środków masowego przekazu szybko dowiedzieli się o nowych ofiarach zakażenia. O wirusie z Rockland znów zrobiło się głośno.

Jeszcze niedawno Luke chciał wywieźć Faith z miasta. Teraz to było niemożliwe. A przecież dobrze wiedział, że tu grozi jej największe niebezpieczeństwo.

Raz po raz zadawał sobie pytanie dlaczego. Dlaczego tu i dlaczego teraz. Faith zdołała zahamować epidemię, uratować pierwszą grupę zakażonych, zidentyfikować źródło wirusa. Jaki był cel w narażaniu życia żołnierzy ochraniających szpital?

Po chwili znalazł odpowiedź. Chaos. Komuś zależy na wywołaniu chaosu.

Ale dopiero późnym popołudniem Luke uświadomił sobie, czemu chaos miał służyć. Otóż korzystając z zamieszania, posłaniec Koalicji przypuszczalnie zabrał z motelu bezużyteczne notatki i uciekł z miasta.

Czy na pewno? Może uciekł, ale równie dobrze mógł czekać na okazję, aby wywieźć z sobą Faith. W końcu Koalicji przydadzą się nie tylko notatki, ale i ich autorka. Nagle Luke doznał olśnienia.

No jasne! Faith jest dla Koalicji o wiele cenniejsza niż przepis na wyprodukowanie nowego wirusa. To na niej im zależy. Jej mózg jest najgroźniejszą bronią, nad którą w dodatku mają pełną kontrolę.

Wiedział, że bez względu na to, co by się działo, nie może spuścić jej z oka.

Jake Ingram dzwonił kilka razy w ciągu dnia, ale Faith nie miała czasu, żeby z nim porozmawiać. Przez Molly przekazała wiadomość, że czuje się dobrze, lecz nie może podejść do telefonu.

Kiedy zakażeni żołnierze oraz dziennikarka otrzymali antybiotyki i ich stan się ustabilizował, Luke dogonił Faith na korytarzu i poprosił, by weszła na moment do jego gabinetu. Od rana była na nogach, pracowała na głodnego, zatem nic dziwnego, że wyglądała tak, jakby za moment miała zemdleć. Była blada, ręce jej drżały.

- Usiądź - zażądał, zamykając drzwi.

- Dobrze. Na chwilę. - Spoczęła w fotelu za biurkiem, zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. - Muszę zadzwonić do Jake'a.

- Jake może poczekać. Uśmiechnęła się.

- Coś mi się zdaje, że mój brat należy do osób niecierpliwych i rzadko kto wystawia jego cierpliwość na próbę.

Luke wzruszył ramionami. Nie interesuje go Jake. Interesuje go Faith, która niemal pada na nos ze zmęczenia.

- Wydobrzeją. Wszyscy - powiedziała cicho. -

Szeregowy Mimms był w najgorszym stanie. Albo spożył większą ilość proszku niż inni, albo ma mocno osłabiony układ odpornościowy. Przez kilka minut bałam się, że umrze... To miły chłopak. Wystraszyłam się... - Głos się jej załamał. — Przepraszam. Na ogół potrafię lepiej kontrolować emocje.

- Faith, masz prawo i do płaczu, i do złości. Jesteś człowiekiem.

Popatrzyła na niego z zadumą.

- Naprawdę tak uważasz? Że jestem człowiekiem?



- Hej, nie wygaduj bzdur - skarcił ją. Wyciągnął do niej rękę. Ich palce instynktownie się splotły. - Nie znam wspanialszej osoby od ciebie. - Wcale nie przesadzał. - Jesteś tą samą kobietą, którą byłaś, kiedy przyjechałaś do Rockland. Reszta... reszta nie ma znaczenia.

- Ma - zaprotestowała. - I mylisz się. Nie jestem tą samą kobietą. I nigdy nie będę.

Przez kilka minut w pokoju panowała cisza. Luke stał oparty o fotel, a Faith siedziała i... Widać było, że stara się zapanować nad sobą, dojść do ładu ze swymi myślami. Poczucie w laboratorium, poważne luki w pamięci, hipnoza, ciężko chory Tyler Morris, umierający Mimms, wzór na wirusa zabójcę, uczucie do Luke'a - jest tego za wiele.

Nie odzywała się, ale nie zawsze słowa są potrzebne. Czasem wystarcza sama obecność właściwego człowieka.

W końcu Faith oswobodziła dłoń i zadzwoniła do brata. Z tonu Faith Luke domyślił się, że Jake Ingram jest zdenerwowany. Kilka razy przerywał siostrze w połowie zdania. Ona kilka razy ostro protestowała. Próbowwała go zapewnić, że nad wszystkim panuje, że nic złego się nie stało. Nie zająknęła się o tym, że gdy zasypia, Koalicja przejmuje nad nią władzę.

Co jakiś czas z przerażeniem w oczach spoglądała na Luke'a, który uśmiechem starał się dodać jej otuchy: chorym nic już nie grozi, prawdziwy wzór na wirusa został spalony, a oni się kochają.

Przyznała się do swoich uczuć wczoraj, kiedy jako Faith uwolniona niczego nie próbowała ukryć. Czy kiedykolwiek przyzna się do nich na jawie?

Tak. Kiedyś na pewno. Gdy wszystko wróci do normy, a ona znów poczuje się bezpieczna.

Jest cierpliwy. Poczeka.

Może powinien jej wyznać, że czuje to samo, że też ją kocha, że bez względu na to, co się wydarzy, nigdy jej nie opuści? Nie był romantykiem, który chodzi z głową w chmurach, wyobrażając sobie, jak wspaniale będzie im się żyło. Był rozsądny i praktyczny, toteż wie, ile będą musieli pokonać, zanim odnajdą spokój i szczęście.

Gotów jest spróbować.

Faith po raz dziesiąty zapewniała brata, że kryzys jest opanowany i naprawdę nie ma powodu do zdenerwowania, kiedy drzwi się otworzyły i do gabinetu wpadła Nelda z Abby na rękach.

- Nie wiem, co z nią jest! - zawołała zziębnięta. - Strasznie gorączkuje.

Faith cisnęła słuchawkę na widełki i poderwała się na nogi. Luke przejął córkę od gospośki. Mała nie oddychała normalnie, a jej ciało niemal parzyło w dotyku. Spokój prysł jak bańka mydlana.

Telefon zaczął dzwonić, Medy wybiegali z pokoju. Nikt nie zawrócił, nikt się nawet nie obejrzał.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Dziecko było nieprzytomne. Faith, która z miejsca rozpoznała symptomy, badała ją drżącymi ze zdenerwowania rękami. Wiedziała, że Abby musiała się bezpośrednio zetknąć z groźnym proszkiem.

Nie potrafiła odgadnąć, kiedy dziewczynka się zaraziła, ale na pewno była w znacznie gorszym stanie niż leczeni przed południem żołnierze. Wirus najszybciej i najostrzej atakował dzieci oraz ludzi starszych. Na razie Faith nie mogła obiecać Luke'owi, że jego córka przeżyje do rana.

Wysłała ekipę sanitarną do domu Luke'a, po czym poleciała Molly, aby bezzwłocznie podała antybiotyk Neldzie; wołała nie ryzykować. Luke milczał, to znaczy nie odzywał się do niej, ale cały czas szeptał jakieś kojące słowa do córki. Brzmiało to jak niezrozumiały bełkot, ale dziewczynka zdawała się o wiele lepiej reagować na głos i dotyk ojca niż na lekarstwo.

Znajdowali się w pokoju, w którym Faith po raz pierwszy ujrzała Luke'a. Światła były przygaszone, łóżeczko puste. Wtedy Luke trzymał w ramionach Benjy'ego, teraz własną córkę. Tamtego pierwszego wieczoru podziękował Faith za uratowanie życia chłopcu. Co będzie teraz? Jeżeli Abby umrze...

Uniósł głowę i popatrzył Faith w oczy.

- Nie mogę jej stracić - szepnął głosem przepojonym cierpieniem.

- Nie stracisz. Nie pozwolę na to.

Po raz pierwszy w życiu złożyła obietnicę, której może nie dotrzymać. Organizm Abby prawie wcale nie reagował na antybiotyki. Powoli, lecz nieubłaganie jej stan się pogarszał.

- Jak tylko się dowiem, kto to zrobił, rozszarpie drania własnymi rękami! - Luke ponownie wbił wzrok w bladą twarz córeczki. - Nigdy nikogo nawet nie uderzyłem. Całe życie próbuję ratować innych. Ale bez wahania zabiję tego łotra, który skrzywdził moje dziecko. Chcę jego krwi, Faith. Za to, co zrobił Abby i pięć ludzi, którzy zmarli, on nie ma prawa żyć.

„Chcę jego krwi”. Faith poczuła, jak ciarki przebiegają jej po plecach.

- Luke, mam pomysł - rzekła cicho. - Mogę cię na chwilę zostawić samego? Jeżeli chcesz, przyślę tu Molly...

- Nie, nie trzeba - odparł grubym głosem. - Idź załatw, co masz załatwić.

Czas był na wagę złota. Faith ile sił w nogach pognała do laboratorium, gdzie doktor White studiował najnowsze wyniki badań.

- Pomóż mi - poprosiła, ściągając fartuch. Podobnie jak cały personel medyczny, John White był nieludzko zmęczony. Jego oczy zdradzały oznaki niewyspania. Zamrugał dwukrotnie, po czym poprawił okulary.

- Oczywiście. Co sobie życzysz? - spytał.

W trakcie pobytu w Rockland wszyscy członkowie zespołu przeszli z Faith na ty.

- Pobierz mi krew.

- Ile? - Wstał od stołu i sięgnął po strzykawkę.

- Będziemy robić transfuzję.

Uniósł zdziwiony brwi, po czym odłożył strzykawkę.

- Żadnych pytań, John. Liczy się każda minuta. - Wzięła głęboki oddech. - Mam grupę zero Rh minus, czyli jestem uniwersalnym dawcą. Do roboty.

Miała nadzieję, że skoro nigdy nie choruje, to może również jest odporna na wirusa ukrytego w zielonkawym proszku. Jeśli tak, to może jej krew zdoła pomóc małej Abby. Bez cudu dziewczynka nie dożyje ranka.

Po raz pierwszy, odkąd poznała prawdę o swoim poczęciu, Faith była wdzięczna naukowcom, którzy ją stworzyli. Oddając Abby swoją krew, ma szansę ją uratować.

Obce męskie ramiona mocno ją obejmowały i próbowały odciągnąć od Marka. Rozejrzała się. Nikogo więcej nie ma. Wszyscy znikli! Zostali tylko oni dwoje. Nie zamierzała pozwolić, by ktoś ich rozdzielił. Z całej siły złapała się brata. Bała się, że jego też zabiorą.

Nagle jakiś inny mężczyzna usiłował chwycić Marka od tyłu, ale chłopiec był silny, znacznie silniejszy niż typowy dziesięciolatek. Bronił się, walczył jak lew. Potem pojawili się inni. Wbili mu igłę w ramię i Mark osunął się bezwładnie. Faith załamała się. Jeszcze nigdy nie widziała brata tak bezbronego. To Mark był dotąd najsilniejszy, to on potrafił każdego pokonać! Skoro oni sobie z nim poradzili, bez trudu poradzą sobie z nią.

Łzy napływające do oczu sprawiały, że obraz brata, kiedy go zabierali, stawał się coraz bardziej zamazany.

- Nie - jęknęła. A potem krzyknęła: - Nie! Nie! Obudziła się. Serce waliło jej mocno. Przez chwilę leżała z zamkniętymi oczami, ściskając w dłoni brzeg prześcieradła. Nie była pewna, gdzie się znajduje.

Dopiero po chwili zorientowała się, że leży na kozetce w gabinecie Luke'a. Przyszła tu po transfuzji. Zmęczona, osłabiona, położyła się i zasnęła. Pewnie Molly wyłączyła telefon, by nikt jej nie przeszkadzał. Jak długo spała? Hm, niebo za oknem zdążyło przybrać szary odcień, czyli noc się ma ku końcowi. Wkrótce nadejdzie świt.

Luke, który siedział na brzegu materaca, przykrył ręką jej dłoń. Nagle Faith wszystko sobie przypomniała.

- Jak się czuje Abby? - spytała.

- Dużo lepiej. Dzięki tobie. Odetchnęła z ulgą.

- Powinieneś być przy niej - zauważyła, chociaż wcale nie chciała, by odchodził.

- Nie odstępowałem jej całą noc. - Wykrzywił usta w uśmiechu.

- Teraz są u niej Nelda z Molly.

Ucieszyła się, że ktoś się dzieckiem zajmuje i że nie musi mieć wyrzutów sumienia, jeśli Luke pobędzie z nią kilka minut. Uniósł jej rękę i złożył na niej pocałunek.

- Nie wiem, jak ci dziękować.

- Nie musisz, przecież...

- Uratowałaś moje dziecko, Faith. Oddałaś jej krew. Jesteś najwspanialszą kobietą na świecie, a ja cię bardzo mocno kocham.

Nie chciała, by ją kochał z wdzięczności. A z drugiej strony... pragnęła jego miłości.

Odsunęła się, robiąc mu miejsce koło siebie.

- Chodź tu.

Zawahał się, lecz po chwili położył się obok niej. Faith przytuliła się do jego boku. Była szczęśliwa, odprężona. Po raz pierwszy w życiu miała poczucie, jakby odnalazła swą drugą połowę. Luke jest jej bratnią duszą, przyjacielem, kochankiem. Tworzą jedność.

- Całe życie się bałam - zaczęła. Ostatnim razem, kiedy leżeli koło siebie, tłumaczyła Luke'owi, dlaczego nie powinna zajść w ciążę.

- Mam trzydzieści trzy lata. Kocham swoją pracę, odnoszę w niej sukcesy, ale moje życie osobiste... to jedna wielka kłapa.

- Nieprawda - szepnął, obejmując ją w talii.

- Prawda. Ale zmądrzałam. Nie chcę się dłużej ukrywać. Chcę żyć. - Położyła rękę Luke'a na swoim brzuchu, po czym dodała cicho:

- Akurat dziś mam jajczkowanie. Moje ciało jest gotowe, żeby począć dziecko. Właśnie teraz. W tej chwili. Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem.

Uniósł głowę i zmrużył lekko oczy.

- Faith?

- Słucham.

- Moja Faith?

- Twoja - odparła po krótkim wahaniu. - Twoja. Na zawsze.

- Będziesz pamiętała tę rozmowę? Poglądziła go lekko po policzku.

- Na sto procent. Nie jestem pod wpływem hipnozy. Po prostu chciałabym zacząć myśleć o sobie, spełniać swoje marzenia.

Pomożesz mi, Luke? Wyzwolić się z pęt, być spełnioną i szczęśliwą?

Zmęczenie znikło, wstąpiła w nich nowa energia. Na ciasnej kozetce szybko pozbyli się części ubrań. Faith zacisnęła nogi wokół bioder Luke'a. Kochali się tak, jak nigdy przedtem. Z niepohamowaną namiętnością, z pasją, bez strachu i obaw, nieświadomi otaczającego ich świata, skupieni wyłącznie na sobie. Potem, gdy opadli już ze szczytu rozkoszy, leżeli zdyszani, przytuleni. To odpowiedni moment, pomyślała Faith, by powiedzieć mu, jak bardzo go kocham.

Wystarczy zdobyć się na odwagę...

Nie potrafiła. Niektóre lęki tkwią zbyt głęboko, aby się ich łatwo pozbyć.

Po paru minutach usiedli, w milczeniu sięgnęli po rozrzucone części garderoby.

Luke przyjrzał się Faith uważnie.

- Jesteś pewna, że...

- Jestem. Naprawdę - dodała, widząc jego nieprzekonaną minę. -

Nie martw się.

Uśmiechnął się. Kiedy doprowadzili się już do porządku, ponownie usiadł koło niej na kozetce.

- Boże, Faith, co my teraz zrobimy?



Nie wiedziała, o co właściwie Luke'owi chodzi. Jego pytanie może dotyczyć dziesiątek spraw, setek problemów, z którymi muszą się uporać. Tak czy owak, nie mogą zrobić nic, dopóki istnieje zagrożenie w postaci Koalicji.

- Czy ekipa sanitarna przeszukała już twój dom? - spytała, opierając głowę na ramieniu Luke'a.

- Tak. - Zaciśnął gniewnie zęby. - Znaleźli pełno tego świństwa w gabinecie. Abby pewnie tam weszła i...

Zbladł. Podobnie jak Faith, wolał nie myśleć o tym, co się stało i co mogło się stać. Oboje jednak zdawali sobie sprawę, że dom Luke'a został zainfekowany z jej powodu. Ktoś chciał go wyeliminować z gry; z Lukiem chorym lub martwym wróg miałby łatwiejszy dostęp do Faith.

Wróg, czyli Koalicja. A zatem wirus od samego początku znajdował się w jej rękach.

Czyli każdemu, do kogo Faith usiłowałaby się zbliżyć, grozi niebezpieczeństwo.

- Nie wiedzieli, gdzie mnie szukać. Dlatego postanowili wywołać epidemię - szepnęła. - Liczyli na to, że przyjadę tu, aby walczyć.

Zamyśliła się. Jeżeli jej przypuszczenia są słuszne, oznacza to, że wysłannik Koalicji, który uruchomił bodziec hipnotyczny, przybył do Rockland wcześniej i tu na nią czekał. Z tego, co mówił Jake, bodziec uruchamiało się za pomocą słownego impulsu, którym była dziecięca rymowanka. Ktoś więc musiał przekazać jej impuls podczas

rozmowy. Rozmawiała z Lukiem, z pielęgniarkami, z mieszkańcami Rockland... Ale oni wszyscy żyli tu od lat.

- Mitzi! - zawołała nagle, odsuwając się od Luke'a. - Ta dziennikarka. To ona.

- Jesteś pewna?

- Nie, ale to by pasowało. Przywiozła proszek z wirusem, wiedząc, że wybuch epidemii mnie tu ściągnie. Rozesłała proszek pocztą i czekała, nie przejmując się, że umierają ludzie. Śmiertelność byłaby znacznie wyższa, gdyby antybiotyk nie zadziałał. Boże, co za wredna baba! - Faith zeskoczyła z kozetki.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedział Luke, zastępując jej drogę.

- Muszę ją powstrzymać.

- Zawiadomię szeryfa. Jeżeli Mitzi faktycznie ma cokolwiek wspólnego z Koalicją...

- Ma. Na sto procent - oznajmiła Faith, nabierając coraz większego przekonania. - Pamiętasz tamten dzień, kiedy rozmawiała ze mną na korytarzu? Kiedy zakręciło mi się w głowie? Zupełnie nie potrafiłam sobie przypomnieć, co do mnie mówiła. Właśnie wtedy musiała przekazać mi ten impuls, bo od tamtej pory zaczęły się moje sny, te o przeszłości.

- W porządku. - Luke pokiwał głową. - Zostań tu, a ja zadzwonię do szeryfa.

Obserwowała go przez otwarte drzwi. Przeszedł do drugiego pokoju, włożył wtyczkę do kontaktu, po czym wykręcił numer.

Zdecydowanym tonem poprosił szeryfa, aby ten koniecznie aresztował Mitzi Chastain, ale odmówił wyjaśnień dlaczego.

Faith chciała zadzwonić do Jake'a i przekazać mu najnowszą wiadomość. Podejrzewała, że będzie wiedział, co robić. Zamiast jednak zadzwonić, wybiegła za Luke'em na korytarz. Podczas wizyty Luke'a na komendzie posiedzi przy łóżeczku chorej Abby. Patrząc na jego oddalającą się sylwetkę, szepnęła cicho:

- Bądź ostrożny. - I jeszcze ciszej: - Kocham cię.

Miał świadomość, że dla dobra siebie i Abby powinien odsunąć się od Faith. Bliższa znajomość z nią grozi poważnymi konsekwencjami. Oczywiście Faith nie jest niczemu winna, ale...

Ale jest za późno. Nie potrafiłby już z niej zrezygnować. W ciągu dosłownie kilku dni stała mu się droższa, niż się spodziewał. Droższa? Po prostu kochał ją z całego serca i nie zamierzał zostawić samej na placu boju.

Zdawał sobie sprawę z własnych ograniczeń; nie był żadnym siłaczem. Sam własnoręcznie nie zdołałby jej obronić przed ludźmi, którzy chcą ją dopaść. Ale może stać przy jej boku, wspierać ją, służyć pomocą.

Szeryf Talbot odnalazł Mitzi Chastain zaledwie godzinę po telefonie Luke'a. Dziennikarka usiłowała pieszo wydostać się z miasta, drogą przez niewysokie góry od północy. Zaciekle się broniła, ale w końcu Talbot sobie z nią poradził. Siedziała teraz w areszcie, kilka przecznic od szpitala.

Luke stał w wąskim przejściu i przez solidną żelazną kratę spoglądał na rudowłosą dziennikarkę.

- Wkrótce stąd wyjdę - oznajmiła pewnym siebie tonem. -

Ludzie, dla których pracuję, nie pozwolą, aby mnie tak traktowano.

- Chciałaś powiedzieć, że Koalicja na to nie pozwoli?

Posłała mu szeroki uśmiech.

- Ach, więc wiesz? To niedobrze. Tym, którzy wiedzą o istnieniu Koalicji, grozi duże niebezpieczeństwo. Lepiej, doktorku, uważaj na siebie.

Wtedy, gdy myślał, że jego córeczka umrze, pragnął zemsty. Teraz, gdy Abby śpi w szpitalu pilnowana przez Faith i strażnika, który miał przykazane, aby nikogo nie wpuszczać do pokoju dziecka, pragnął jedynie sprawiedliwości.

- Prawie zabiłaś moją córkę - powiedział cicho. Mitzi wzruszyła ramionami.

- Przykro mi, doktorku. Wirus przeznaczony był dla ciebie. Ciągle kręciłeś się koło Faith, nie mogłam się do niej dostać. Ponieważ była równie ważna jak wzór, który dla mnie opracowała, postanowiłam wywołać drobne zamieszanie...

- Dla ciebie? Wzór, który opracowała dla ciebie?

- Owszem. Wprawdzie ktoś inny wpadł na pomysł, ale to ja go zrealizowałam. Zdobycie wzoru umocni moją pozycję-w Koalicji. Zmierzam ku...

- Nigdzie nie zmierzasz - rzekł Luke, stukając w żelazną kratę.

- Długo tu nie posiedzę.

Przerażała go jej pewność siebie.

- Wszystko było tak ładnie obmyślane, zapięte na ostatni guzik.

A ty popsuleś mi szyki.

- Kto wpadł na ten szalony pomysł, żeby rozesłać wirusa pocztą?

Wyszczерzyła w uśmiechu zęby.

- Moim mocodawcom bardzo zależało na Faith. Najpierw trzeba było dowiedzieć się, kim ona jest i gdzie pracuje, a potem ją dorwać. Trudność polegała na tym, że ona nigdzie długo nie zagrzewa miejsca. Kilka miesięcy temu nasz agent odkrył, że Faith przebywa w jakiejś afrykańskiej wiosce. Natychmiast tam ruszył, ale ona już zdążyła wyjechać. Dopiero po tygodniu uzyskał informację, że pojechała do Indii, lecz nie miał pewności, jak długo tam pobędzie. Jeden z szefów wpadł na genialny pomysł, żeby wypróbować działanie wirusa w Stanach. Liczył, że wybuch epidemii podziała na Faith jak magnes. Nie pomylił się.

Dzięki Bogu, pomyślał Luke. Gdyby nie przyjazd Faith, epidemia trwałaby nadal. Już Mitzi by się o to postarała.

- Ilu osób byłaś gotowa poświęcić, żeby ściągnąć tu Faith?

- Tyle, ile trzeba - odparła chłodno dziennikarka.

Nie rozumiał takich ludzi, bezdusznych, totalnie pozbawionych serca. Za wszelką cenę musi chronić przed nimi Faith. Nigdy jej nie dostaną w swoje ręce. Przenigdy!

- Co teraz?

- Czekam na posiłki — oznajmiła Mitzi. - Przybędą za kilka godzin. Nie przekazałam umówionego sygnału, co z pewnością postawiło wszystkich na nogi. Wspólnymi siłami dorwiemy Faith.

- Miasto jest wciąż zamknięte - zauważył Luke. - Obowiązuje kwarantanna.

- Myślisz, że Koalicja się tym przejmie? - Parsknęła śmiechem. - Mylisz się. Zresztą wszyscy jesteśmy zaszczepieni. Nawet jeśli ktoś się natknie na proszek, wirus go nie zaatakuje.

Mieszkańcy Rockland umierali, a Koalicja miała szczepionkę? Luke'a ogarnęła jeszcze większa złość.

- A żołnierze? Chcecie walczyć z Gwardią Narodową?

- Wielu żołnierzy leży chorych, a posiłków nikt nie przysłał...

- Przegracie, ty i twoi mocodawcy. Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Wątpię.

Faith wyjęła z łóżeczka wierzące się niespokojnie dziecko i przytuliła do siebie. Abby oparła główkę na jej ramieniu i westchnęła cicho. Oddychała już normalnie, gorączka prawie całkiem opadła. Transfuzja okazała się skuteczna. Po raz pierwszy w życiu Faith była wdzięczna za swoje nietypowe pochodzenie. Jej krew uratowała życie dziecka. To, że dziecko jest córką Luke'a, nie powinno mieć znaczenia. A jednak ma...

Usiadła w fotelu na biegunach i zaczęła się leniwie bujać. Po kilku minutach Abby ponownie usnęła.

Najmądrzej by postąpiła, gdyby wyjechała. Dziś. Gdyby po prostu znikła. Byłoby to z korzyścią dla Abby i Luke'a, lecz nie tylko dla nich. Dla wszystkich w Rockland.

To smutne, pomyślała, ale żadna z osób bliskich jej sercu nigdy nie będzie bezpieczna. Jake zapewnił ją, że Nash został otoczony dyskretną ochroną, tak by się nie zorientował, że ktoś za nim chodzi. Ochroniarze, których mu przydzielono, podobno narzekali, że Nash to trudny obiekt. Nic dziwnego. Zawsze żył według własnych reguł i nie zamierzał ich zmieniać, zwłaszcza że nie wiedział o grożącym mu niebezpieczeństwie.

Hm, mogłaby zmienić nazwisko, wygląd, ukryć się gdzieś, gdzie nikt by jej nie znalazł. Ani Jake, ani Luke, ani Koalicja. Może wtedy tych, których kocha, nie spotkałoby nic złego.

Pomysł był kuszący, ale na razie go odrzuciła. Nie chciała uciekać i do końca swych dni żyć w ukryciu. Po pierwsze, zależy jej na poznaniu swej biologicznej rodziny, po drugie, nie może zniknąć bez pożegnania z Lukiem, a po trzecie...

Po trzecie, istnieje szansa, że kilka godzin temu zaszła w ciążę. Oczywiście pojawienie się dziecka kompletnie zdezorganizuje jej życie, ale w ogóle się tym nie przejmowała. Popatrzyła z uśmiechem na śpiącą Abby. Jeżeli jest w ciąży, to chciałaby, żeby dziecko było podobne do Luke'a. W ten sposób zawsze miałyby go przy sobie.

Luke... ileż to razy wyrażał jej wdzięczność za pomoc. Właściwie ona jemu też powinna podziękować: przekonał ją, że jest atrakcyjną kobietą, a nie potworem.

Luke chyba ją kocha. Wprawdzie nie wyznał jej miłości, ale takie rzeczy się czuje. Ona go również kocha. Powinna mu o tym powiedzieć, ale po co? Przecież nie może zostać w Rockland, a on nie rzuci wszystkiego, żeby wyjechać z nią w nieznane. Prawda?

W jej rozmyślania wdarł się warkot nadlatującego helikoptera. Przywykła już do helikopterów patrolujących miasto z powietrza, ale żaden nigdy nie schodził tak nisko. Zaciekawiona wstała z fotela, odłożyła Abby do łóżeczka i podeszła do okna.

Na pustym placu od północnej strony szpitala wylądował helikopter wojskowy. Zanim jeszcze maszyna zetknęła się z ziemią, ze środka wyskoczył potężnie zbudowany, uzbrojony po zęby żołnierz w mundurze polowym. Po chwili wbiegł do szpitala.

Posiłki? Może. Ale dlaczego tylko jeden żołnierz? Faith wyszła na korytarz. Strażnik, który dyżurował przed drzwiami, patrzył w okno, podobnie jak stojąca kilka metrów dalej Molly z innymi pielęgniarzami. Silnik helikoptera wciąż głośno warczał, a skrzydła obracały się z hukiem, wzbijając tumany kurzu.

- Molly, zostań z Abby - poprosiła Faith.

Molly skinęła głową i skierowała się do sali, w której leżało dziecko, Faith tymczasem rzuciła się pędem do windy. Zanim do niej dotarła, od strony schodów wyłonił się drab z helikoptera.

- Idziemy! - zawołał w stronę Faith. Odwróciła się i zaczęła uciekać. Dwaj żołnierze z Gwardii Narodowej, którzy dyżurowali na piętrze - pozostali leżeli chorzy, w piżamach i bez broni - ze skonfundowaną miną obserwowali Faith i biegnącego za nią



żołnierza. Byli zdezorientowani. Nic dziwnego. Goniący ją mężczyzna wyglądał na ich kolegę, ale nim nie był. Wiedziała, że przyleciał tu specjalnie po nią, że chce ją wsadzić do helikoptera i wywieźć diabli wiedzą gdzie.

Pewnie do swoich szefów z Koalicji, którzy zamkną ją w jakimś laboratorium i każą jej wymyślić następną broń biologiczną. Niewykluczone, że będą prowadzić na niej doświadczenia, może ją torturować... Uzbrojony żołnierz dopadł ją po paru krokach.

- Nie uciekaj - powiedział zaskakująco ciepłym głosem. - Musisz pójść ze mną.

- Twoje niedoczekanie!

Kopnęła go w goleń. Całkiem niepotrzebnie, bo facet sprawiał wrażenie, jakby nic nie poczuł.

- Chciałem...

- Nie mam zamiaru cię słuchać.

- Ale ja...

- Wiem, kim jesteś i wolę umrzeć, niż dać ci się gdziekolwiek zaprowadzić!

Żołnierz, popatrzył na nią zmieszany, może nawet zasmucony, po czym bez trudu przerzucił ją sobie przez ramię.

- W żadne umieranie nie będziemy się bawić. Próbowала się bronić, wymachiwała pięściami, ale równie dobrze mogłaby wojować ze skałą. Jeden z dyżurujących na korytarzu żołnierzy zastąpił porywaczowi drogę, ale widać było, że nie bardzo wie, co robić. Na

obozie szkoleniowym najwyraźniej nie uczono go, jak unieszkodliwić kogoś, kto nie wygląda na wroga, lecz na kolegę.

Nie chciała, żeby bandzior skrzywdził, lub nie daj Boże zabił młodego gwardzistę. Kazała mu się więc nie wtrącać, po czym jeszcze raz zażądała od porywacza, aby ją natychmiast puścił.

Uzbrojony drab doszedł do drzwi prowadzących na schody. Przytrzymując Faith jedną ręką, drugą nacisnął klamkę. Zbiegł na dół, nie przejmując się, że ona podskakuje jak wór kartofli.

- Protestuję przeciwko takiemu traktowaniu! - rzekła gniewnie, kiedy znaleźli się na parterze. - Postaw mnie, ty barbarzyńco! Ty...

- Nie mam czasu się z tobą kłócić - rzekł mężczyzna. - Muszę cię natychmiast stąd wydostać.

- Nigdzie z tobą nie pojedę!

Strażnik pilnujący wejścia na parterze uniósł broń, ale tak jak jego kolega na piętrze nawet nie próbował obezwładnić przeciwnika. Bo przeciwnik wyglądał jak przyjaciel, a nie jak wróg.

- Panie poruczniku... - zaczął niepewnie.

Aby zapobiec rozlewowi krwi, Faith dała strażnikowi znak, by się odsunął. Fałszywy porucznik wybiegł na dwór i skierował się w stronę czekającego helikoptera. Nagle, niecałą przecnicę dalej, Faith spostrzegła Luke'a. Zawahał się, po czym ruszył pędem za nią.

Wciąż bezskutecznie usiłowała się oswobodzić.

- Przestań! Puść mnie! Ty potworze, ty... - Wszystkie określenia, jakie przychodziły jej do głowy, były zbyt delikatne. - Luke! Nie podchodź! Cofnij się!

Luke zignorował jej prośbę, nawet nie zwolnił kroku. Jednakże dystans pomiędzy nimi nie zmniejszał się. Mimo pięćdziesięciokilogramowego balastu żołnierz był zadziwiająco szybki. Faith nawet się z tego cieszyła. Nie chciała, by Luke ich dogonił; nie miałyby szans w starciu z potężnie zbudowanym, uzbrojonym bandytą.

- Tak nie można - powiedziała, zwracając się nieco spokojniejszym tonem do porywacza. - Co ja zrobiłam?

- Wszystko ci wyjaśnię w helikopterze. Cholera jasna, przestań się wyrywać, Faith.

„Przestań się wyrywać, Faith”.

Głos, który zadźwięczał jej w pamięci, należał do dziecka, a nie do żołnierza. Do silnego dziesięcioletniego chłopca, który utrzymując jej głowę nad powierzchnią wody, płynął w stronę brzegu.

Faith znieruchomiała.

- Mark? - zapytała szeptem.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Luke pędził na łeb, na szyję, ale z rosnącym poczuciem klęski widział, że nie zdoła dogonić wroga. Uzbrojony żołnierz, który zapewne jest wysłannikiem Koalicji, wsadzi Faith do helikoptera i wzbiją się w powietrze, zanim ktokolwiek zdoła temu zapobiec.

Raptem żołnierz przystanął i postawił Faith na ziemi. Poprzez ryk obracających się skrzydeł Luke usłyszał jego głos:

- Przestań!

Faith odwróciła się i pomknęła w stronę Luke'a. Żołnierz chwilę się wahał, po czym rzucił się za nią. Teraz biegli wszyscy troje: Luke do Faith, Faith do Luke'a, a żołnierz za Faith. I byłby ją złapał, gdyby nie dopadła Luke'a dosłownie ułamek sekundy wcześniej.

- Uciekaj! - krzyknął Luke, wsuwając się pomiędzy nią a żołnierza. - Uciekaj, Faith!

Miał świadomość, że długo z takim potężnym drabem sobie nie poradzi, ale jeśli zdoła go powstrzymać choćby chwilę, to może Faith dotrze do szpitala i wezwie pomoc...

Faith jednak nie pobiegła do szpitala, a żołnierz -wbrew temu, czego się Luke spodziewał - nie powalił go na ziemię. Ignorując Luke'a, oparł ręce na biodrach i wbił wzrok w Faith.

- Połaskotałaś mnie.

- Owszem. Masz jedno wrażliwe miejsce z lewej strony, między czwartym a piątym zębem.

- Tylko nikomu o tym ani słowa! - rozkazał olbrzym.

Połaskotała go? Luke zbaraniał.

- Zamiast mnie porywać, mogłeś wyjaśnić mi sytuację i...

- Nie było czasu na wyjaśnienia - przerwał jej żołnierz. - Jake powiedział, żeby cię stąd zabrać choćby siłą, więc...

- Przysłał cię Jake? - wtrącił Luke.

Nie spuszczał oczu z Faith, żołnierz pokiwał głową.

- A czegoś się spodziewał? Rozmawiała z Jakiem przez telefon, nagle zrobiło się zamieszanie, rzuciła słuchawkę na widełki, a potem już nikt nie odbierał telefonu. - Przeniósł spojrzenie na Luke'a. -

Odsuń się od mojej siostry. Naprawdę nie mam czasu na pogawędki. ..

- Mark... Marcus... nie możesz mnie stąd wywieźć. Jeszcze nie skończyłam pracy.

- Skończyłaś - oznajmili równocześnie mężczyźni. Obu zależało na jej bezpieczeństwie.

- Możesz zaręczyć, że nic złego się jej nie stanie? - spytał Luke.

- Mogę - odparł Marcus. - Jest takie miejsce... -Urwał. - Nie powiem ci, dokąd ją zabieram, ale przysięgam, że będzie tam bezpieczna.

Luke pokiwał w zadumie głową. Nie chciał rozstawać się z Faith, ale kiedy przypomniał sobie Mitzi, jej pewność, że Koalicja dopadnie Faith, wiedział, że nie mogą ryzykować.

- W porządku - powiedział. - Zabierz ją stąd. Aha, jeszcze jedno: przydadzą nam się posiłki. Mamy wielu chorych, a Koalicja wkrótce przyśle tu swoich żołnierzy.

- Nigdzie nie jadę - sprzeciwiła się Faith.

- Nas jest dwóch. Nie wygrasz z nami.

- Nigdzie nie jadę - powtórzyła.

Luke delikatnie ujął ją pod brodę i zmusił, żeby popatrzyła mu w oczy.

- Musisz, mała. Przecież wiesz, że Koalicja zrobi wszystko, żeby dostać cię w swoje ręce. I wiesz, czym to się może skończyć.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- A skąd mogę wiedzieć, że tobie się nic nie stanie? Jeśli mają tu swojego szpiega, to wiedzą, że coś nas łączy. Mogą chcieć to wykorzystać. Posłużyć się tobą i Abby jako przynętą...

- Faith - wtrącił Marcus - zapewnię twoim przyjaciołom dodatkową ochronę. Nikt im nie wyrządzi krzywdy. Obiecuję.

Nie kłóciła się z bratem. Zdawała sobie sprawę, że musi wsiąść do helikoptera, że innego wyjścia nie ma.

Luke westchnął cicho. Tak wiele rzeczy chciał jej powiedzieć, ale zabrakło czasu.

- Kiedy to się skończy, wrócisz do mnie, prawda? - Otarł palcem łzy, które spływały jej po policzkach.

- Boże! Ale to się może ciągnąć latami! - załkała. - Może się nigdy nie skończyć!

Miała rację: może już nigdy się nie zobaczą. Ale na razie o tym nie myślał. W milczeniu pocałował ją w usta, słone od łez, gorzkie od smutku. W tej chwili najważniejsze jest jej bezpieczeństwo, to, aby Marcus wywiózł ją gdzieś, gdzie Koalicja jej nie znajdzie.

Odsunawszy się od Faith, popatrzył na jej brata. Są jednego wzrostu, on może nawet przewyższa Marcusa o centymetr czy dwa. Ale w walce z nim nie miałyby szans. Marcus samym swoim wyglądem - potężnymi barkami, twardymi muskularni, solidną szyją - wzbudzał strach i szacunek.

- Dbaj o nią - powiedział Luke. - Bo jak jej spadnie chociaż jeden włos z głowy, to cię spiorę tak, że koledzy cię nie poznają.

Marcus wyszczerzył zęby. Pewnie jeszcze nigdy nie oberwał, przemknęło Luke'owi przez myśl.

- Ja nie żartuję - dodał.

- W porządku. - Uśmiech na twarzy Marcusa zgasł. - Pora na nas, Faith.

Ruszyła posłusznie w stronę helikoptera. Tym razem brat nie musiał z nią walczyć. Szedł obok, obejmując ją troskliwie. Kiedy pomógł jej wsiąść do środka, obejrzała się i uniósłszy rękę, pomachała na pożegnanie.

Po chwili helikopter wzbił się w powietrze.

Plaża za domem, w którym ukrywała się od dziewięciu dni, była przepiękna, a widok z tarasu dosłownie zapierał dech w piersiach. Na południu Florydy w październiku wciąż panowało lato.

Faith siedziała z twarzą wystawioną do słońca, obserwując fale łagodnie zalewające brzeg. Z Rockland wyjechała tak jak stała, nie zabierając kompletnie nic. Nie chcąc, by pokazywała się publicznie, Jake z Marcusem postanowili sami dokonać dla niej zakupów.

Wybrali sukienki w całkiem innym stylu niż te, które dotąd nosiła.

Wesołe, kołdrowe, kobiece. Dziś na przykład miała na sobie spódniczkę i bluzkę w kolorze jaskrawego różu oraz sandaalki składające się z podeszwy i trzech cienutkich paseczków. Ku własnemu zdumieniu dobrze się czuła w takim stroju i nawet się sobie podobała.

Plaża, słońce, nowe ciuchy... To jest miłe, ale tęskniła za śniegiem, mrozem, flanelową koszulą, ogniem strzelającym w kominku. A najbardziej tęskniła za Lukiem.

Marcus zapewnił ją, że Luke z Abby są bezpieczni. Kiedy Koalicja dowiedziała się, że Faith opuściła Carson, siłą rzeczy musiała zmienić plany. Doszło do paru nieprzyjemnych incydentów. Podczas jednego z nich szeryf Talbot został ranny, na szczęście niegroźnie, a Mitzi Chastain zginęła w więziennej celi, od pojedynczego strzału w głowę. Jej rzeczy, w tym kartki z bezwartościowym wzorem na wirusa, zniknęły z hotelu, w którym wynajmowała pokój.

Natychmiast po przewiezieniu do strzeżonego domu na Florydzie Faith została przeprogramowana przez psycholożkę, którą przedstawił jej Jake, a która była żoną jego adopcyjnego brata Zacha. Odtąd nie musiała się już bać, że zacznie we śnie wymyślać nową broń biologiczną. Nadal zagrażali jej członkowie Koalicji, ale jak twierdził Marcus, tu na Florydzie jest bezpieczna. Odizolowana od świata... i bardzo samotna.

Powoli przypominała sobie coraz więcej szczegółów ze swojego dzieciństwa, szczegółów i osób: Grace, która teraz nazywała się Gretchen, Gideona, z którym wciąż nie nawiązali kontaktu, Jake'a i



Marcusa. Mimo dwudziestokilkuletniej luki w pamięci z Marcusem czuła niesamowitą więź; rozmawiając z nim, miała wrażenie, jakby się nigdy nie rozstali. Niestety, Marcus ciągle coś załatwiał, przyjeżdżał na parę godzin, wyjeżdżał, potem znów wpadał z wizytą.

Z Jakiem też spędziła mnóstwo czasu na rozmowach, na wzajemnym poznawaniu się, na snuciu wspomnień. Jej starszy brat bardzo poważnie traktował swoje obowiązki; czuł się odpowiedzialny za rodzeństwo, za ich dalsze życie i za losy świata.

Wiele pytań jednak nadal pozostawało bez odpowiedzi. Choćby takie, czy gdzieś jeszcze żyją inne genetycznie zmodyfikowane dzieci? Niewykluczone, że w ciągu tych dwudziestu paru lat od śmierci Henry'ego Bloomfielda naukowcom z Koalicji udało się powtórzyć jego eksperyment. Jeżeli tak, to w jakim wieku są dzieci narodzone w wyniku ich doświadczeń? Jakie mają zdolności? Czego mogą dokonać? Gdzie mieszkają?

Wczoraj, uzyskawszy ze źródła rządowego wiadomość, że Agnes, Oliver i Gideon ukrywają się gdzieś w Oregonie, Jake pośpiesznie opuścił dom na Florydzie. Marzył o tym, by pojechać tam i schwytać dwójkę naukowców, którzy stanowią integralną część Koalicji. A przy okazji uratować Gideona!

Ale zdawał sobie sprawę, że najpierw FBI musi rozpracować Koalicję, ustalić, gdzie się ukrywają pozostali jej członkowie. A mogą być rozrzućeni po całym świecie! Najlepiej byłoby aresztować wszystkich jednocześnie, w przeciwnym wypadku ci pozostający na

wolności zejść jeszcze głębiej do podziemia. Wtedy szansa na odnalezienie Gideona zmaleje do zera.

Następnego dnia rano Marcus miał towarzyszyć Faith w podróży na Brunnię, gdzie obecnie przebywała Gretchen. Zaprzyjaźniła się już z braćmi, a jutro wreszcie pozna siostrę. Cieszyła się na myśl o tym spotkaniu, z drugiej strony przeszkadzała jej świadomość, że będzie tak daleko od Luke'a. Potwornie za nim tęskniła. A Brunnia jest przecież na drugim końcu świata.

Wiedziała, że za Marcusem też będzie tęskniła. Ale Marcus ma żonę, którą bardzo kocha; nic dziwnego, że chce wrócić do domu. Żona Marcusa, Samantha, oczekuje dziecka. Supermalucha, jak mówił na swego nienarodzonego potomka dumny tata.

Rozmyślała z czułością o swoim bracie bliźniaku, kiedy ten pojawił się na tarasie. Usiadłszy obok na krześle, uśmiechem próbował dodać jej otuchy.

- Wszystko w porządku?

- Niby tak.

- Jesteś głodna?

- Nie - odparła, chociaż ostatnio na brak apetytu nie mogła narzekać.

- Ale dobrze się czujesz?

Pokiwała głową. Miała ochotę opowiedzieć komuś o swojej tęsknocie, lecz nie chciała roztkliwiać się nad sobą. W przeciwieństwie do Jake'a, który zasypałby ją pytaniami, Marcus nie

pytał o nic. Nie musiał. Zawsze rozumieli się bez słów. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, spoglądając na fale.

- Brakuje ci go, prawda? - odezwał się w końcu, przerywając ciszę.

Łzy napłynęły jej do oczu. Wiedziała, że ludzie, których kocha - Nash i Janine, Luke i Abby - mają doskonałą ochronę. Nic im nie grozi, dopóki ona trzyma się od nich z daleka. W ciągu dziewięciu dni, jakie minęły od jej wyjazdu z Rockland, czasem rozmawiała z Marcusem o Luke'u, ale nie wyznała mu wszystkiego.

- Najgorsze, że nie powiedziałam mu, że go kocham. A teraz jest za późno...

Marcus milczał, ale nie oczekiwała odpowiedzi. Na żwirowym podjeździe z drugiej strony domu rozległo się charakterystyczne skrzypienie. Faith zignorowała ten dźwięk. Kręciło się tu mnóstwo ludzi, a to ktoś przyjeżdżał, a to wyjeżdżał: Jake, Maisy, ochroniarze, paru przedstawicielei rządu, którzy chcieli zamienić z nią słowo przed jej odlotem na Brunhię.

Jeden z ochroniarzy otworzył szklane drzwi na taras.

- Spodziewa się pan przesyłki, szefie? - Pytanie skierował do Marcusa.

- Owszem. Proszę ją dostarczyć. - Marcus ujął dłoń siostry. - Pamiętasz, jak w dzieciństwie zawsze się o siebie troszczyliśmy?

- Oczywiście. - Właśnie tę szczególną więź pomiędzy sobą a bratem najlepiej pamiętała. Boże, ledwo się odnaleźli, a znów muszą

się rozstać. Ale tym razem będzie inaczej; tym razem już o sobie nie zapomną.

- To się nie zmieniło. - Spojrzawszy na szklane drzwi, uśmiechnął się szeroko. - No, śmiało. Czekamy.

Na widok Luke'a trzymającego w ramionach Abby, Faith poderwała się na nogi. Serce podeszło jej do gardła, w ustach zaschło. Nagle uśmiech na jej wargach zamarł. Wbiła wzrok w Marcusa, który siedział wygodnie rozparty w fotelu, z twarzą wystawioną do słońca.

- Chyba nie kazałeś ich porwać, co?

- Nie - odparł Luke, stawiając Abby na ziemi. Mała, szczerząc ząbki, natychmiast podreptała do Marcusa. Nawet się nie zawahała, kiedy wyciągnął do niej ręce. Luke tymczasem zgarnął Faith w ramiona. O nic nie pytała, ani skąd się tu wziął, ani dlaczego przyjechał czy na jak długo. Liczy się to, że znów są razem.

Po chwili jednak ciekawość zwyciężyła. Wciąż obejmując Luke'a, spojrzała pytająco na brata, który siedział z dzieckiem na kolanach.

- Marcus, jak...?

- Po prostu odbyłem kilka krótkich podróży do Rockland, żeby sprawdzić, co się tam dzieje. Przy okazji pogadałem chwilę z Lukiem.

- Uśmiechnął się. -No i poznałem tę śliczną pannę. Słoneczko, umiesz już powiedzieć: wujek Marcus?

- Ujekus! - oznajmiła radośnie Abby.

Marcus wstał z fotela i mrugnął porozumiewawczo do Faith.

- Nie jestem ślepy, siostrzyczko. A teraz idę pokazać Abby plażę. Bądźcie grzeczni, niedługo wrócimy.

Wszedł z dzieckiem do domu, zostawiając Luke'a i Faith samych na tarasie. Bojąc się, że za moment straci odwagę, Faith popatrzyła Luke'owi w oczy.

- Kocham cię - szepnęła. - Całym sercem. Pocałował ją w usta.

- Ja ciebie też.

Przez moment milczała, rozkoszując się dźwiękiem tych słów.

- Co robisz na Florydzie? - spytała po chwili. Gładził ją po włosach, po twarzy, jakby nie mógł się nacieszyć jej bliskością.

- Każdy dzień bez ciebie był torturą. Pewnego razu, smutny i udręczony, powiedziałem Marcusowi, że nie powinienem być cię samej puszczać. No i jestem.

- A twoja praca? Pacjenci?

- Przejął ich doktor White.

- Naprawdę? - zdumiała się. - John White?

- Tak. - Luke uśmiechnął się z zadowoleniem. - Polubił Rockland. Kiedy wyznał, że chętnie zostałby tam dłużej, natychmiast skorzystałem z okazji. Zdaje się, że facet zadurzył się w Betsy.

- Ale przecież ty kochasz Rockland!

- Ciebie kocham bardziej. - W jego głosie nie było cienia wahania czy też wątpliwości. - Wyjdź za mnie,

Faith. Chcę spędzić z tobą resztę życia. Nauczę cię łowić ryby, tańczyć, chodzić bez celu po lesie...

Nigdy nie sądziła, że spotka ją takie szczęście. Że pozna wspaniałego, mądrego faceta, który gotów będzie dzielić z nią trudy życia.

- A czego ja mogłabym cię nauczyć? - spytała szeptem.

Pogładził ją po brodzie.

- Ty już mnie nauczyłaś. Ponownie kochać. Zaciśnęła rękę na jego koszuli.

- Kiedy to wszystko się zakończy, kiedy minie zagrożenie, zamieszkamy w Rockland, dobrze? Zbuduję sobie laboratorium, w którym będę prowadzić badania, a ty znów podejmiesz pracę w szpitalu.

- Kapitalny pomysł - rzekł z uśmiechem.

- A na razie...

- Na razie zamieszkamy gdzie indziej. Marcus nie mówił mi, dokąd nas wysyła, ale to nie ma znaczenia. Dom jest tam, gdzie jesteście wy: ty i Abby. Zrozumiałem to zaraz po twoim wyjeździe.

Wspiąwszy się na palce, pocałowała go w usta.

- Czy już ci mówiłam, że cię kocham?

- Tak.

- Ale powtórzę to po raz drugi, i trzeci, i czwarty...

I tak też robiła.

Po pewnym czasie oboje spojrzeli na brzeg morza. Marcus z Abby, trzymając się za ręce, wędrowali plażą. Wielki, potężnie zbudowany facet i mała dziewczynka sprawiali wrażenie pograżonych w rozmowie.

Faith uśmiechnęła się błogo. Mimo że nie wie, co przyszłość przyniesie, jest szczęśliwa.

Przyszłość. Jeden jej drobny aspekt nie stanowił niespodzianki.

Nazajutrz po wyjeździe z Rockland obudziła się, czując, że coś się zmieniło. Coś w niej, w jej ciele. Teraz wzięła rękę Luke'a i przyłożyła ją miłostnie do swojego brzucha.

- Będziemy mieli synka - wyszeptła.

**KONIEC**

Scandalous